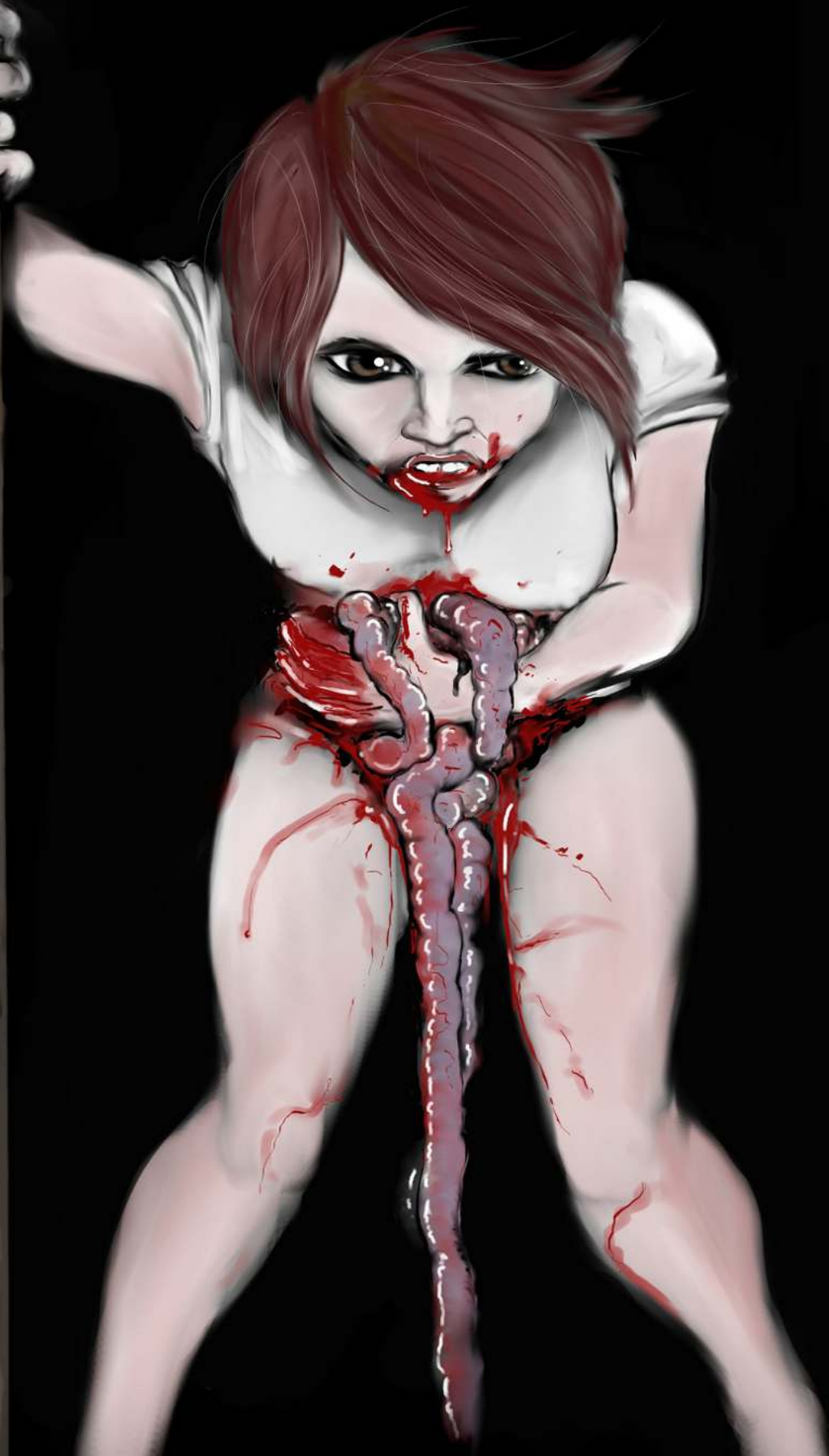


GOREFIKACJE



BLACHA RABIECI
GRZYWALZ
KAIN
CZARNY
MITKA
SIWIEC



BAJER
DĘBROWSKI
KOLETA
CHRISTI
MATEJA
WOSKIEWICZ
POJER

CS.20

GOREFIKACJE

Pierwsza polska antologia gore

GOREFIKACJE
Antologia gore

Wydanie: I

Opracowanie graficzne: Pan Goryl
<http://pangoryl.iportfolio.pl>

Korekta: Marek Grzywacz, Tomasz Czarny
Skład: Paweł Mateja, Marek Grzywacz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora. Zabrania się jej publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży zgodnie z Regulaminem Wydaje.pl.

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów:

Copyright ©2013 by Sylwia Błach
Copyright ©2013 by Rafał Christ
Copyright ©2013 by Tomasz Czarny
Copyright ©2013 by Krzysztof T. Dąbrowski
Copyright ©2013 by Grzegorz Gajek
Copyright ©2013 by Marek Grzywacz
Copyright ©2013 by Dawid Kain
Copyright ©2013 by Rafał Kuleta
Copyright ©2013 by Paweł Mateja
Copyright ©2013 by Karol Mitka
Copyright ©2013 by Łukasz Radecki
Copyright ©2013 by Marcin Rojek
Copyright ©2013 by Tomasz Siwiec
Copyright ©2013 by Paweł Waśkiewicz

ISBN 978-83-62255-37-5

Spis treści

Spis treści	2
Przedmowa	4
Dawid Kain „Talidomid”	9
Łukasz Radecki „Wyrzygać duszę”	20
Sylwia Błach „Dwa słowa”	36
Marek Grzywacz „Dziewczyna, która miała w sobie coś więcej”	43
Tomasz Czarny „Świątynia”	47
Paweł Mateja „Ibidem 1”	54
Karol Mitka „Aż po grób, a nawet dalej”	58
Krzysztof T. Dąbrowski „Pozory mylą”	62
Grzegorz Gajek „Po jednym”	75
Paweł Waśkiewicz „Coraz większe ryby w akwarium”	82
Marcin Rojek „Drżenie”	104
Tomasz Czarny „Puszka Coli”	117
Marek Grzywacz „Święte mięso”	124
Rafał Christ „Od 5:00 do 9:00”	141
Rafał Kuleta „Pornopolis”	148

Tomasz Siwiec „Jajko niespodzianka”	173
Autorzy projektu	187

Przedmowa

Oddajemy do waszych rąk nową antologię grozy. Opowiadania zawarte w niej są szokujące, plugawe, wstrząsające i obrzydliwe. Bo tym właśnie powinien być horror, przynajmniej według mnie. Mało tego, taki polski horror lubię, doceniam i szanuję. Nie ma tu przypadkowych tekstów, prób, które jedynie ocierają się o tematykę, które tylko imitują grozę...

Praca nad tym zbiorem rozpoczęła się mniej więcej w połowie grudnia 2012 roku, a skończyła całkiem niedawno. Ogrom maili, tysiące wiadomości na Facebooku, korekty, nieprzespane noce. Nie było łatwo. Zawsze irytowało mnie to, że w wielu polskich antologiach grozy wspaniałe opowiadania sąsiadowały z typowymi zapychaczami, w dodatku nie mającymi właściwie nic wspólnego z horrorem. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce i stworzyć mocną, świeżą i ekstremalną antologię, w której teksty będą ociekać posoką i innymi płynami ustrojowymi, a wszystko to we wspaniałej otoczce gore, bizarro, porno i nihilizmu. Nie chcę przez to powiedzieć, że poziom intensywności, zezwierzęcenia i ekstremy jest jednakowo wysoki w każdym z zebranych opowiadań. Jest kilka tekstów, które pozwolą wam na chwilę wyjąć głowę z muszli klozetowej i zaczerpnąć świeżego powietrza. Jedno mogę wam obiecać: prezentowane tutaj utwory nie były nigdy wcześniej publikowane, są to premierowe odsłony, tym bardziej jestem z tego rad. Jestem pewien, że każdy miłośnik grozy i makabry znajdzie w tym zbiorze coś dla siebie. Rozpiętość tematyczna jest naprawdę ogromna, na co po cichu liczyłem od początku. Uwielbiam absolutnie każdą z tych „perełek” i daleko mi do tego, by wskazywać fragmenty lepsze...i te dobre. Kilka tekstów odrzuciliśmy, kilku się nie doczekaliśmy, kilka przeszło gruntowną korektę. Autorom, którym się nie udało zaistnieć w tym zbiorze kibicuje nadal, służę radą i pomocą w razie czego, a przede wszystkim mówię: nie poddawajcie się, nie składajcie broni (pióra, a właściwie aplikacji Office), przyjdzie jeszcze wasz czas.

O jedno was proszę: uszanujcie ogrom pracy, jaki w to włożyliśmy, a także pracę pisarzy prezentujących się w tej antologii, bo wszystko to

robiliśmy z myślą właśnie o was, o polskich czytelnikach grozy, którzy często są spragnieni mocnych i dosadnych tekstów, a nie byli nimi karmieni w wystarczającym stopniu.

Dosyć gładzenia i smęcenia.

Zapraszam do tego chorego świata wtajemniczonych, wielbicieli makabry i ekstremy, wszystkich horror-maniaków, a także przypadkowych czytelników. Tylko... czy znajdziecie wyjście?

Podziękowania:

Marek Grzywacz – za nieprzeliczone godziny spędzone ze mną na Facebooku, Google Talk, mailu i w Wordzie.

Michał Golczewski – za nieustające wsparcie mentalne i psychiczne (ciągle pamiętam o opowiadaniu o palczu z naszej podstawówki, plus w końcu będziesz miał co czytać).

Kazimierz Kyrz Jr. – za wspieranie moich projektów, ciepłe słowa otuchy i całą resztę.

Dawid Kain – za nieustające źródło inspiracji i wzór jeśli chodzi o warsztat, jesteś najlepszy!

Mariusz Juszczyk – za bezinteresowną pomoc, szacunek i wsparcie, Ty wiesz...

Piotr Szymalski – dzięki za szczerść, podtrzymywanie na duchu w ciężkich momentach i niesamowite poczucie humoru.

Agnieszka Kijewska – za zaufanie, bezinteresowność i wsparcie. Dzięki!

Marcin Bezznaczenia – za dopingowanie, pomoc 24/7, i za to, że nie zwiędły ci uszy od ciągłego słuchania mojego radosnego trajkotania o tym projekcie.

Pan Goryl – za nieustające zaangażowanie, gro czasu poświęconego ze mną nad projektami graficznymi i wspólne muzyczne, ekstremalne klimaty.

Tomek Siwiec – za motywację, wiarę w to, co robimy i w obronę przez nas ścieżkę.

Wielkie, szczerze podziękowania dla wszystkich autorów udzielających się w naszym projekcie. Dzięki za zaufanie, wsparcie, bezinteresowność i wyrozumiałość – jesteście wielcy!

Podziękowania specjalne:

Edward Lee – za spełnienie marzeń, nieustającą inspirację i motywację do działania.

John Everson – za zaufanie, szczerość, słowa otuchy i nadziei.

Shane McKenzie – za słowa wsparcia, motywację i przykład, że jednak można i warto.

Wrath James White – za inspirację, przykład i ciepłe słowa.

Dzięki!

Tomasz Czarny, 16.03.2013 r., Wrocław

Dlaczego warto wejść w horror ekstremalny właśnie teraz i tu? Czyli, innymi słowy, dlaczego właśnie to robimy w mocnym autorskim składzie?

Prawdopodobnie każdy z pisarzy, w których opowiadania wczytacie się za chwilę, zaoferowałby wam inne odpowiedzi na te pytania. Ja pozwolę sobie jednak użyć prostego słowa klucza – deficyt. Polskę, w której literacki horror często zdaje się jeszcze raczkować (mimo, że mamy tylu prześwietych, sprawnych i tworzących oryginalne dzieła twórców, którzy obracają się w kręgach szeroko pojętej grozy), ominęło bowiem coś dosyć ważnego – jak wiele pewnie ruchów i nurtów, ale ten brak przynajmniej ja odczuwam mocno. W późnych latach osiemdziesiątych XX-wieku, kiedy nie śniliśmy jeszcze o Amber czy Phantom Press, to coś ochrzczono mianem splatterpunku i był to (luźno pojmowany) ruch młodych, zbuntowanych pisarzy, którzy chcieli czegoś nowego, innego, mocniejszego, bardziej cielesnego. Dziś, kiedy te pragnienia ustakowały się jako ważny i wyróżniający się podgatunek, używamy jeszcze szerszego znaczeniowo pojęcia „horror ekstremalny”, ewentualnie odwołując się do esencjonalnego dla nurtu słówka „gore”. To na Zachodzie. a u nas? Ze splatterowej gromadki zakorzenił się w świadomości czytelnicznej Clive Barker, i też wydaje się on tematem bardziej dla smakoszy, synonimem horroru pozostaje Stephen King, a jeśli ludzie wskazują grozę nieco bardziej krwawszą i ciut bardziej erotyczną, to mówią zapewne o twórczości znanego, swojskiego Mastertona. Horror ekstremalny, przez zgoła trzy dekady wyznaczający nowe trendy i zagarniający rzesze czytelników, horror ekstremalny, który, wbrew skojarzeniom wędrującym ku prostackiej rzeźni dla samej rzeźni, stał się podstawą dla wielu wybitnych powieści i opowiadań, praktycznie w naszym kraju nie istnieje. Tak przynajmniej było do niedawna. Ostatnio na poletko polskiej grozy wkroczył z przytupem Edward Lee – gdy piszę te słowa, ma być po raz drugi gościem dużej imprezy poświęconej fantastyce i widać, że ludzie go oczekują – a choć to wejście nie jest może tym upragnionym, najbardziej zwyrodniałych i szokujących dokonań tego pana na razie nam oszczędzono, możemy je na pewno uznać za promyczek, który stopi lody.

Cieężko się więc spodziewać, że nagle masowo zaczniemy czytać Johna Skipppa, Charlee Jacob czy panów, których przywołał w swoim wstępie Tomasz Czarny, nie wróżę też, że masy horrorfanów będą w napięciu wyczekiwały nowości z Deadite Press czy Necro Publications, ale

powstaje świadomość istnienia poletka jeszcze obcego dla nas, a ciekawego, wartego uwagi i istotnego dla gatunku jako całości.

Ludzie bardziej świadomi wykonują też ruchy, które zaowocują nie-
długo większą obecnością ekstremy w obrębie naszego rynku.

Dlatego ten moment jest najlepszy, być może nawet pozwala nieco wyprzedzić bieg wydarzeń. Polscy autorzy mogą pokazać, że estetyka horroru doprowadzonego do granic, łamiącego tabu i nie oglądającego się na nic, nie jest im obca. Co więcej, że potrafią ją eksploatować w sposób umiętny i świeży. Polski horror nie jest obecnie kolosem, ale nie ma się też czego wstydzić – teksty autorów, którzy zadbali o jego wysoką jakość i ciągły rozwój, także znajdziecie w tej antologii. A obok nich dzieła młodych pisarzy, powoli wychodzących z mroków własnych szuflad, już odznaczających się, a w przyszłości, jesteście tego pewni, artystów decydujących o obliczu polskiego horroru, nawet fantastyki w ogóle. Ta antologia to nie demonstracja li tylko potencjału – zobaczycie, że prędzej sił i niezwyklej energii twórczej. Opowiadania zawarte w niej udowodnią wam, że horror ekstremalny jest trendem, na który czekacie, że potrzebujecie takich krańcowych, dewastujących doświadczeń czytelniczych. Strachu przed okrutnymi do granic możliwości torturami, przed seksualnością zmieniającą się w dzikie i pełne bólu wynaturzenie, przed deformacją i zniszczeniem ciała. . . Przed nieustępliwym maniakiem z prostym, efektywnym narzędziem mordy w dłoni, z którym nie da się negocjować, bo szaleństwo i pierwotne żądze drażące jego umysł sprawiły, że już nie myśli on i nie czuje jak człowiek. Przed potworem, który z lubością rozłoży na części pierwsze wasze ciała, dusze i wszystko, co było wam bliskie.

Horror ekstremalny zaczyna się, gdy dotrzemy do granic człowieczeństwa. Dalej znajdziecie tylko upodlenie, niewyobrażalny ból, krew i nicość. Wchodzicie w to?

Zapraszamy do lektury. . . jeżeli uważacie, że jesteście w stanie ją wytrzymać.

Marek Grzywacz, 19.03.13, Józefów

Dawid Kain

TALIDOMID

Mateusz pragnął zejść wysoko, ale nie miał nóg. Chciałoby się rzec, że urodził się już na wózku, lecz tak serio rzecz biorąc, to żadnego zelastwa w matczynym łonie nie było, same flaki i te różne tam płyny, zero wspomagania dla przyszłego kaleki, brak podjazdu przy wyjściu, kurewsko ciasnym na dodatek, słowem – jedne wielkie schody, od dnia poronionej koncepcji.

Matiemu brakowało kulasów, miał za to bardzo silne dłonie. Już podczas porodu samodzielnie rozchylił nimi srom rodzicielki, niczym kurtynę, i wychylił ciekawsko główkę, zerkając na świat, który z początku był w rozmiarze XS, w formie wąskiej jak trumna szpitalnej sali, i miał ograniczoną ilość kolorów, z wyraźnym dominatem jednej barwy – białej. Nie wyglądało to zbyt dobrze, rzeczywistość raziła monochromatycznością, dzieciakowi po chamsku poskąpiono kończyn, wstawiona bimbrem położna kiwała się niczym topola na wietrze, lekarz miał wielgachne i niezgrabne łapska, dotyk nieprzyjemny od pierwszego otarcia, kto zresztą wie, gdzie je wcześniej wkładał.

Po co jednak ciągle wspominać trudne początki, rozwodzić się nad każdym szczegółem jakby był istotny? Uporczywość pamięci – nie inaczej! a gdyby tak wymazać to wszystko, zrobić „format dwukropek mózg” i cześć? Byłoby fajnie. Tak po prostu cofnąć czas klawiszem „backspace” lub przyciskiem „wstecz”. Widzieć, w zwolnionym tempie, jak ojciec ze ślepym członkiem w garści ucieka przed rozkraczoną matką, jakby w środku miała drut kolczasty, wiedzieć, że nigdy nie dojdzie do zapłodnienia ani jego ani żadnym innym nasieniem, od niechcenia rzuconym w pochwę jak kłątwa, że twoja rodzicielka pójdzie do klasztoru albo, kurwa, gdziekolwiek, oszczędzając ci tego, co zaszło, a czego nie możesz zapomnieć. Ale to nie był film, to nie był film, opcja rewind miała tu najjawniej bana, trzeba było żyć, obojętnie, czy się miało ochotę, czy też nie. Mati akurat nie miał, lecz o nic go nie pytano. Posadzono jego truchło na wózku, postawiono wobec faktu dokonanego i jazda, niech

sam się teraz martwi.

Mieszkał nasz Mati w Zakopanem. A Zakopane jest małym, nieciekawym miasteczkiem – to taki typowy odbyt, skurczony między pośladkami gór, by być w miarę obrazowym, otoczony przez wioski i wioseczki, niczym występujące w znacznej ilości hemoroidy. Chłopak pozbawiony dolnej połowy nie mógł tu zyskać zbyt dużej sympatii, o ile w ogóle jakąś, wszyscy gapili się na niego jak sroka w gnat, a on przecież cierpiał na niedostatek gnatów. Góralska i ceperska brać wytykała go palcami, lecz ani jeden złamas nie zbliżał się do niego na krok. Pewnie się bali, że się zarażą, że im też coś się stanie z nogami, najpierw uschną, a potem odpadną, taka historia, amen. I kaplica, bo jak tu bez nich iść do Wierchów, słynnego niegdyś klubu nocnego, gdzie hitem sezonu jest pieśń „Bania u Cygana”, małe piwo kosztuje sześć zeta, a dużych nie ma, bo nie ma, więc jeśli ktoś chce duże, musi kupić dwa małe, za złotych w sumie dwanaście, lub przemycić pod kurtką ze spożywczego z naprzeciwwka, za złote trzy lub dwa z czymś, o ile dobrze pamiętam, choć przecież pamięć mam wspaniałą.

Mateusz znalazłby może azyl gdzieś w górach, pośród mchu, kosodrzewiny i wiecznie rozbeczanych kozic, znalazłby ratunek w spokojnej kontemplacji przyrody, ze skalnych szczytów gapiąc się w chorobliwie siną dal – niegdyś słynni poeci i inni duchowi paralitycy tam właśnie chowali się przed motłochem. Jednak i tutaj był pewien drobny zonk, drobna, że tak powiem, ściana, bo na wózku nie szło nigdzie wjechać, chyba że co najwyżej w dupę dorożkarza, a w kolejce do – nomen omen – kolejki linowej turyści robili takie gały, jakby próbował dostać się na Kasprowy za pomocą łodzi podwodnej tudzież ruskiego czołgu. I co on miał na to poradzić, cóż miał zrobić, kochani?

Mati zamknął się więc w sobie, starając się unikać zbyt częstego stykania się ze smutną prawdą o tym, co go otaczało, bo rzeczywistość potrafi być nieraz jak ogień, jak rząd płonących obręczy, przez które kazano ci skakać, mimo twojego braku szeroko pojętych kulasów. Codziennie po budzie zatrzaskiwał drzwi pokoju i siadał przed kompem, by grać i surfować, surfować, surfować. Tak, net to był zdecydowanie jego konik, dziki cwał przez rozmaite strony, to było to, dłonie miał silne, więc nie bolały go palce, nawet po dziesięciu godzinach non-stopowego klikania, nawet po długaśnej sesji pieszczenia scrolla niby jakiejś – za przeproszeniem – gumowej łechtaczki. Ileż witryn stawało przed nim otworem, jakież mnogość tematów! Fora, listy dyskusyjne, blogi! Wchodził więc so-

bie elegancko na czata, klikał na przykład w AgaGoronca17_Szuka i pisał jej:

Cze, piękna moja, jestem inżynierem nanotechnologii na uniwerku we Wrocławu, robię doktorat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, blond włosy, przenikliwe, inteligentne spojrzenie, mój mały z kolei ma jakieś dziewięć cali długości, a co do objętości, to ci powiem, że muszę przy laniu brać go w obie ręce, bo w jednej się nie mieści, czy więc zmieści się w tobie? Odpowiedz mi, moja droga.

Jakże go to podniecało! w sieci mógł być, kim chciał, kłamać bez ograniczeń i nie narażać się na żadne przykrości. Brał fotkę DiCaprio z jego młodszych lat, doklejał ciało ze strony coolturaści.pl i słał ten fotomontaż jakiejś kurwie z Warszawy, co to chciałyby być modelką, ale się waha, Nike z Samotraki, bo ma też talent językowy, pisze wiersze na szkolne akademie, jej idolami są Czesław Miłosz oraz Claudia Schiffer, Zbigniew Herbert a także Kate Moss, „tudziesz” Adriana Sklenarikova: „to co mi poradzisz, Mati, jechać do Paryża czy wydać swom lirykę w Wydawnictwie Literackim?”. Chciałby spotkać ją kiedyś na żywca, trzeba przyznać, pragnąłby pokryć takiego pustaka, a jeśliby się wzbraniała, to chyba nie miałby oporów nawet przed popełnieniem gwałtu, swego zresztą czasu w kinie na „Nieodwracalnym” mu parę razy stanął, jak Monicę Bellucci jakiś zbok posuwał analnie, a potem ją zabił, więc i tu mogłoby być ciekawie, bo przecież osoba tak wydrażona z intelektu, tak w swej istocie chochołowa, to nawet nie jest człowiek, już więcej szarych komórek znalazłoby się u dmuchanej lali albo morskiej algi. Zamordować takie coś, to jak splunąć w niezawietrzną stronę.

Dobrze, że niektórzy ludzie mieli puste głowy, świadomość tego faktu napełnia bezbrzeżną radością i na pewno pomoże kiedyś Mateuszowi w osiągnięciu jego nadrzędnego celu, który był dość prosty, mianowicie taki: „zajść wysoko”, tyle, kropka, a tyczył się różnych dziedzin życia: kariery zawodowej, pozycji towarzyskiej, tabeli wyników gry „Star Defender 4”. Mati mógłby wspinać się po tych tępakach jak po szczęblach drabiny, by dostać się w upragnione miejsca, z których rozciąga się widok jak z najwyższej wieży, na perspektywy szerokie niby małopolskie łąki. Musiał jednak wpierw zyskać nad resztą społeczeństwa miażdżąca przewagę intelektualną, skoro fizycznej nie miał żadnej, skoro mięśni wystąpił aż taki niedostatek, czytał więc mnóstwo artów na necie, co-dziennie, do tego liczne książki, ze wszystkich obszarów wiedzy, na

półkach w pokoju trzymał tylko najlepsze dzieła z rozmaitych dziedzin, często nie spokrewnionych ze sobą: „Kwiaty zła”, „Kapitał”, „Mieć czy być”, „Tęcza grawitacji”, „Prawy, lewy, złamany” – sama klasyka, przyznajcie. Większość jego rówieśników czytała tylko instrukcje obsługi prezerwatyw, tudzież opisy na pudełkach bibułek „OCB”, a i to dukając, więc już na starcie był o kilka kilometrów do przodu. Takie fory popłacają.

Poświęćmy teraz trochę miejsca jego starym, by nie zostawali tak już całkiem na drugim planie. Otóż: rodzice zupełnie się nim nie interesowali. Prowadzili pensjonat, trzepali na tym sporą kaszanę, gotowali spory hajs, nie mieli więc czasu na swoje – jak to określił proboszcz, odmawiając ich dziecku chrztu, komunii i bierzmowania za jednym zamachem – „dziwadło”.

Matka była religijna do przesady, uważała narodziny Mateusza za skaranie boskie, czy coś w tym rodzaju. Z początku pytała się Niebios: „Za co, no za co?”, rwąc włosy z łba, lecz potem jej się przypomniało, że jako nastolatka dawała często-gęsto gościom z okolicznych wiosek, zazwyczaj poznanym na mszy w niedzielę, bo tam przystojniaków było stosunkowo najwięcej, niby grzybów po deszczu, więc może to za to, któż to wie? Niezbadane są Jego wyroki – tak się czasem mówi, ja jednak radzę wam na miejsce słowa „niezbadane” podstawić słowo „kretyńskie” albo „godne idioty” i wtedy będzie bardziej adekwatnie i klarownie.

Z kolei starszy Matiego – kawał, swoją drogą, kutasa – albo ścigał turystów z dworca, krzycząc: „tanie, luksusowe pokoje!”, czyli kłamiąc, albo przesiadywał w knajpie, gdzie procenty pozwalały mu zapomnieć o codziennych problemach i dręczącym go od małego kompleksie Edypa, przez który – niby to przypadkiem – zabił kiedyś ojca przy ostrzeniu kosy.

Mateusz miał zatem na chacie absolutną wolność, zanurzał się w sieć, przeglądał portale informacyjne, strony hard-porno, śmiał się z flaszowych animacji, pełnych humoru i brutalnych, ścigał teledyski: Behemoth, Marilyn Manson, Slipknot.

I działał wedle tej matrycy szkoła-komp-sen, idąc wciąż tym samym tropem, niby po nici Ariadny, poprzez skomplikowany labirynt rzeczywistości, gdzie jedyne wskazówki, które mogą ci w czymś pomóc, to wskazówki zegara, tik-tak, tik-tak, o tak, boleśnie upływał mu czas, aż do dnia, w którym odkrył zagadkową grę internetową o nazwie „Kostka

śmierci”.

Cieężko jednoznacznie określić, czym właściwie miała być i dla kogo była przeznaczona. Na pewno nie dla nieletnich – strona tytułowa zawierała ostrzeżenie, że witryna zawiera materiały pełne przemocy, po angielsku: *ultraviolent*. Pierwsza plansza nie stanowiła dla grającego w gruncie rzeczy żadnego wyzwania – przy użyciu celowniczką, w który zmieniał się kursor myszki, należało tylko strzelać do migających raz po raz między wirtualnymi drzewami postaci. Liczył się przede wszystkim refleks. Zabawa była lekka i przyjemna. Krew miała barwę *profondo rosso*, sami sobie przetłumaczcie, jeśli was to jara.

Gdy po kilkunastu minutach szurania myszą po podkładce przed Mateuszem pojawiła się tabela podsumowująca, chłopak doznał niemałego szoku i szcękowego drgania.

Zabici, stojący w rzędzie u góry ekranu, mieli twarze uczniów liceum im. Oswalda Balzera, do której przecież Mati chodził, których w dni powszednie mijał na auli i w korytarzach.

– To musiał wymyślić ktoś od nas. Ktoś z naszego ogólniaka. Na sto procent – powiedział sam do siebie Mateusz, rechocząc i z uśmiechem dodając stronkę do Ulubionych. Spodobała mu się jak nie wiem co! w głowie miał rozkoszny mętnik, którym napawał się przez kilka chwil z rozmarzonym wyrazem facjaty i oczami jak witryny w dzień letniej wyprzedaży. Potem wyłączył peceta, była już bowiem północ, a następnego dnia lekcje zaczynały się o ósmej.

W nocy śniło mu się, że babka od biologii prowadziła zajęcia zanużona w wielkim słoju z formaliną. Przy każdym wypowiedzianym słowie z ust wylatywała jej bańka powietrza. W każdej bańce był ludzki embrion, niby uschnięty pąk kwiatu.

Obudził się zlany potem i z tą samą myślą, co zawsze: że odrosły mu nogi.

Ale marzenia tak rzadko się spełniają! Jeśli w ogóle kiedykolwiek...

Na lekcjach Mati był rozkojarzony, swoją klasę notorycznie widział jako coś, co nadaje się jedynie przed pluton egzekucyjny, tak nimi pomiatał, a z nauczycielami nawet jeszcze gorzej, tych powinno się rozczłonkować za pomocą widelca, posypać solą i spożyć, niech wiedzą, że się do czegoś w życiu przydali, że ta ich egzystencja nie była zupełnie jałowa.

Po szkole oczywiście od razu, jak zaprogramowany wcześniej robot: przed monitor, włączyć przeglądarkę i jazda, „Kostka śmierci” czeka.

Nim wczytała się kolejna plansza, na ekran wskoczyło okno z następującym zapytaniem:

„Czy oddasz mi swoją duszę?”.

Poniżej dwa przyciski: „Tak” i „Nie”.

Mateusz odruchowo kliknął „Tak”, biorąc całą rzecz za żart. Różne były sondy, ankiety i różne padały w nich pytania. Ta nie była ani najdziwniejsza, ani najbardziej oryginalna.

Jego przekrwionym oczom ukazało się lustro, na którym widniał napis: „jalezrtszor”.

Brzmiało to jak jakiś obcy język, pradawne zaklęcie. Mati kilkakrotnie wymówił słowo na głos, ale nic mu się zaświtało. Wodził kursorem po powierzchni lustra, nie natrafiając na żaden ukryty button. Po chwili umysł mu się rozjaśnił. Odbicie! Tak, nie chciało być inaczej! Zapisał wyraz od końca:

„rozstrzelaj”.

Dopisał słowo na pasku adresu:

www.kostka-smierci.pl/rozstrzelaj

O dziwo natychmiast zadziało!

Wgrała się kolejna plansza, gdzie na wściekle migającym czerwono-fioletowym tle dostrzec można było chłopaka z potężnie umięśnionymi nogami. Nie był to jednak jakiś zwykły anonimowy gówniarz, zwykła internetowa lama, tylko Leszek, koleś, który w liceum Balzera był najlepszy w bieganiu i całe popołudnia spędzał na siłowni, a konkretnie na maszynie rozbudowującej uda, podnosząc tam ciężkie kilogramy. Mateusz szczerze go nienawidził. Może dlatego, że jemu dobrotliwy Stwórca poskąpił kończyn, a może z zupełnie innych powodów.

Rozgrywka polegała na tym, że trzeba było za pomocą kursora obracać nogi Leszka ze skóry, potem z mięśni, a na koniec zmiażdżyć mu kości, używając specjalnego młota.

No po prostu miódzio!

Mati wprost nie mógł uwierzyć, jak wielką przyjemność sprawiała ta gra. Ktoś najwyraźniej też nie cierpiał fagasa, którym tak gardził Mateusz, i postanowił stworzyć w sieci miejsce, gdzie będzie mógł wyładować negatywne emocje. To było wspaniałe! To był interaktywny dynamit!

Po krótkiej rozgrywce zaistniał jednak drobny kłopot z tą planszą, znacznie utrudniający przejście do następnego etapu. Trzeba było bowiem wykończyć Lecha w ciągu zaledwie czterdziestu pięciu sekund!

Za pierwszymi pięcioma podejściami Mati był wprawdzie w stanie obe-
drzeć syna suki ze skóry i z mięsa, ale nie dawał już sobie rady z tym
młotem całym. Obsługa tego ostatniego polegała na rytmicznym, na-
przeziennym wciskaniu przycisków myszy, raz za razem. Każde wy-
padnięcie z rytmu powodowało stratę cennego czasu, którego i tak było
przecież jak na lekarstwo.

Dopiero za szóstym podejściem Mati odniósł pełen sukces. W na-
grode za ukończenie etapu mógł obrać ze skóry twarz znienawidzonego
wroga, ciesząc uszy jego wrzaskami. Było to zrobione tak realistycznie,
że momentami odnosiło się wrażenie, że to nie jest gra, lecz w pełni na-
macalna rzeczywistość.

To osobliwe wrażenie następnego dnia jeszcze się pogłębiło, bowiem
gdy Mateusz ujrzał Leszka na auli, ten poruszał się o kulach, z gębą po-
obijaną jak stary, rozdeptany banan. Jego dotąd świetnie umięśnione
nogi teraz wydawały się krzywe i chude, wręcz cherlawe. Każde ko-
lano kierowało się w inną stronę, niczym źrenice zezowatego. Pod bladą
skórą dawało się dostrzec miejsca złamań, wyrzuczone naciskiem po-
gruchotanych kości. Widok dosłownie porażał!

Szkolna wieść głosiła, że Lechu spadł ze schodów i już nigdy nie bę-
dzie mógł biegać. Za każdym razem, kiedy słyszał te słowa, Mati czuł,
jak uśmiech spina mu twarz niczym skurcz. Leszek. Nie. Będzie. Już.
Biegał. Niech więc pełza, niech pełza! Nie pełza, cały we łzach!

Po powrocie na chatę Mateusz niezwłocznie zasiadł przed kom-
pem. Miał wielką chęć od ręki włączyć „Kostkę...”, ale jako że odwle-
czone przyjemności są intensywniejsze, bardziej emocjonujące, najpierw
wszedł na Onet.pl i w temacie dotyczącym zgonu znanego zakopiań-
skiego księdza, Mirosława Drozdka, wpisał w komentarzach: „Srał was
pies”. Następnie na Interii, w pierwszym lepszym artykule o sporcie,
dał koment: „Srał was kot”, zaś na Wirtualnej Polsce, pod felietonem
dotyczącym rzekomego łamania w naszym kraju praw mniejszości sek-
sualnych: „Srała was szynszyla”. I kropka.

Dopiero wtedy kliknął w Ulubione i odpalił grę.

Na kolejnej planszy zobaczyć można było trumnę. Po przesunięciu
kursorem w poprzek wieka, otwierała się. Wewnątrz znajdowały się:
szmaciana lala oraz żyletka. Za pomocą tej ostatniej można było rozpruć
lalce brzuch i wywlec z niego pomarszczoną, starczą rękę. Mati momen-
talnie skojarzył, czyja ręka to jest. Pierścionki z kolorowymi kamieniami
na każdym palcu przywodziły na myśl tylko jedną znaną mu osobę. Do-

rota Kipiel-Dolna. Matematyczka. Suka. Kurwa i szmata. Wiedźma. I jeszcze raz kurwa, dodajmy, by bardziej dobitnie podkreślić jej charakter. Siedemdziesięcioletni postrach uczniów. Widmo starsze chyba nawet od samej szkoły (metryka mogła wszak kłamać). Naraz stanęły mu przed oczami wszystkie te chwile, gdy przed tablicą próbował nie wyjść na dumnia podczas rozwiązywania jakiegoś w kurwę trudnego zadania. W uszach dźwięczały mu jej syczące jadem komentarze: „Mateuszu, czy ty jesteś też kaleką umysłowym?“, „Nie mieć nóg to pikus, ty przecież nie masz mózgu, chłopie“, „Tobie właściwie od razu mogę wpisać jedynekę, bo nawet jak dosięgniesz jakimś cudem kredą do tablicy, to zadanie i tak zrobisz źle, ułomku“.

Poczuł jak wzbiera w nim trudna do opisanego gorycz. Mało było na świecie osób, które by aż tak nienawidził. To znaczy: nienawidził wszystkich, jak leci, ale tę spróchniałą sadystkę, tę zeszmąconą wywłokę, wyjątkowo, w – rzekłbym – wybitny sposób.

Potem nadszedł gniew. Niepowstrzymany wybuch negatywnych emocji.

Splunął na monitor.

Wyrzucając z siebie serię obelg tak potwornych, że powinien za nie dostać honorowe członkostwo w zespole Tourette’a, złapał kursorem żyłkę i ciachał nią dłoń nauczycielki tak długo i z taką wściekłością, aż ekran zrobił się czerwony od krwi. Nawet nie zauważył, kiedy pojawiła się kolejna plansza. Dodał ją szybko do Ulubionych, by później nie zaczynać od nowa, i wyłączył peceta. Postanowił niezwłocznie znaleźć ujście dla swego gniewu. Chwycił drewniane krzesło stojące pod ścianą. Zrzucił z niego stertę ubrań, które zawsze kładła tam matka, i walił nim o podłogę tak długo, aż rozpadło się na kawałki. Zmęczył się tym. Czuł ból w łokciach i kolanach.

Zaraz... w kolanach?!

Popatrzył po sobie.

Wciąż nie miał nóg, a mimo tego bolały go. Dokuczało mu palenie w mięśniach, które tak naprawdę nie istniały. W widmowych komórkach zbierał się już widmowy kwas mlekowy.

Czytał kiedyś o tym. Tak zwane fantomowe bóle, pojawiające się niekiedy po amputacji kończyn. Ale jemu nic przecież nie amputowano, on nie miał nóg od urodzenia więc skąd teraz, nagle?

Rozmyślał o tej sprawie przez następne godziny. Zastanawiał się też nad „Kostką śmierci“. Jeśli z matematyczką coś się stanie, podobnie jak

z Leszkiem, będzie to już niewątpliwym dowodem, że gra wpływa na rzeczywistość, a Mati za jej pośrednictwem jest w stanie krzywdzić realnie istniejących ludzi. Byłby to w takim razie najgenialniejszy wirtualny wynalazek w dziejach. Godzien najwyższych laurów.

Nazajutrz w szkole Mateusz przekonał się, że tak jest w istocie. Efekt przechodził najśmielsze oczekiwania. Od rana wszyscy szeptali o czymś po korytarzach, lecz dopiero w okolicach południa, na auli, dyrektor oświadczył wszem i wobec zebranym, że Dorota Kipiel-Dolna zginęła minionej nocy śmiercią samobójczą, świeć nad jej duszą, Panie.

Gdyby Mati miał nogi, skakałby z radości aż pod sam sufit.

To zupełnie jakby moje najskrytsze życzenia nagle zaczęły się spełniać – myślał.

Ze szkoły do domu jechał jak rakieta. Jeżeli kolejne etapy gry będą równie wspaniałe, to chyba przestanie wychodzić z chaty. Będzie ciupał jak nawiedzony. Jak jebnięty na umyśle, porabany. Ludzie wokół będą zdychać jeden za drugim, bez taryfy ulgowej. Każdy przecież kiedyś choć raz popatrzył krzywo na Mateusza, albo na jego widok szepnął: „pokraka”. Kto z was jest bez winy, co, skurwiele?!

Koniec z tym wszystkim!

Wy, którzy macie kończyny na swoich miejscach, drżycie!

Skąd możecie by pewni, czy któryś z was nie pojawi się w kolejnym etapie tej gierki?

Z możliwości danych przez „Kostkę...” będzie też można korzystać w przyszłości, jeśli – dajmy na to – wredny pracodawca odrzuci kandydaturę Matiego jako kaleki. Bo nie czarujmy się, że niepełnosprawni w domu, pełnosprawni w pracy, ha, ha, hahaha. Takiego wała! Wiemy, jak jest. Kto w to wierzy? Ale wtedy z takim kolesiem koniec. Absolutny reset fagasa. Porachowanie żeber metalowym prętem. Podważenie zęba po zębie obcęgi lub czymś równie stosownym. Wypreparowanie ust obcinakiem do naskórka. Wbicie cyrkla w chuja i pod paznokcie. Bezpowrotne wyrwanie powiek, by nigdy już nie zasnął spokojnie!

Mateusz energicznie dopada kompa. Jego podjaranie osiąga wszelkie możliwe granice, przeskakuje je i zapieprza dalej, jak na paraolimpiadzie, jakby za bycie czubkiem rozdawano tu medale.

Przełładarka, ulubione, klik...

„Kostka śmierci”.

Kolejna plansza.

Kobieca postać w oddali.

Przywiązana do dwóch równoległe leżących belek, za dłonie i stopy.
Zbliżenie.

Jej ciało wije się z bólu.

W tle muzyka jak z cyrku, tylko wolniejsza, bardziej psychodeliczna.
Tararara-tararara!

Kolejne zbliżenie.

Mati robi minę, jakby ktoś właśnie wysysał mu mózg przez słomkę.

Całkowita zaskoczka.

Kobieta na ekranie to jego matka, tyle że znacznie młodsza niż teraz.

– Oszkuuur...!

Czegoś tak cudownego w swej prostocie nie mógł sobie nawet wyśnić. Skrzywdzić matkę. Zniszczyć ją, na wszelkie możliwe sposoby. Zrobić wreszcie coś złego kobiecie, która sprowadziła go na ten parszywy świat. Marzył o tym chyba od momentu, w którym nauczył się marzyć. No bo kto tak naprawdę był najbardziej winien jego codziennego cierpienia, codziennej drogi przez mękę, po kocich łbach nudnych popołudni, spędzanych przed ekranem wieczorów, bezsennych nocy i mglistych poranków, kiedy znów trzeba jak ten syzyfowy kamień toczyć się do szkoły, gdzie wszyscy traktują cię jak skończonego dańca i ułoma?

Klika.

Ten etap polega najwyraźniej na otruciu matki tabletkami, które wysypują się z białego, plastikowego słoiczka. Trzeba je łapać kursorem i wpychać starej do jej niewyparzonej gęby. Musi łyknąć minimum piętnaście piguł, by gracz przeszedł dalej.

Kaszka z mleczkiem.

Wątróbka z kiszka.

Gałka oczna z wywleczonymi niby kable nerwami.

Udaje mu się już za pierwszym razem! Pełen sukces! Jupi, hurrra i congratulations! Mati szczerzy się w uśmiechu godnym zamkniętego oddziału.

Zbliżenie na słoiczek, obracający się z wolna.

Cyrkowa muzyka miesza się w głośnikach z bezdusznym chichotem.

Mateusz też cieszy michę.

Na słoiczku widnieje napis: „Talidomid”.

Ciekawe, czy to ją zabije, czy tylko wewnętrznie okaleczy? – zastanawia się Mati, wpisując nazwę leku w wyszukiwarce, by sprawdzić, czy wreszcie będzie miał spokój ze swoją przekłątą, zdewociałą starą, i niech kurwa spoczywa w niepokoju, amen.

Błyskawicznie odnajduje stronę z właściwym opisem.

Czyta:

Talidomid - lek uspokajający, stosowany do leczenia wymiotów we wczesnej ciąży, był przyczyną wad rozwojowych u ponad dziesięciu tysięcy dzieci, głównie niedorozwoju kończyn, głuchoty, ślepoty, rozszczepu podniebienia.

Niedorozwoju kończyn u dzieci?

Ale...

Śmiech momentalnie staje Mateuszowi ością w gardle.

Łukasz Radecki

WYRZYGAĆ DUSZĘ

Długie, ciemne, poskręcane i brudne włosy przykleiły się do umazanej sadzą, potem i krwią twarzy. Opuchniętej i pokancerowanej, na której obok młodzieńczego trądziku wykwitły żółto-błękitne sińce, buroniebieskie krwiaki. Gdzie pod jednym z niegdyś jasno niebieskich, dziś matowoszarych oczu rozlała się podskórnie krew, upodabniając napuchnięty policzek do wielkiego guza, nabrzmiałego tak obrzydliwie, jakby za chwilę miał wystrzelić ropą, zgnilizną i krwią. Drugie oko zniknęło pod dwiema ogromnymi szarymi naroślami upodabniając oblicze do człowieka-słonia. Na taki wygląd wpływał także nos, a raczej miążga jaka pozostała po nim w centrum twarzy. Przez krwistą, galaretowatą breję prześwitywały resztki śluzu i smarków, większość wyciekła na zewnątrz, prosto na spuchnięte, popękane i zaropiałe wargi. Wraz z każdym oddechem w dziurze po nosie pojawiał się czerwono-zielony bąbel krwi i smarków. Okaleczone usta nie były w stanie się otworzyć, zlepione zaschniętą krwią, ropą i wymiocinami, których fala wylała się na przyprószoną szczątkowym zarostem brodę i wąty, porośnięty rzadkimi włosami tors. Chudziutka klatka piersiowa, ozdobiona mizernym tatuażem przedstawiającym roześmianą czaszkę, co chwilę podnosiła się i opadała ciężko. Strzępy porwanej skóry zwisały w różnych miejscach, w innych dla odmiany podpięte były do reszty zszywkami, pinezkami a przy jednym z sutków agrafką. W kilku miejscach na torsie i w okolicach pępka ziała czarno-czerwona otchłań ropiejących ran, z których wydarto ochłapy mięsa, pozostawiając tam zgniłe ciało, z którego zdążyły się już wylęgnąć larwy much. Much, które obsiadły już cały przywiązany do krzesła korpus. Kończyny zwisały bezwładnie, ofiara nie była w stanie nimi poruszyć. Lewa ręka została całkowicie odarta ze skóry, od ramienia do łokcia, aż do gołej kości. Prawa ręka dla odmiany wyglądała jak krajobraz księżycowy, z tą różnicą, że wszystkie kratery wypalono do kości, a w kilku miejscach nawet na wylot, wyjątkowo żrącym kwasem. Nogi były pogruchotane. Pierwsza zmiażdżona licznymi uderze-

niami młota, każda kość została strzaskana. Druga noga była nadpalona w wielu miejscach, kolano zaś niemalże wyrwano. Brakowało penisa. Obcięto go tuż przy korpusie, a ranę po nim wyjątkowo starannie wypalono i opatrzone. Sterczała z niej niewielka rurka, przez którą na podłogę sączył się mocz. Jądra ponakłuwano licznymi szpilkami. W odbytu włożono ogromny lejek, który wbił się w jelito grube i pozwalał wydostawać się fekaliom rozbryzującym się pod krzesłem. Najbardziej intrygująca zdawała się jednak pachwina, bowiem tuż pod pępkiem, zaraz nad włosami łonowymi coś pulsowało, niczym mały, zwyrodniały płód. Tuż obok długiego rozdarcia ciała, zszytego niedbale dratwą. Miejsca, w którym zaszyłem żywą mysz.

Tak. To ja torturuję tego chłopaka. Muszę przyznać, że jest wyjątkowo wytrzymały. Jak dotąd nikt nie dotrwał do końca trzeciego dnia. Faktem jest, że dziś sobie trochę pofolgowałem i nieco przesadziłem, szczególnie z nogami. Już wczoraj poniosło mnie przy rękach i tak naprawdę z trudem zapanowałem nad krwawieniem, szczerze mówiąc, bardzo się zdziwiłem, kiedy rano znalazłem mojego gościa żywego. I nie ukrywam, że troszkę popsuło mi to plany, bowiem nastawiłem się raczej na dzień poświęcony porządkom, nie kolejnym torturom. Dlatego też zaszyłem mu w pachwinie mysz. Nie wiem co z tego wyjdzie, ale doszedłem do wniosku, że warto spróbować. Wcześniejsze eksperymenty nie zawsze odnosiły dobre skutki. Zaszycie węgorzy w udach lub dżdżownic w wargach okazało się bardzo pracochłonne i co gorsza męczące, szczególnie dla Bogu Ducha winnych zwierzątek. Wierz mi, naprawdę trudno jednocześnie utrzymać wijącą się dżdżownicę i szarpiącą się twarz przy jednoczesnym operowaniu igłą i nicią. Szczur zaszyty w brzuchu sieje zbyt wielkie spustoszenie i choć efekt, gdy gryzoń przedziera się na zewnątrz jest naprawdę spektakularny, to jednak, po raz kolejny, czas poświęcony pracy nie jest adekwatny do zgonu ofiary. Tym bardziej, że muszę uprzednio biednego szczurka uśpić, bo przecież z własnej woli nie dałby się zaszyć wewnątrz ludzkiego ciała. Dodam zresztą, że szczury uważam za wyjątkowo inteligentne stworzenia i nie chciałbym wyjść na okrutnika, który się nad nimi znęca. A zaszycie ich w ludziach może jednak poważnie im zaszkodzić. Myszka to co innego. Taki gryzoń przecisnie się nawet przez maleńką dziurkę, a tych w ciele chłopaka zostawiłem sporo. Kwestia czy dotrze do któregoś z nich. Jeśli nie, będę musiał znów operować, nie chciałbym, żeby coś mu się stało. Zwierzątku, nie chłopakowi. Myślę, że w chwili obecnej i dla ciebie jest tylko ochłapem

mięsa, ofiarą, której zdarzyło się coś strasznego, ale jednocześnie fascynującego, bo przecież interesuje cię śmierć, prawda? i to nie taka zwyczajna, musi być brutalna, krwawa, obrzydliwa. Ale nawet to ciebie nie rusza, bowiem widziałeś tak wiele i czytałeś już o dziesiątkach oraz setkach takich przypadków, jeden więcej nie robi więc różnicy. Uodporniłeś się, zobojętniałeś. Tak jak ja.

A co jeśli ci powiem, że chłopak nazywa się Piotr Frankowski, lat siedemnaście i pół, jak często podkreśla? Przyjaciele nazywają go „Frank”, albo „Franek”, ale zdecydowanie woli ksywkę Goretooth, jakiej używa w tak zwanym podziemiu. Gra na gitarze i śpiewa, czy raczej wrzeszczy w grind core’owym zespole Forest Dawn. Niby pseudointeligentna zabawa słowami, że niby Forest Gump, a tu wyeksploatowana przez black metalowców Puszcza, a przez doom/gothikowców wyświechtany świt. Świetny żart, prawda? Zgadza się, mnie też nie bawi. Ale to już sprawa Piotra/Franka/Goretootha. Chłopak uczy się nieźle, uczęszcza do renomowanego liceum, ma średnią 4,65 i marzy o dostaniu się na politechnikę. Czy daje ci to jakiś lepszy jego obraz? Pojawia się coś na kształt empatii? To jedziemy dalej. Interesuje się także mangą, za filmami i serialami anime jednak nie przepada. Hentai nie znosi. Lubi za to dobre filmy sensacyjne i kryminalne, dla relaksu nie pogardzi zaś horrorami. Woli te krwawe, bowiem nie boi się na nich tak jak na tych psychologicznych. Jego ulubieni aktorzy to Russell Crowe i Megan Fox. Polskiego kina nie trawi, bo, jak twierdzi, wszystko jest tutaj na jedno kopyto, poza tym polski film można od razu poznać po nieudolnym nagłośnieniu i niestarannym kadrowaniu. Co jeszcze? Książek nie czytuje zbyt wiele, póki co ogranicza się do lektur, ale uwielbia Sapkowskiego, Grzędowicza i Dukaja. Jeśli chodzi o horror literacki, to King go nudzi, Masterton śmieszy, a Ketchuma przeczytał pół „Dziewczyny z sąsiedztwa” i zrezygnował. O Edwardzie Lee nie chce słyszeć, bo dla niego to tylko chore porno. Za to chętnie czytuje Barkera, Senécala, Eversona, a przede wszystkim, co zaskakuje w takim brutalnym towarzystwie, Lovecrafta. Potrafi gotować. Nie przepada za tym, lecz może się pochwalić całkiem niezłą pieczeniową wołową i znakomitym łososiem w cytrynie. Umie jeszcze wiele innych rzeczy, te przykuły szczególnie moją uwagę. Wszak to wyjątkowe jak na siedemnastolatka. Muzyki słucha, oczywiście, metalowej. Przede wszystkim grind-core i death metal, ale nie pogardzi blackiem czy ostrym thrashem. Jego ulubione kapele to Pig Destroyer, Dying Fetus, Cattle Decapitation, oczywiście Napalm

Death i stary Carcass oraz Behemoth. Bo teraz wszyscy kochają Behemoth. I Nergala. Gry komputerowe go nudzą, choć spędził parę godzin przy Counter Strike'u i jednym z Need For Speedów. Zasadniczo jest jednym z wielu zwykłych chłopaków, zagubionych w alternatywnych poszukiwaniach własnej osobowości, pionkiem, który za wszelką cenę stara się wyrwać z szeregu, wyróżnić z tłumu, odbić od szarego dna. Nie interesują go łatwe panienki, szybkie auta, głośne dyskoteki. Papierosów próbował, trawki też, wystrzega się jednak innych używek. Lubi piwo, bo to wprost wypada, wódki natomiast pić nie potrafi i nie chce. O piciu bełtów wspominać chyba nie muszę, bo przecież taki typ w takim wieku przynajmniej kilka na spółkę z kumplami musiał „skanalizować”. Piotr nie jest wyjątkiem. Właśnie. Przy tym całym jego usilnym staraniu wybicia się z tłumu, wyróżnienia z grupy, wystawienia środkowego palca systemowi, jest tak naprawdę zupełnie normalnym, zwyczajnym, zapryszczonym i zakompleksionym buntownikiem, który prędzej czy później podda się i wpadnie w kierat ponurego życia. Chyba, że ziszczą się jego marzenia i Forest Dawn zrobi światową karierę. Ale nie robi. Bo, po pierwsze, w dzisiejszych czasach szalonego piractwa internetowego szansa na podbicie rynku muzycznego, w ogóle wydanie płyty, jest niemal równa zeru. Po co inwestować w coś, co inni i tak ukradną? Dlatego coraz więcej wytwórni pada, coraz mniej grup koncertuje, coraz gorzej to wszystko wygląda. Po drugie, Forest Dawn nie jest może kiepskim, ale z pewnością naprawdę przeciętnym zespołem i choć nagrali już dwie groźnie zatytułowane demówki: „Beheaded Virgin Corpse” i „Antihuman Disintegration”, to zaprezentowali na nich muzyczną papkę swoich inspiracji, nie dającą im najmniejszej szansy na oryginalność, zaistnienie na rynku, no i oczywiście kontrakt. Po trzecie, Piotr Frankowski aka. Frank, Franek, Goretooth, dziś umrze. Zameczony i zakatowany na śmierć przeze mnie.

Dalej brak empatii? Trudno. Mogę oczywiście opowiedzieć ci o jego rodzicach, matce nauczycielce i ojcu wojskowym. Jego młodszym rodzeństwie, dwunastoletniej siostrze Basi i siedmioletnim Kajetanie. O tym jakim Piotrek jest dla nich wzorem, jak pomaga rodzicom w prowadzeniu domu, o tych wszystkich duperelach, które czynią go dobrym człowiekiem. I na pewno lepszym od większości jego rówieśników. Ale ciebie to nie interesuje. Ty chcesz jego śmierci i to jak najbrutalniejszej. Nie sądzę by jakakolwiek wzmianka o jego upodobaniach, sympatiach, sukcesach i porażkach mogła sprawić, że jego los stałby ci się bliski. Dla

ciebie to tylko mięso, które trzeba oddzielić od kości. Dla mnie zresztą też.

Nazywam się Norbert Maksymilian Zakrzewski, lat sześćdziesiąt pięć. Przez kilka lat byłem ordynatorem szpitala wojewódzkiego, nieważne w jakim mieście. Poważne problemy alkoholowe, z jakimi się borykałem, skończyły się dla mnie oczywistym odsunięciem od wykonywania zawodu. Głupotą i nałogiem przekreśliłem lata własnej pracy, nadzieje rodziców, w zasadzie wszystko. Nie wątpię jednak, że było mi to potrzebne. Musiałem się odbić od dna, by zrozumieć co jest w życiu najważniejsze. Dopiero gdy straciłem dobre imię, pracę, dom, rodzinę (żony i dzieci się na szczęście nie dorobiłem); dotarło do mnie, że dalej jest już tylko płacz i zgrzytanie zębów. Od tamtej pory nie tknąłem nawet kropli. Nic, kompletnie nic. Ani lampki szampana na Sylwestra, ani jednej pralinki z alkoholem. Zacząłem nowe życie, poświęcając się całkowicie Bogu, bowiem to on ukazał mi właściwą drogę. To on zesłał na mnie hiobowe doznania, by sprawdzić mą wiarę i siłę. Obiecałem sobie, że go nie zawiodę. Dzięki znajomościom udało mi się dostać pracę w szkole, ponieważ, chcąc naprawić swoje błędy lekarskie, postanowiłem, że muszę, po prostu muszę pomagać ludziom. Postanowiłem pracować z młodzieżą. Komuna komuna, ale nawet aby zostać belfrem musiałbym mieć stosowne wykształcenie i odpowiednie plecy. Wtedy brakowało mi chęci, później już nie widziałem sensu. Zostałem konserwatorem i szczęśliwie przepracowałem kilkadziesiąt lat w liceum ogólnokształcącym, patrząc na rozwijający się kwiat młodzieży polskiej. Szczerze? Do dziś tam pracuję. I jestem bardzo zadowolony. Wykonuję swoją pracę sumiennie, nie słyszałem nigdy żadnych skarg na swoją osobę. Jestem pobożnym, poważanym i szanowanym obywatelem, którego przeszłość została już dawno zapomniana. Niemal przez wszystkich. Pozostali mnie nie interesują. Ważne, że Bóg mi wybaczył. Bo On wybaczca zawsze.

Możesz odczuwać lekkie zagubienie, ale już śpieszę z wyjaśnieniami. Jak powiedziałem, zrozumiałem swoje błędy, poświęcając się Bogu, Jego miłości i opiece. Żyłem szczęśliwie przez kolejne lata, sumiennie wykonując swoje obowiązki. I nagle przyszedł przełom lat 80-tych i 90-tych. Wtedy to właśnie pojawiła się w naszym kraju muzyka metalowa. Niby istniała już wcześniej, niby podziemie kipiało od licznych załóg walczących z systemem, komuną i cenami w sklepach, niemniej dopiero wspomniany przełom doprowadził do, nomen-omen, wielkiej

zmiany. Uczniowie coraz śmielej manifestowali swoje upodobania muzyczne, a wraz z nimi ideologiczne. Jak larwy z gnijącego odbytu wypełzli na światło dzienne sataniści, dewianci, zboczeńcy, brutale. Długowłosi jaskiniowcy drący się na siebie bez sensu, pozdrawiający się demonicznymi gestami, manifestujący bluźniercze symbole. Większość z nich była po prostu pozerami, pajacami próbującymi eksponować swoją inność poprzez wpasowanie się w masy. Tak było z punk rockiem, tak było z new wave, tak było z rockiem gotyckim. Nic, czym można by się przejąć, prawda? A jednak w 1991 roku ukazała się czarna płyta Metaliki oraz podwójne „Use your illusion” Guns N’ Roses. Wówczas muzyka metalowa i hard rockowa weszła na salony. Oczywiście od kuchni, za sprawą słodziutkich do obrzydzenia ballad, niemniej zaintrygowana młodzież zaczęła rozpędzać się coraz dalej, od Metaliki szli do Testamentu, Exodusa, Megadeth, a przede wszystkim do Slayera. A stąd już króciutka droga do zarazy z Florydy w postaci death metalu, wspieranego równolegle szturmem szwedzkich brutali. To wtedy w telewizji leciały w całości koncerty Napalm Death, brytyjskich mistrzów i ojców grind-core’a, to wtedy można było zobaczyć wszędzie teledyski Cannibal Corpse, Deicide, Death, Entombed, Dismember, Grave. Wreszcie to wtedy album tak wściekły i prymitywny, jak „The End Complete” Obituary mógł osiągnąć status złotej płyty, a bluźnierczy i niezwykle agresywny „Covenant” Morbid Angel pokrył się nawet platyną. Zasadniczo wszyscy słuchali metalu, najczęściej w jego najbardziej brutalnych odmianach. No, byli też tacy, co upierali się przy rapie (jeszcze nie hip hopy), nie brakowało fanatycznych miłośników Depeche Mode, czy muzyki elektronicznej. O skinheadach też zapomnieć nie mogę. Ech, rozdrabniam się niepotrzebnie. Trzymajmy się tego, że większość chłopaków słuchała metalu. Choćby na pokaz.

I właśnie kontakt z jednym z nich sprawił, że moje życie uległo poważnym zmianom i zasadniczemu przewartościowaniu. Nazywał się Dominik Halerz. Nieco puszysty szesnastolatek w okularkach w rogowej oprawie. Długie do połowy pleców, ciemne, kręcone i ciągle brudne włosy zawsze nosił rozpuszczone. Nie był to pierwszy metalowiec, którego zobaczyłem, ale pierwszy tego typu. Był czerwiec, a może po prostu wyjątkowo ciepły maj. Chłopak miał na sobie koszulkę, na której dwa obrzydliwe, okrwawione szkielety kroili i odzierały z mięsa młodą kobietę. Jeden z nich wyrывał z połamanej miednicy maleńkiego noworodka, zaplątanego w pępownię. Rysunek był nad wyraz realistyczny,

widać było każdą tkankę, gnijące cielska oprawców, odarte z mięsa żebra... Wszystko utrzymane w brudno-brunatnych barwach, jednak skąpane w wyjątkowo jaskrawo czerwonej krwi. Tej zaś na całym rysunku był wprost nadmiar. Wydawało się, że za chwilę wprost wyleje się z jego ram, zachłapie chłopakowi koszulkę, zbryzga podłogę. Juchą zalany był obrus na którym leżała pocięta kobieta, umazano nią fartuchy, noże, ręce oprawców. Ale nawet nie to było w tym obrazku najgorsze. Kwintesencji obrzydlistwa stanowiło tło, w którym niczym muchy na pajęczej sieci rozwieszono trupy noworodków i niemowlaków w różnym stopniu rozkładu. Małe szkieleciki, zgniłe truchełka, malutkie ciała ogołoczone z mięsa, ukrzyżowane, okaleczone, ziejące pustką martwych oczodołów w maleńkich, zmiażdżonych i rozbitych czaszeczkach. Wiszące w różnych pozycjach, na szubienicach z pępowin, na hakach wbitych w niewielkie plecki, z oderwanymi od skatowanych korpusików nóżkami i rączkami. Dziesiątki drobnutkich, okaleczonych nad wszelką wyobraźnię, martwych istotek. Zatkalo mnie. Pamiętam, że autentycznie zaniemówiłem, gdy jak co rano stałem przy wejściu do szatni, witając wchodzących do szkoły uczniów. Widziałem już chłopców w koszulkach z czaszkami, kozłami, było nawet dwóch odważnych, którzy przyszli z odwróconym pentagramem lub odwróconym krzyżem na piersi. Ale czegoś tak chorego się nie spodziewałem. Oto przede mną jawił się obraz totalnego zepsucia i ordynarnego okrucieństwa, irracjonalnej gloryfikacji śmierci, absolutnego braku poszanowania dla ludzkiego ciała. Pamiętam, Dominik miał na sobie jeszcze krótkie spodenki, modne wówczas „bermudy”, czarne, z rysunkiem szkieleciku noworodka zwiniętego w embrionalną pozycję, z przerażającą dziurą ziejącą w rozbitej głowce. Pamiętam, że na tylnej stronie koszulki widniał ten sam rysunek, w znacznym powiększeniu, wraz z nazwą zespołu i tytułem płyty. Nie znałem wtedy angielskiego, nie rozumiałem tego całego ruchu, ale słowa Cannibal Corpse nad wyraz jasno przemówiły do mojej wyobraźni. Narysowane jakby konającą dłonią litery kpiły z mojego poczucia bezpieczeństwa. Świat wówczas przestał być dla mnie bezpiecznym miejscem.

Spróbuję ci wyjaśnić dlaczego. Otóż nie mam nic przeciwko wizerunkowi Szatana, diabła, pentagramom i odwróconym krzyżom. Przyznajmy szczerze, większość zespołów „satanistycznych” to po prostu banda błaznów, wygłupiająca w makijażach á la miś panda. To w gruncie rzeczy cyrk, który się dobrze sprzedaje. Kabaret, tylko że nieco idiotyczny. Oczywiście wiem, że istnieje odsetek twórców prawdziwie od-

danych piekielnym wierzeniom. I powiem ci, że bardzo mnie to cieszy. Nie ma dobra bez zła. Biel nie może istnieć bez czerni. Miłość Boga nie zostanie doceniona bez okrucieństwa Szatana. Jeśli oni wierzą w diabła, jeśli go popierają, proklamują, tym samym popierają też Boga. Bo ostatecznie to on osądzi wszystkich i sprawiedliwie nagrodzi za zasługi oraz ukarze za grzechy. Dlatego każdy zespół wielbiący Zło przyczynia się do wychwalania Dobra. Musi bowiem istnieć alternatywa, opozycja. Bóg w Swej mądrości i łaskawości dał nam przecież wolną wolę. A widząc wizerunki diabła, Antychrysta czy Szatana, nikt przy zdrowych zmysłach nie zapała do nich miłością. Owszem, mogą one przywoływać ułudę potęgi, mocy. Bo Szatan jest potężny. Jest mocarny. Bo tak chciał Bóg, zezwalając na jego istnienie. A skoro Bóg na to zezwala, ja z tym walczyć nie zamierzam. Kim bowiem jestem, żebym podważał decyzje Stwórcy? I nie zamierzam walczyć z tymi, którzy Szatana czynią swoim Złotym Cielcem, bowiem synowie marnotrawni staną przed obliczem Boga gdy nadejdzie dzień Sądu, a On im wybaczy. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. On zawsze wybacza.

Co innego ta brutalność. Śmierć jest opozycją dla życia i już samo to powinno wystarczyć nam, Stworzeniom Bożym, do docenienia faktu istnienia, do radowania się naszą obecnością w tym miejscu. W śmierci nie ma nic zabawnego, nic co można by gloryfikować. Ją należy szanować, ponieważ wszyscy umieramy. Nikt nie jest od tego wolny. I ja rozumiem, że trzeba się oswoić z lękiem przed nią, zrozumieć, że wszyscy z czasem przeminiemy. Cholera, przecież byłem lekarzem! Jednak tutaj wszystko zaszło znacznie dalej. Tu nie ma poszanowania ani dla życia, ani dla tych, którzy odeszli. Życie okazuje się kpina, jedynie epizodem, który prowadzi do śmierci. I to śmierci straszliwej, okrutnej, bestialskiej, niszczącej bowiem ciało, najwspanialszy twór jakim obdarzył nas Bóg Stwórcą. Ciało każdego z nas jest świątynią, o którą powinniśmy dbać. I nikt nie ma prawa sugerować, że jesteśmy jedynie ochłapami mięsa wiszącymi na konstrukcji z kości! Tym bardziej, gdy sugeruje to w odniesieniu do maleńkich dzieciątek, niewiniątek, kruszynek, cudów narodzin, dzieł miłości! i nikt nie powinien epatować takimi wizerunkami w miejscach publicznych, czy w ogóle się z nimi obnosić. Ludzie lubujący się w gore, posoce, obrzydliwości są chorzy, ale i im Bóg przebaczy, wszak Chrystus leczył obłąkanych. Lecz jeśli noszą swoje odrażające t-shirty, odpychające bluzy, plecaki, atakują postronnych swoją muzyką, pogładami, filmami, książkami, wtedy wypowiadają wojnę Bogu. Obrażają

jego dzieło stworzenia, kpiąc z kruchości ludzkiego ciała. Podważają jego piękno i wytrzymałość, przekreślają ludzką doskonałość. Wreszcie negują duszę i zmartwychwstanie, bowiem tragiczna śmierć nie prowadzi donikąd, skoro oprawcami są żywe trupy, zombie, nieumarli!

Tak. To była część myśli jakie pojawiły się w mej głowie zaraz po ujrzeniu tej okropnej koszulki, tych tragicznych spodenek. I już wtedy wiedziałem, że jeśli ktoś wypowiada wojnę Bogu, to ja jestem żołnierzem, który będzie za Boga walczył. Nie przeciwko cyrkowi Szatana, ale przeciwko tym obmierzłym brutalom nie szanującym dzieła Stwórcy. Ludzkiego ciała, boskiej duszy.

Tego dnia nie mogłem już skupić się na pracy. Wszelkie sprawy montażowe postanowiłem więc przerwąć na dzień następny i unikając dyrektora, zbywając ciągle chcących czegoś ode mnie nauczycieli, dotrwałem do końca mojej zmiany. Natychmiast poszedłem do sklepu muzycznego i zapytałem o nagrania Cannibal Corpse. Sprzedawca spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale wyciągnął nspod lady dwie kasety. Musisz pamiętać, że opowiadam o czasach, gdy muzykę się kupowało, nie ściągano, a dostępna była właśnie na pirackich kasetach. Ci ze znajomościami mogli dorwać ewentualnie niebotycznie drogie płyty winylowe, naprawdę nieliczni zaś płyty kompaktowe, których zresztą nie było na czym słuchać, bo mało kto dysponował tak wybornym sprzętem. Królowały jamniki, ewentualnie u koneserów dźwięku można było spotkać składane wieże. O Technicsach, Phillipsach, Sanyo i innych Blaupunktach to wiedziałem jedynie z kolorowych, zagranicznych prospektów wyniesionych z Pewexu.

Do rzeczy jednak. Dostałem dwie kasety, a już same ich okładki gwałciły moją duszę. Jedna z nich, zatytułowana „Butchered at the Birth”, była już mi znana, jednak obrazek, choć dużo mniejszy i znacznie mniej wyraźny, wciąż mnie poruszał. Drugi przedstawiał półnagiego truposza, który z upiornym uśmiechem rozdzierał swoje ciało. W jednej dłoni trzymał kilka wyłamanych żeber, drugą grzebał w swojej strzaskanej klatce piersiowej. Wnętrza, jelita, flaki, wszystko wylewało się z okaleczonego ciała, ściekało po jasnych, wytartych dżinsach. Postać stała na cmentarzu, spowitym tandetnie narysowanymi promieniami zachodzącego słońca. W tle widniał odarty ze skóry i mięsa zakrwawiony szkielec, nawleczone na krzyż korale jelit, nadziana na nagrobek głowę kobiety o ciemnych, długich włosach i bezgłowy korpus z obnażonymi, ogromnymi piersiami, leżący nieopodal. Wymowa tego obrazka była

mniej obrzydliwa niż poprzedniego, może odrobinę łagodniejsza, niemniej kontekst był jasny, szczególnie sprytnie podkreślony przez jelita wiszące na krzyżu. To była kpina z Bożego dzieła, całkowite odarcie ludzkiego cierpienia ze sfery sacrum. Splugawienie i zbezczeszczenie ciała, uwydatnienie i groteskowe uwypuklenie obrzydliwości i obmierzłości. Te okładki nie mówiły „uwierz w Szatana”. Nie zachęcały do walki z Bogiem, do profanowania Jego dzieła. Robiły coś znacznie gorszego.

Mówiły, krzyczały wręcz, że Bóg nas opuścił. że jesteśmy tylko ciałami, kupą mięsa.

Albo, co potworniejsze, że jeśli Bóg jest, to na pewno nas nie kocha.

I to było straszniejsze niż czereda wszystkich rogatych diabłów poznanych przez mnie później.

Spytałem sprzedawcę czy ma coś jeszcze w tym typie. Pamiętam, że podsunął mi pod nos nagrania różnych grup death metalowych, z których teraz rozpoznałbym wczesny Tiamat, Deicide, Morbid Angel, Unleashed. Ich okładki z tajemniczymi domami, upiornymi twarzami czy odwróconymi krzyżami nie wzbudziły we mnie żadnych emocji. Poprosiłem o coś w stylistyce Cannibal Corpse. Facet odpowiedział, że na ile się orientuje, to grupa nagrała tylko te dwa albumy, ale wkrótce ma ukazać się kolejny, jeżeli zaś chodzi o tak brutalną w wymowie muzykę, to ma jeszcze Obituary, Gorefest i Carcass. Wziąłem wszystkie. Dostałem jeszcze gratis książeczkę z tłumaczeniami pierwszej płyty Cannibal Corpse. Gdy szedłem do domu z siatką zakupów, czułem jak jak wrze gniew mojej duszy.

To było boskie uczucie.

Potem przyszło zupełnie przeciwne, kiedy zagłębiłem się w tematykę tekstów, gdy posłuchałem tego diabelskiego hałasu, upiornej kakofonii dźwięków, której wtórował bulgoczący ryk rannego łosia. Nie będę się nad tym rozwodził, bo nie ukrywajmy, ta, nazwijmy ją umownie, muzyka ma marginalne znaczenie. Dziś doskonale się w niej orientuję, bowiem nauczyłem się stosownych terminów, nazw gatunków, czasem nawet rozróżniam niektóre utwory. Nie o muzykę tu jednak chodzi. Gdyby nie teksty, taki zespół jak Cannibal Corpse nie miałby racji bytu. To one zgwałciły me oczy, duszę, człowieczeństwo. Opisy okrutnych wypadków samochodowych, przedstawione z każdym makabrycznym detalem. Sceny krwawych morderstw i chorych eksperymentów medycznych, aktów nekrofilii i kanibalizmu... Fakt, na okładce książeczki z tłumaczeniami było ostrzeżenie o treści. „W tej książeczce znajdują się tek-

sty, które przez niektórych czytelników mogą zostać uznane za nieprzyzwoite. W takim wypadku niech się ODP!?!%^+: i poszukają tekstów kapel dyskotekowych.¹” Ale nie przygotowało mnie to na słowa jakie znalazłem wewnątrz. „Czwarte dziecko w drodze, nie przeżyje dnia, płód leży na drodze, potłuczone kosteczki, małe dzieci fruwią (...) roztrzaskane o sufit, ich skóra pali się i łuszczy²” - głosił pierwszy z tekstów. Opowiadał o wypadku, w którym zginęła pięcioosobowa rodzina. Cóż z tego, że w jeden z kolejnych traktował o mordercach, których trzeba zabić na krześle elektrycznym?³ Był to pusty manifest, zasłona dymna służąca jedynie zamydleniu oczu tym, którzy poczuli się urażeni i okazywali się dość naiwni aby w to uwierzyć. By uwierzyć, że zespół jest przeciwny takim zachowaniom. Ja się nie nabrałem. Zanurzyłem się w okropieństwie. Czytałem dalej o „ciałach w pęcherzach, usztywnionych kościach, śluzie wypływającym z mózgu, bezgłowej szyi, porozrywanych żyłach, ropiejącym korpusie, picciu ropy, wiązadłach oplatających kark, pękniętym kutasie, amputowanych rękach, jedzeniu kału, wypatroszonych trzewiach⁴” Znalazły się nawet wersy w stylu „Seks z trupami, w sztywnych zwłokach zasadzę swe nasienie, smak formaldehydu, zapach zgnilizny, zabawię się na kroczu sztywnej babki.⁵” To było zbyt wiele. Nie mogłem pojąć jak takie okropieństwa mogą się sprzedawać, jak można je promować, oddawać w ręce młodzieży. Jednak ostatecznie to drugi album, właśnie ten z truchłami noworodków na okładce, sprawił, że odnalazłem ostateczną drogę, pojąłem jakie zadanie zlecił mi Bóg. Oto bowiem szósty z kolei utwór został zatytułowany „Vomit the soul”. Nie wiedziałem wtedy o czym był tekst. Ale ten tytuł! Wyrzygać duszę. Jak to przemówiło do mojej wyobraźni! Wyrzygać duszę! Nie oddać ją Bogu, nie zaprzedać ją Szatanowi. Wyrzygać! Wydalić jak coś szkodliwego dla organizmu, coś wstrętnego, szkodzącego ciała. Brutalność tego sformułowania jasno określiła kim są ludzie zatraceni w tej hałaśliwej, agresywnej muzyce. Ciało pełnymi chorob i zwyrodnień, obrzydliwą zbitką mięsa, kości, tłuszczu i odchodów. Pożywką robac-

¹ Autentyczny napis z książeczki z tekstami Cannibal Corpse „Eaten Back To Life”, Wydawnictwo Kagra. Roku, niestety, nie znam.

² Chris Barnes i Jack Owen „Shredded Humans”, tłumaczenie Tomasz Szczegóła.

³ Chodzi o „Put them to Death” autorstwa Chrisa Barnes.

⁴ Zlepki fragmentów tekstu „Mangled” autorstwa Chrisa Barnes i Paula Mazurkiewicza w moim tłumaczeniu.

⁵ Chris Barnes „Born in a Casket” tłumaczenie Tomasz Szczegóła.

twa, istotami nawet gorszymi od zwierząt, bo marnującymi swój potencjał i inteligencję. Nie wartymi daru Bożego, jakim jest życie. Wiedziałem już jaka jest moja rola w tym Boskim dziele. Nie mogłem ich nawrócić na siłę. Bóg dał nam wolną wolę. Nie mogłem ich zabić, bo sam okazałbym się grzesznikiem, niegodnym Królestwa Bożego. Poza tym nie chciałem z nikogo robić męczenników. Postanowiłem, że sprawię, aby każdy ze zwolenników tego typu przemocy wyrzygał duszę. Wydalił ją z siebie wraz z ostatnim oddechem. By poznał ideę bólu, by zmierzył się z prawdziwym okrucieństwem i brutalnością. Założyłem, że nigdy nikogo nie zabiję. I uparcie trzymałem się tego planu. Obiecałem sobie, że jeśli kiedykolwiek ktokolwiek z nich istotnie okaże zachwyt nad okaleczeniem jakie go spotyka, zaprzestane swego procederu. Wiedziałem, że gdybym robił cokolwiek złego, Bóg by mnie powstrzymał. Ale od ponad dwudziestu lat nie napotkałem na najmniejsze choćby trudności w wykonywaniu swojej misji. Oczywiście wciąż cierpię w trakcie tortur, ale zawsze powtarzam sobie, że to nie ludzie. To bezbożne więzienia duszy, którą chcę uwolnić. To pomaga mi w mojej pracy. Bo czasem jest naprawdę ciężko, szczególnie, gdy muszę wykazać się większą pomysłowością w zadawaniu bólu tym istotom, jakże podobnym do człowieka.

Bo widzisz, ja tego dnia, gdy kupiłem pierwsze kasety, zacząłem dokładnie badać zjawisko. I od dwudziestu lat jestem czynnym działaczem sceny podziemnej. Inwigiluję środowisko od środka. Kupowałem kasety, potem płyty, teraz nie muszę tracić pieniędzy na to plugastwo, wszystko ściągam z Internetu. Teraz jest o wiele lepiej i łatwiej. Kiedyś musiałem pisać listy, udzielać się w zinach, jeździć na koncerty, wymieniać się kasetami, przez moment nawet próbowałem zapuścić długie włosy. Porzuciłem ten plan po trzech miesiącach. Kilkanaście lat temu trzeba było naprawdę się postarać, by uzyskać stosowny wizerunek metalowca. Dziś siedzę w domu przed komputerem, interesujące mnie zespoły sprawdzam w sieci, koncerty lustruję na YouTube, znajomości zawieram na forach, gdzie mogę pozostać anonimowym. A frajerów nie brak. Sposoby mam różne. Są seks randki. Tak, tak, nie dziw się. Zastanów się. Normalni chłopcy oglądają się za dziewczynami, podniecają się teledyskami półnagich Latynosek, a metalowcy obwieszają sobie ściany w pokojach plakatami przepakowanych, długowłosych mężczyzn w skórach. Trochę pedalskie, nie sądzisz? Tak więc zdarza się, że upoluje gościa na zasadzie podrywu. Nie znoszę tego, brzydzę się szczerze, ale jest to najpewniejsza metoda, bo zapewnia największą dyskrecję. Pe-

dałki nie chwalą się w domu, że idą na randkę ze starszym facetem, który ma dyskografię Autopsy na winylach. Całkiem znośnym sposobem jest dowóz na koncert. Organizuję grupę, którą zobowiązuję się zabrać na jakąś imprezę na drugim końcu kraju. Potem zagazowuję ich po drodze. Delikatnie, żeby byli przydatni we właściwym momencie. Ta metoda ma ten plus, że naraz łapię kilka osób, często są tam też dziewczyny. Plugastwa chłopców nie pojmuję, ale jak dziewczyny mogą lubić taką muzykę i estetykę? To już przekracza wszelkie granice. Dla nich jestem szczególnie okrutny. I wtedy jest najtrudniej, bo zawsze muszę sobie przypominać, że to moja praca, zlecona mi przez Boga, że to nie kobiety, nie piękne stworzenia, tylko obrzydliwe wywłoki, szmaty wszeteczne, niegodne nawet miana kurew babilońskich. Czasem to pomagają. Częściej jednak nie mogę dojść do siebie przez jakiś czas po zadaniu kary. Wspomnę jeszcze tylko, że taka grupa często zawiera ze sobą podobne do ludzkich więzi, co podnosi wymiar kary, bowiem widzowie bardziej przeżywają śmierć i tortury gdy dotykają ich bliskich i znajomych. Dlatego też dbam, by widzów nie zabrakło. Dlatego też tu jesteś. Dlatego poznałeś Piotra Frankowskiego. Dlatego opowiedziałem ci część swojej historii. Żebyś zrozumiał choć trochę. Być może dotknie cię łaska Boża. Być może twoja dusza nie zostanie wyrzygana. Być może odnajdę w tobie resztki człowieka, Stworzenia Boskiego, które jedynie zagubiło się po drodze.

Nie, nie denerwuj się. Nie zabiję cię. Nigdy nie zabijam. Morderstwo jest grzechem. Koszulkę z napisem Slayer noszę dla żartu. Bo musiałem jakąś mieć na koncerty, a ta jakoś najbardziej mi odpowiadała. Jest w tym coś przewrotnego, nie sądzisz? Nie musisz odpowiadać. Wiesz, ja sprawdzam każdy zespół. Wiem, że Gorefest, Death, Obituary zmienili z czasem swoje teksty. Znam i podziwiam pracę Carcass, szczególnie przez wzgląd na mą medyczną przeszłość. Bo ja nie mam nic przeciwko obrzydlistwu. Ono jest częścią życia. Tylko głupcy nie widzą piękna w cieniu okropieństwa. Muszą być przeciwności. Ale tu chodzi o gloryfikację. O bezsens. O gore dla samego gore, brutalność dla brutalności. Coś takiego nie może istnieć w bożym świecie.

Wiem, że się boisz. Niestety, nie wierzę w twój strach, wiem, że to tylko objaw instynktu samozachowawczego. Nie ma tu miejsca na skruchę i Zbawienie. Ty tego nie potrzebujesz i nie chcesz. Ty uwielbiasz krwawe horrory, im brutalniejsze tym lepsze. Ty uwielbiasz widok krwi, posoki, wnętrzości, okrucieństwa i okropieństwa. I zawsze ci mało, za-

wsze chcesz więcej. Zawsze uważasz, że na pewno można bardziej przekroczyć granicę. Przypominasz mi, jak kiedyś na oczach jednego chłopaka obrabiałem jego dziewczynę. Wiedziałem, że lubi naprawdę ostre filmy porno, bo wiesz, że nie wybieram was przypadkowo. Zawsze starannie badam waszych znajomych, otoczenie, co dziś, w czasach Internetu nie jest niczym trudnym. . . Do rzeczy jednak. Chłopaka nie ruszały sceny gwałtów, tych zresztą nawet nie próbowałem, nigdy nie tknąłbym żadnej z tych dziewczyn. W kobietach w ogóle jest coś złego, diabelskiego, a te, mimo że tak podobne do zwykłych, normalnymi przecież nie są. Szatan zawsze kusi, ja jednak jestem Bożym Wojownikiem i nie dam się zwieść na manowce.

Dlatego też przywiązałem dziewczynę do stojaka. Miała na imię Patrycja. Jak widzisz wciąż staram się wzbudzić w tobie odrobinę empatii. Nie biłem jej, nie torturowałem. Wiedziałem, że razem ze swoim chłopakiem, Andrzejkiem, lubią się czasem ostro zabawić. Ból nie był im obcy. Patrycja miała wytatuowane oba ramiona, plecy, nawet jedno udo, i to po wewnętrznej stronie. Bardzo blisko swej brudnej, zakolczykowanej cipy. Tych kolczyków miała zresztą więcej, w języku, wargach, skroniach, po kilka w uszach. Nawet w pępku i w sutkach. Wyrwałem wszystkie obcęgi. Nie żeby cierpiała. Po prostu nie lubię kolczyków, uważam je za kolejny z przedmiotów oszpecających Boskie dzieło. Oczywiście Patrycja krzyczała, zwłaszcza gdy obrabiałem jej piersi, ale wiedziałem, że nie jest to prawdziwy ból i strach. Przecież ścierwo zachwycało się czytając Eversona i Lee, sikało ze szczęścia na seansach „Niku Darumie” i „Guinea Pig”. Jej Andrzejek, przywiązany do tego miejsca, na którym teraz ty siedzisz, też się miotał jak wesz na grzebieniu, ale nie wiem co mówił. Tak, tak, też miał knebel. I także mu nie wierzyłem. Widziałem jego kolekcję pejczy i kajdanek. Widziałem ślady na jej i jego pośladkach. Zwyrrodniali zboczeńcy. Pewnie jeszcze masturbowali się nad okładkami „Tomb of Mutilated” czy „Goespattred Suicide”. On trzepał konia pod „Stabwound Orgasm”, ona grzebała w sobie w cipce przy dźwiękach „A Chapter of Accidents”. Na pewno! Chore, zboczone, plugawe świnię!

Dlatego wziąłem rurę do odkurzacza i wepchnąłem dziewczynie w odbyty. Kręciłem nią równo i dokładnie, przepychając w jedną i drugą stronę. Na krew nie zwracałem uwagi, jestem pewien, że jej świński Andrzejek z lubością walił ją w dupę w masce pokraka z „Pulp Fiction”. Teraz też jęczał coś, próbując przekrzyczeć wrzaski Patrycji. Oboje jednak zamilkli, gdy wywlekłem na zewnątrz kışkę stolcową, nie zaprze-

stając gwałtu rurą. Używam słowa gwałt by ci to lepiej zobrazować, jest to jednak określenie nietrafne, bowiem to prosię na pewno lubiło takie zabawy, wszak od lat profanowała swoje ciało, bawiło ją maltretowanie innych. Gdy poczułem już ból w przedramieniu, mam w końcu swoje lata, lokówką przypaliłem wystającą kiszkę. Tak, smród był potworny, ale wierz mi, przez dwadzieścia lat mojej pracy poczułem już wszelkie możliwe zapachy jakie jest w stanie wypuścić z siebie cielsko takich jak ty. Pati oczywiście zemdłała, Andrzejek przestał krzyczeć, zaczął płakać. Wrzeszczeć zaczął na nowo, gdy wlałem dziewczynie do gardła przez lejek rozpuszczonego „Kreta”, zagłuszyłem to odkurzaczem, którego nie wyjąłem z jej odbytu. Ech, jak zaczęła się miotać, gdy płyn zaczął wyżerać jej wnętrze, a z drugiej strony metalowa rura wyciągała z niej krew, kał i fragmenty tkanek. Na pewno by ci się to spodobało. Pluła krwią i ropą, żrąca piana wylewała się jej z ust, wypalając straszliwe rany na twarzy, dekolcie i porwanych piersiach. A jej facet zesrał się wtedy pod siebie i omal nie udławił się własnymi rzygami. Lubisz takie jazdy, prawda? Psycholu, zwyrodnialcu, pieprzona, plugawa cipo! Lubisz brutalną muzykę, krwawe teksty, nieludzkie okrucieństwo w książkach, bestialską przemoc obrzydliwość w filmach.

Dlatego tu jesteś.

Dlatego patrzysz jak umiera Piotrek Frankowski.

Bo ja nie zabijam.

Ja pozwalam wam umrzeć, po tym, jak dokonam egzorcyzmu oczyszczającego wasze ciało z grzechu. Po tym jak wyrzycie duszę, którą zaniedbaliście.

Bo bawi was śmierć.

Bo bawi was okrucieństwo.

A ciało ludzkie jest świątynią Boga.

A Bóg jest miłością.

Ja zaś jego gniewem.

Wy jesteście chorzy.

I nie pozwolę, do kurwy nędzy, pierdolonym, chorym psychopatom, dewiantom, zboczeńcom i zwyrodnialcom profanować Jego dzieła i świata, który stworzył!

O! Spójrz! Myszka przegryzła się przez ranę. Spójrz, jak wydziera się z plugawego ciała. Widzisz w tym metaforę? Pewnie chciałbyś być taką

myszką. Ona zaraz będzie wolna. Niczym dusza Piotrusia. Widzisz?
Gość właśnie wymiotuje krwią.

Cóż.

To oznacza jedno.

Teraz twoja kolej.

Wyrzygaj mi duszę.

Sylvia Błach
DWA SŁOWA

Od lat marzyłam o dniu, w którym znów się spotkamy. . . Codziennie wyobrażałam sobie, że nagle wpadam na niego w sklepie czy w tramwaju. Pośpiesznie ukrywam się przed jego wzrokiem, by po chwili wyskoczyć ze słowami „Niespodzianka”.

Mój umysł był wręcz sparaliżowany. Co noc śniła mi się tamta chwila, ta jedna, wyjątkowa. Gdy pchnął mnie na ziemię, a po chwili poczułam jak eksploduje we mnie najpotężniejszym, najbardziej przerażającym orgazmem, jakiego miałam okazję doświadczyć.

Choć minęło już pięć lat, nie potrafiłam zatrzeć w pamięci tej chwili, zamaskować jej innymi wydarzeniami, w które niczym porzucona nastolatka naiwnie się pakowałam: romanse, romanse, romanse. I wieczne pragnienie, by znów go spotkać i powiedzieć te dwa proste słowa. . .

Nie mogę więc uwierzyć w to, co się teraz dzieje.

Stoi tuż obok mnie, na przystanku. Pasma siwizny znaczą jego włosy, a twarz zdobią pierwsze zmarszczki, ale jestem pewna, że to on. Tych piwnych oczu nigdy nie zapomnę, widzę je zawsze, kiedy opuszczam powieki.

Skrywam się więc pod wielkim kapturem i czekam. Nie chcę by mnie rozpoznał. Jeszcze nie teraz. Nie wśród tylu ludzi, w hałasie i porannym rozgardiaszu. Każdy spieszy się do pracy. Też się spieszyłam do nudnego życia. Lecz gdy go ujrzałam. . . Trzeba było zmienić plany. Ten dzień będzie wyjątkowy. Cudowny.

Wsiadam do autobusu numer pięć z nadzieją, że mnie nie zauważy.

Ma na imię. . . Marcin? Maciej? Chyba Maciej. Przyjmijmy, że Maciej. Zapamiętałam każdy szczegół jego ciała, każde dotknięcie, a imię i nazwisko mi gdzieś uleciały. A przecież dzięki nim odnalazłabym go szybciej!

Autobus ruszył. Maciej ma na sobie błękitne dżinsy i jasną koszulę. Nic poza tym. Nie wygląda jakby spieszył się do pracy. Potargane włosy i przekrwione oczy świadczą raczej o tym, że wraca do domu z jakiejś dzikiej imprezy. Dla mnie tym lepiej.

Dojeżdżamy na ulicę Słowackiego. Wysiada tu. Przez chwilę stoję oniemiała,

nie mogąc uwierzyć, że prawdopodobnie mieszka trzy przecznice ode mnie. Tak blisko!

Wyskakuję z autobusu przerażona, że zaraz go zgubię. Naciągam mocniej kaptur na twarz i ruszam za nim. Zaczyna padać, co mnie cieszy. Nie dostrzeże łez radości, które płyną po moich policzkach.

I nagle dociera do mnie okrutna prawda. Zgubiłam go. Rozglądam się na boki stojąc w ciemnym przejściu między blokami i całkowicie nie wiem gdzie mógł zniknąć. Przecież się nie rozpułnął! Odwracam się błyskawicznie i słyszę: „Witaj, mała”. A potem czuję już tylko uderzenie w głowę. Osuwam się na ziemię i nic więcej nie pamiętam...

* * *

Maciej chodził po pokoju, spoglądając na leżącą na łóżku Ankę. Miała na sobie obcisłe, czerwone legginsy prowokacyjnie podkreślające jej kształty oraz granatowy t-shirt z napisem „Fuck off”. Pieprzyć? Oj, tak, będzie pieprzenie, zdziro.

Spojrzał na nią i splunął z pogardą.

– Myślałaś, że cię nie rozpoznam? – wykrzyczał prosto w jej twarz. Delikatne rysy anioła i blond grzywka... Dwa elementy, które sprawiły, że pięć lat temu zapragnął ją posiadać. A on zawsze dostaje to, czego chce.

Wtedy dziewczyna otworzyła oczy. Raptownie poderwała się z łóżka, rozglądając wokół.

– Gdzie ja jestem?! – spytała przerażona.

– U mnie, a gdzie indziej? śledziłaś mnie!

– Zaatakowałeś mnie!

– I co z tego? – Maciej podszedł do okna, na które ukradkiem spoglądała. – Piąte piętro i kraty. Tędy, mała, nie uciekniesz – odrzekł, uśmiechając się na swój wyjątkowy, prowokacyjny sposób.

Nagle Anka rzuciła się do drzwi. W momencie, w którym chwyciła klamkę, poczuła jak mężczyzna szarpie ją za włosy. Odwróciła się i uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

– Ty kurwo! – wrzasnął, ciągnąc szarpiącą za klamkę Anię z powrotem ku łóżku.

– Sądziłaś, że zostawię otwarte drzwi, idiotko?! – dodał i usiadł na niej, przytrzymując jej rękę.

Dziewczyna zaczęła się szarpać, jednak nie była w stanie uwolnić się z jego żelaznego uścisku. Przygniatał ją całą masą swego stukilowego

ciała. Tak samo jak wtedy.

Przed oczami stanęły jej wspomnienia.

Wyszli z dyskoteki tylko po to, by zapalić. Nie spodziewała się, nie mogła się spodziewać. Boże... Chłopak podaje jej papierosa, a ona, roześmiana i naiwna, zaciąga się. Słyszy: „Masz takie seksowne usta”. Najprzystojniejszy chłopak na imprezie mówi jej komplement! Czuje się jak w raju, a wypity alkohol robi swoje. Celowo wydyma wargi i odpowiada: „Nie tylko ładne, ale i smaczne”. Śmieją się, a potem, nagle, on wpija się w nią. Przez chwilę jest miło, całuje wyjątkowo, z pasją i siłą, tak jak powinien całować prawdziwy facet.

Jednak gdy napiera na nią coraz mocniej i przyciska ją do ściany, pojawia się niepokój. Kiedy jego dłoń wędruje między jej nogi, a ona początkowo próbuje obrócić sytuację w żart i coraz częściej zaczyna powtarzać: „Zostaw mnie, wystarczy”, wie już, że jest na przegranej pozycji.

Jest silny. Pcha ją na chodnik i gwałci, zatykając dłonią usta.

– Zostaw mnie, skurwielu! – krzyknęła Ania gdy poczuła, że Maciej chce zdjąć z niej bluzkę. Odsunął się i uśmiechnął.

– Myślałem, że chcesz więcej. Przecież w jakimś celu mnie śledziłaś?

– Znów miał te niebezpieczne ogniki w oczach, tę pasję.

– Muszę... Muszę ci coś powiedzieć.

– Byle szybko, bo chcę się zabawić. Co prawda nie planowałem tego, ale skoro nalegasz, mogę zmienić plany – odpowiedział z dworskim ukłonem. Wyraźnie z niej szydził.

Ania rozumiała, że się boi. A jeśli jej plan nie wypali? A jeśli nic się nie wydarzy? Czy nienawidziła go wystarczająco mocno?

Zacisnęła powieki. Bała się bólu, bała się niemocy i niepewności, jednak wiedziała, że teraz nie może się wycofać. Śmierć przecież nie jest aż taka straszna...

Kiedy otworzyła oczy, Maciej dostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Determinację. Jej spojrzenie było zimne, przesywające. Nie przypominało już spojrzenia małej bezbronnej kobiety, a pewnej siebie osoby. Poczuli, jak jego mięśnie mimowolnie się napinają, gotowe w każdej chwili by odeprzeć atak.

– Czego, kurwa, chcesz? – spytał, odruchowo się cofając, gdy ruszyła w jego stronę. I wtedy zrozumiał co go tak przeraziło. Jej tęczywki zmie-

niły kolor. Nie były już intensywnie błękitne, a jakby wyprane z koloru, wręcz białe. Jakby... Pokryte bielmem?

– Nienawidzę cię! – krzyknęła, robiąc kolejny krok. Odległość między nimi się zmniejszała. Rozejrzał się w panice i ze zdziwieniem dostrzegł, że w jej dłoni pojawił się duży nóż. Nie miała go przy sobie, przecież ją przeszukał, był pewny, że nic nie przemyciła. – Przez okno nie uciekniesz. Wiesz, piąte piętro, kraty, te sprawy – zakpiła z niego. Po czym wbiła sobie nóż w oko.

Trysnęła krew. Ostrze zanurzyło się po samą rękojeść, gdy dziewczyna z wrzaskiem i pasją zaczęła dźgać swój oczodół.

Maciej zamarł, niczym zahipnotyzowany. Nie wiedział jak zareagować. Ona dostała furii! Obserwował jak coraz większa ilość krwi zalewa jej twarz, dostrzegał delikatne, galaretowate tkanki mózgu na wciąż wysuwającym się i chowającym ostrzu.

– Przestań, zaraz umrzesz! – wrzasnął, chwytając ją za dłoń.

– Ameris comus... Latas paniba konweti kuma! – Usłyszał tylko jak cicho wypowiada obco brzmiące słowa.

Sparaliżował go niewytłumaczalny strach. Puścił jej rękę i pozwolił by nieprzytomna osunęła się na ziemię. Czuł, że coś jest bardzo nie tak. Temperatura w pomieszczeniu spadała z każdą chwilą, każdy jego wydech zamieniał się w obłok pary.

Zaczął przeszukiwać kieszenie. Klucz, musiał stąd wyjść!

Wtedy je dostrzegł.

Kobiety. Stały przy drzwiach, skutecznie blokując jedyną drogę ucieczki. Miały perfekcyjne rysy, ogromne piersi i długie, falujące włosy. Błada cera seksownie kontrastowała z czarną, koronkową bielizną, którą miały na sobie. Pod cienką warstewką materiału dostrzegał czerwień sutków i idealnie wydepilowane wzgórki łonowe.

Miały zamknięte oczy, jakby zasnęły na stojąco, mógłby przysiąc, że nawet nie oddychały. Ich włosy zdawały się błyszczyć zielonym blaskiem.

– Kim jesteście? – zapytał Maciej. Czuł się zdezorientowany. Śnił? Przecież ludzie nie pojawiają się znikąd... a takie piękno nie istnieje. I czemu, do diabła, się ich boję?!

– Jestem Zuzanna. To jest Eliza. Obok niej stoi Magdalena, dalej Sylwia, a te dwie przy oknie to Tamara i Alicja – odrzekła kobieta stojąca pośrodku. Dopiero wtedy Maciej spojrział w stronę okna. Stojące tam dziewczyny były równie piękne, co ich towarzyszyki przy drzwiach.

– Cze-e-ść... – odpowiedział. – Yyy, napijcie się czegoś? Co tu robicie?

Otworzyły oczy. Ich białka i tęczęwki były całkowicie czarne, niczym u kruka. Zaczęły iść w jego kierunku.

– Jesteśmy tu, by dać ci to, czego pragniesz – powiedziała Zuzanna uśmiechając się sympatycznie. Przeszła nad leżącym na podłodze ciałem Ani i dotknęła jego policzka. – Połóż się, skarbie.

– Nie, wiecie co, lepiej nie, my się w ogóle nie znamy... – odparł Maciej. Próbował się przesunąć, jednak nieznanym otoczyły go. Poczuł jak ich dłonie sięgają do jego rozporka, jak gładzą jego piersi. Był przerażony! Nie mógł patrzeć w ich dziwne oczy, w pomieszczeniu robiło się coraz zimniej, a mimo to jego penis stał w pełnym, bolesnym wzwodzie.

– Nigdy ci to nie przeszkadzało. Kładź się! – krzyknęła Zuzanna i pchnęła go na łóżko. Upadł prosto na materac, zszokowany jej siłą, faktem, że kobieta praktycznie chwyciła go za ramiona i przerzuciła przez cały pokój.

– Kim wy u diabła jesteście!?! – Jego głos wypełniało najczystsze przeżalenie.

– Nie wzywaj imienia pana swego nadaremno – odezwała się po raz pierwszy Eliza z szelmowskim uśmiechem na twarzy. Była z nich najniższa i miała największe piersi. Jako jedyna miała bieliznę wykończoną czerwoną nitką.

Eliza włożyła rękę w majtki i zaczęła się pieścić, cicho pojękując. W tym czasie do Macieja podeszły Sylwia i Magdalena.

– Zwiążemy go? – zasugerowały z chichotem.

– świetny pomysł! – powiedziała Zuzanna i w jej dłoni nagle pojawił się wielki nóż.

Przyklękła przed ciałem Ani, spuściła głowę, jakby z szacunkiem. Potem szybkim ruchem przecięła jej brzuch. Trysnęła krew, a wnętrzności zaczęły wylewać się na ziemię, kawałek za kawałkiem jelita opuszczały ciało swej właścicielki, niczym dziecko w łonie, które mimo śmierci matki nadal chce żyć.

Maciej leżał sparaliżowany ze strachu, obserwując na zmianę jak Sylwia z Magdą się całują oraz jak Zuzanna wyciąga jelita z brzucha Ani i podaje je Elizie.

Spróbował się podnieść, ale ktoś uderzył go w twarz. To Sylwia go spoliczkowała. Nieludzko mocno. Ból był nie do wytrzymania, zdawało mu się, że złamała mu jakąś kość.

– Zostawcie mnie! – wrzasnął, kiedy dziewczyny zaczęły przywiązywać go do łóżka za pomocą jelit. Ich dłonie z radością bawiły się zakrwawionymi wnętrznościami, jednocześnie zrywając z niego ubranie.

Gdy skończyły go krępować, był już kompletnie nagi i przerażony.

– Lubisz to? – spytały jednocześnie, z namaszczaniem obserwując swoje dzieło.

– Zostawcie! Ja... Już nigdy...

– Odpowiadaj na pytania! – krzyknęła Eliza, chwytając go za penis. Zawył z bólu. – Aha, czyli lubisz. – Uśmiechnęła się, ściskając mocniej i stymulując go ruchami swej dłoni.

– Ciekawe, co jeszcze lubi. – zaśmiała się Magda i siadła mu na twarzy.

– Liź! Bo inaczej Elizka urwie ci co trzeba!

Maciej zaczął posłusznie poruszać językiem, krzywiąc się z obrzydzenia. Smakowała trupem. Po paru minutach doszła na nim i odsunęła się.

– Dziewczyny, ja was bardzo proszę... – Jego głos już nie brzmiał pewnie. Kurwa, kobiety piękne niczym ze snu go gwałcą, a on trzęsie się ze strachu jak jakiś pieprzony prawiczek! „O co mi chodzi?” – pytał sam siebie, jednak wiedział, że musi się stąd wydostać. One się dopiero rozkręcały, bał się ich pomysłów. W dłoni Elizy ujrzał cieniutką igiełkę i zaraz poczuł jak zaczyna nakłuwać jego jądra.

– Błagam, nie!

– Przecież to lubisz – stwierdziła Zuzanna. Jej ciało zmieniało się, z przerażeniem obserwował jak jej piersi maleją, a między nogami powoli wyrasta... „Penis?! Kurwa, to niemożliwe!”

– Błagam... Już nigdy...

– Już zawsze, mój drogi, już zawsze – odpowiedziała Zuzanna męskim głosem. – Jesteśmy Demonami Zemsty, a liczba naszych pomysłów jest napędzana siłą nienawiści Anny, która poświęciła swe życie, byś doznał niewyobrażalnych cierpień. Biedactwo oddało swą duszę, by cię ukarać... Nie możemy jej zawieść.

– Zabijcie mnie, proszę. To będzie najsurowsza kara – wyszeptał, widząc jak w ręce stojącej obok Tamary pojawia się coś na kształt wibratora analnego z wirującym ostrzem na końcu.

– Mój drogi, ale to właśnie jest w tym wszystkim najwspanialsze! Kara trwa tak długo, jak trwa nienawiść osoby, która nas wezwała. Skoro Ania nie żyje, to jej nienawiść nigdy nie wygaśnie. A my? No cóż, jesteśmy Demonami. – Zuzanna już nie przypominała kobiety, jej ciało w każ-

dym fragmencie było ciałem dobrze zbudowanego mężczyzny. – Wiesz, mamy swoje czary i sztuczki. I nie mówię o tym, że możemy tworzyć rzeczy z powietrza czy zmieniać płeć. Nie mówię też o potędze naszej wyobraźni, dzięki której jesteśmy w stanie wymyślić najgorsze tortury. Chodzi raczej o taką jedną, maleńką ale znaczącą umiejętność. Właściwie nie mamy na nią wpływu, została nam narzucona przez naszego pana. Przy nas nie można umrzeć. Po prostu. Czeka cię wieczność w naszym towarzystwie, więc uśmiechnij się. Bo mogło być przecież gorzej, prawda? – Zakończyła swój monolog i wbiła mu nóż prosto w serce. Udowodniła mu, że mówiła prawdę. Nie umarł. A potem zaczęła gwałcić go prosto w powstałą ranę, z radością obserwując przerażenie na jego twarzy i słuchając wrzasku, który wydobywał się z jego ust.

O tak, to ją nakreca!

Marek Grzywacz

DZIEWCZYNA, KTÓRA MIAŁA W SOBIE COŚ WIĘCEJ

Stanąłem nieco z boku, aby upewnić się, że mnie nie dostrzeże. Choć szyby naszych okien dzieliła wystarczająca odległość, a ona nawet nie spoglądała w stronę ulicy, wołałem być zapobiegliwy. Nie chciałem nieostrożnością zepsuć tego, co rodziło się we mnie. Chaosu dziwnych podejrzeń.

Piła coś z kubka, może kawę, czerwień jej ust stykała się z identycznej barwy naczyniem. Relaksowała się, czytając czasopismo w zaciszu swojego mieszkania. Każdy z jej pełnych gracji ruchów w jakiś sposób sugerował, że jest w niej coś więcej... Naprawdę dużo więcej niż mogłem poznać oczyma. Zewnętrzna powłoka prześliczna, nie przeczę. Z moich obserwacji wynikało, iż jest niebanalną, wesołą, inteligentną osobą. To dużo, zwłaszcza w obecnych, spaczonych realiach. Ale intrygowała mnie jakaś mniej uchwytna wartość. Powiedzieć, że ona coś w sobie ma... bliskie moim wrażeniom, lecz wciąż zbyt wąskie znaczeniowo.

Męczyła mnie tajemnica. Zżerała mnie fascynacja.

W duchu złorzeczyłem na padający śnieg, coraz bardziej ograniczający widoczność.

Kilka precyzyjnie wycelowanych słów, odrobina życzliwości, najlepszy uśmiech na jaki mnie stać. Nawiązałem kontakt. Patrzyła z rosnącym zaciekawieniem. Ja starałem się ukryć moje, tak ogromne, sącząc latte i odpowiadając jej zwięzłymi zdaniem.

Śmiała się. Opowiadała o sobie. Odbierała intencje oraz dawała sygnały zwrotne.

A mnie kusiła tylko zagadka – co kryjesz w sobie, moja droga?

Nie mogłem zapytać wprost. Wyszedłbym na durnia i straciłbym szansę, by eksplorować to we własnym tempie, własnymi zmysłami. Nie wiedziałem zresztą, czy ma świadomość, że zagnieździło się w niej coś

niebywałego.

Kiedy rozpalające mnie pragnienie dotarcia do prawdy sięgnęło apogeum, przerwałem rozmowę. Zapłaciłem rachunek, pożegnałem się czule.

Zadanie wykonane.

Zostawiła mi obietnicę wspólnego wieczoru.

Bas. Pot. Bębny. Światła. Zgiełk. Alkohol. Pachniała kakaowymi perfumami. Gdy zwieraliśmy się w tańcu, chłonałem tę obezwładniającą, czekoladową woń. Zblizaliśmy się. Z utworu na utwór ocieraliśmy się o siebie coraz intymniej. W końcu laserowy szal i zbyt głośna muzyka ustąpiły miejsca czemuś mniej nachalnemu. Usiedliśmy w wolnej łóży, a kiedy wymykała się do toalety, pierwszy raz mnie pocałowała.

Z wyraźnym zamiarem zaprowadzenia tego dalej.

Niecierpliwilem się. A jeśli nie miałem racji? Może była tylko diablo przyciągająca kobietą, a mną mogły kierować całkiem naturalne, zwierzęce wręcz odruchy. Zwykła żądza, nic więcej, impuls samca szykującego się do wystrzału.

Odganiałem namolne wątpliwości. To, że na tylnej kanapie taksówki bezwstydnie pogłębialiśmy naszą bliskość, ani trochę nie pomagało.

Wybrała moje mieszkanie, co mnie niezwykle ucieszyło. Rozbierała się szybko, być może ilość drinków przyspieszyła proces. To też było mi na rękę.

Położyła się na łóżku, gotowa mnie przyjąć.

Miejski zgiełk dochodzący zza okna przycichł, jak gdyby cały świat chciał nas wprowadzić w odpowiedni nastrój. Zblizalem się powoli.

Nagle rzuciłem się na nią. Odpowiedziała namiętnym, zduszonym jęknięciem.

Zacząłem od ust. Oderwałem się, powąchałem włosy głośno wciągając powietrze. Ześlizgnałem się ku szyi, potem niżej, chwilę pieściłem językiem sutka. Zostawiłem szlak śliny na płaskim brzuchu i znalazłem się między udami, gdzie mięsisty narząd mógł zdziałać cuda. Odgłosy z góry świadczyły, że porządnie wykonuję swoją pracę.

W odpowiednim momencie podciągnąłem się i postanowiłem wejść. Wsunąłem się w źródło wzbierającej wilgoci. Narzuciłem tempo, ale bez brutalnej dominacji, chciałem wspólnoty. Dostosowała się do tego, współpracowała.

Zaraz przestałem zwracać uwagę na samą czynność. Na drugi plan zeszło podniecenie, ekscytujący wysiłek. Taniec zmysłów i hormonów już nic nie znaczył.

Wyczułem w niej to, czego szukałem.

Drżenie, fala, pulsacja. Fizyczny dowód, że gdzieś we wnętrzu tego pięknego bytu kryje się inne istnienie. Potężniejsze niż w moich najśmielszych przypuszczeniach.

Nadszedł czas zmienić narzędzie penetracji.

Wyrwałem się z niej, wycofałem się na skraj łóżka i moje ramię błyskawicznie sięgnęło pod mebel. Ciąłem od dołu, najpierw rozcinając krocze. Krzyk nie zrobił na mnie wrażenia, próby powstrzymania ataku na nic się nie zdały, włożyłem w to całą moją siłę. Specjalnie dobrane ostrze docierało głęboko, przewyciężając opór ciała. Roztworzyło je przede mną, wywołując erupcję szkarłatu. Skończyłem pod brodą, co dało mi okazję spojrzeć w jej wciąż okrutnie zaskoczone, ale zamierające oczy.

Pozostało zlokalizować TO.

W macicy nie znalazłem nic, z nerek uwolniłem tylko krwisty moc. Pomiędzy lśniącymi zwojami jelit nie czekała na mnie żadna niespodzianka, wycisnąłem tylko odrobinę paskudnie śmierdzącego kału. Żołądek powitał mnie kwasem, który nie rozpuszczał niczego istotnego. Wydostałem się z jej wnętrza i poszedłem po inne narzędzie. Skorupa czaszki ustąpiła łatwo, lecz ze środka wypłynęła jedynie mózgowa pulpa.

Wszystko trywialne. Ludzkie. Przewidywalne.

Wtedy mnie olśniło.

Serce. To w nim skrywa się najcenniejsze skarby.

Rozwarcie jej klatki piersiowej nastreczyło mi problemów, ale działałem w transie, nie przejmowałem się. Dotarłem do wybijającego rytm życia organu i nagle zdało mi się, że on wciąż działa, nadal pompuje krew. To było niemożliwe, padłem ofiarą złudzenia, choć wielce obiecującego.

Rozciąłem serce i oniemiałem.

W środku usadowiło się nasze miasto, idealna replika przefiltrowana przez jej wspomnienia. Padał śnieg, przez co przypominało zawartość świątecznych szklanych kul, którymi można potrząsnąć by zakryć maćki budynki z plastiku białą nawałnicą. Nie wiedziałem jak zmieściła się tam cała aglomeracja, jak byłem w stanie tak dokładnie widzieć ten mikroskopijny przecież świat, lecz panorama wciągała, kierując mnie ku coraz wyraźniejszym domom, przechodniom, samochodom.

Natrafiłem na naszą dzielnicę. Ulicę. Jej kamienicę. Kamera moich oczu zatrzymała się dopiero na oknie mojego mieszkania.

Znalazłem w nim miniaturowego siebie.

Zawołałem go, ale był zbyt zajęty rozkrajaniem ślicznej dziewczyny, która miała w sobie coś więcej. Nie przeszkadzało mi to. Gdy znalazł właściwe miejsce, ujrzałem efekt jego starań i wypełniła mnie niemożliwa do opisanego euforia.

Jak coś z Eschera. Jak okładka *Ummagummy*. Najwspanialsza matryoszka Wszechrzeczy.

Otwierał przede mną multiwersum.

Tomasz Czarny
ŚWIĄTYNIA

Pamięci Richarda Laymona

Rozejrzał się po otoczeniu parterowego motelu, aby sprawdzić, czy na pewno nikt go nie obserwuje. Było po drugiej w nocy, kiedy zameldował się w tym obskurnym przybytku. Po załatwieniu formalności z małym, cuchnącym potem typem, wrócił do swego pickupa. Musiał wydostać jakoś niepostrzeżenie swą zdobycz tak, by nikt się nie zorientował. Leżała tam, w pozycji embrionalnej, związana, z zasznurowanymi ustami i roztrzaskanym łbem. Uwielbiał ten strach w ich oczach. Mogły podejrzewać, że z jego strony spotka je wiele potwornych rzeczy, ale na pewno nie to. Przed motelem stały dwa zaparkowane samochody. W oknach żadnego z pokoi nie paliło się światło. Wspaniale, pomyślał. Wysiadł z samochodu, podszedł do pokoju numer jedenaście, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Zapalił małą lampkę stojącą na szafce przy łóżku, po czym wrócił do auta. Zarzucił swój łup przez ramię, rozglądając się niepewnie, ale nikogo nie zobaczył. Zadowolony, zatrzasnął drzwi i rzucił kobietą o ziemię. Wrócił do samochodu, by po chwili pojawić się z barchanowym workiem, w którymś coś się ruszało, oraz skrzynką na narzędzia. Kobieta leżąca na wykładzinie wiła się i wierzgała. Próbowała się uwolnić. Podszedł do okna i spojrzął z za zasłony, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Poczul się bezpieczny i bezkarny, co tylko zmotywowało go do działania.

– Śpij dobrze – powiedział mężczyzna do swojej zdobyczy.

Wyciągnął ze skrzynki na narzędzia młotek, następnie szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami roztrzaskał jej czaszkę. Mózg i krew zaczęły wyciekać ze środka. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Nie wiedział jak się nazywała ani czym się zajmowała. Dla niego była po prostu elementem jego misternego planu, niczym więcej. Następną zwykłą kurwą, proszącą się o to, żeby zostać jego pomnikiem śmierci. Dostała to, o co prosiła i tyle.

Zlustrował wzrokiem pokój. Wersalka, stolik, dwa krzesła, mały aneks kuchenny. Zwrócił uwagę na drewniane oparcia łóżka i zainteresował się na chwilę nimi. Oswobodził ciało z więzów. Czuł jak narasta w nim podniecenie, a wiedział, że ono nie jest dobrym doradcą. Ze skrzynki na narzędzia wyciągnął duży, masarski nóż, elektryczny nóż do mięsa i ręczny rozdrabniacz. Popatrzył na barchanowy worek. Cały czas coś się w nim ruszało. Zaśmiał się pod nosem. W życiu byś nie zgadła co cię czeka, pomyślał. Podszedł do zwłok. Rozebrał je z ubrania i bielizny, następnie gapił się chwilę, oceniając walory cielesne martwej kobiety. Jego uwagę przyciągał szczególnie wzgórek łonowy i to, co znajdowało się pod nim.

– Będziesz doskonała, jak cię mogę – wyszeptał.

Sam też rozebrał się do naga, nie chcąc poplamić ubrania. Podniósł trupa i rzucił go na łóżko. Stał przed nim i zastanawiał się nad czymś intensywnie. Płyny wypływające z roztrzaskanej czaszki kobiety zostawiały obrzydliwe plamy na narzucie. Zdjął ofiarę z wersalki i umieścił nad dywanem, mniej więcej pośrodku oparcia, po czym znowu się namyślał. Tak, tak będzie dobrze, przeszło mu przez myśl.

Sięgnął po liny, którymi wcześniej była związana. Chwycił jej nogi i wywinął nad głowę, tak jak kochanek robi to z wybranką uprawiając seks analny. Wziął sznur, przywiązał nim kostki kobiety do ramy łóżka, następnie ułożył ciało w takiej pozycji, aby dojście do sromu i odbytu było jak najwygodniejsze. Jego członek stał na baczność. Poszedł po skrzynkę z narzędziami i postawił ją blisko ofiary.

– A więc zaczynamy. Najwyższa pora na trochę zabawy – powiedział i odsapnął. Zapomniał o sprawdzeniu jednej rzeczy, a mianowicie tego, czy kabel od noża do mięsa i rozdrabniacza sięgnie do gniazdka. Odszukał wzrokiem kontakt. Ten znajdował się na ścianie obok, w bliskiej odległości łóżka. Ucieszyło go to. Zastygł na chwilę w bezruchu i nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń.

– Czas na wydrażenie. – Prawie zanucił. Wsadził palce w usta, poślinił je, po czym przesunął nimi po jej łonie, ciesząc się jak dziecko. Wstał i podłączył nóż. Wcisnął guzik. Usłyszał przyjemny dźwięk. Lewą ręką rozsunął jej wargi sromowe na tyle, ile zdołał. Prawą trzymał zaś mocno i pewnie narzędzie. Krew w jego penisie pulsowała szybko, wywołując w mosznie i członku ból, którym się rozkoszował. Powoli wprowadził ostrze do środka. Jak dobrze, że jest takie długie, pomyślał. Na początku nie czuł nawet żadnego oporu, co trochę go zaniepokoiło, ale z czasem

ciało zaczęło go stawiać.

Gdy zobaczył pierwsze, zbawienne strugi krwi, mlasnął z zadowolenia. I ten smród... Zepsucia, zwłok i czegoś niewyobrażalnie złego, czego sam był częścią. Przerwał i wyciągnął nóż. Na wykładzinie utworzyła się już gesta kałuża posoki zmieszanej z kawałkami tkanek. Wpatrywał się w krople ściekające z brunatnego ostrza, jak piroman zachęcony pierwszymi iskrami pożaru. Podniósł je do ust i przeciągnął po nim językiem. Stalowy, mocny smak utwierdził go w przekonaniu, że czyni dobrze. Spojrzał na worek znajdujący się nieopodal. Ciągłe się ruszał. Ruch był ledwo widoczny, a jednak... Mężczyzna dotknął czubka swojego przyrodzenia, myśląc, że zaraz eksploduje. Odrzucił narzędzie, następnie zamknął oczy i przesunął dłońmi po włosach, czując, że to go odpręża. Przysunął głowę do jej rozoranej pochwy. Uwielbiał ekscytujący zapach krwi i śmierci. Zaczął pocierać leniwie członka, a twarzą zbliżać się do jej zhańbionej kobiecości. Pobudził jeszcze fallus, by za chwilę uczynić to, na co nie miał już wpływu, bo było to silniejsze od niego. Przycisnął twarz do sromu ofiary, by nasycić się wypływającym z niego życiem. Przyssał się jak pijawka, chłonąc wszystko i traktując to jak swego rodzaju błogosławieństwo. Wszedł do swojej sfery mistycznej, smakował nektaru bogów.

Zatracił się kompletnie, odjechał, zanurzony w wydzielinach z pochwy denatki, a właściwie z tego, co z niej zostało. Czuł jej śmierć na swej twarzy. Czuł jak bardzo jest wyżej od niej. Czuł jak wielką ma władzę. Panował nad całą sytuacją. Nie dość, że odebrał jej życie, to jeszcze zszargał ją po śmierci. I to było coś. Jadła, piła, pieprzyła się, robiła pranie, a on przyszedł i zabrał to wszystko bez mrugnięcia okiem. To było wielkie. Pieprzona kruchość życia.

Opił się jak wampir. Cofnęło mu się. Fizjologia. Obudził się jakby z głębokiego snu. Raziło go nawet nikłe źródło światła. Chwycił za rozdrabniacz i podłączył go. Wsadził rękę w rozbebeszony srom, jak najgłębiej mógł. Nie, to jeszcze nie to, pomyślał. Chwycił róg pościeli i otarł nią twarz, zostawiając na materiale krwawy ślad. Spojrzał na jej odbyt. Intrygował go, był taki ciasny. Otrząsnął się, kręcąc głową.

– Będziesz jego świątynią... legowiskiem Nowego Pana... jego... źródłem życia! – zaryczał jak w transie.

Wepchnął w głąb waginy rozdrabniacz i nacierał wściekle, zniecierpliwiony. Nagle poczuł w sobie wielką siłę, wręcz gniew na to, że tak się ociąga. Zagłębiał swe narzędzie z mozołem, jak rzeźnik chcący jak

najszybciej wykonać swą robotę w upalny, męczący dzień. Teraz dopiero czuł opór. Jak diabli. I te dźwięki. Wnętrznosci powoli wypływały z martwego ciała przez spory już otwór. Istny miszmasz wszystkiego. Zupa życia. Pomyślał, że może gdyby miał rondel, choćby mały słoik, to z chęcią podstawiłby teraz go pod nią i czekał na wszystkie te smakowitości, by później po prostu to zagrzać i zjeść. Nic nie przepada w naturze. Dobrze o tym wiedział i dostosowywał się do tej zasady.

Zadowolony z efektów swej pracy, wsunął śmiało dłoń, a później całą rękę do środka i torował sobie drogę, wyciągając wszystko co jeszcze zostało do wyciągnięcia. Zapach jej narządów wewnętrznych go stymulował. Poczł się, jak gdyby patroszył okazałych rozmiarów indora na święto Dziękczynienia. Nie mogąc wyjąć już nic więcej, zajrzał w ziejącą z dziury w jej ciele pustkę. Był zadowolony z siebie.

Poszedł do małej łazienki i obmył się z krwi. Teraz najważniejsza i zarazem najtrudniejsza część, zaświtało mu w głowie. Od razu wziął całą rolkę papierowych ręczników z łazienki. Na chłodno ocenił pracę, która zajęła mu tyle czasu. Przykłęknął przy ciele i oczyścił starannie zrobioną przez siebie dziurę, by mieć dobre pole widzenia. Doskonały tunel dla boskiej istoty, przemknęło mu przez myśl. Posoka nie dała jednak zmyć się tak łatwo. Poszedł raz jeszcze do łazienki i wrócił z małą miską wody. Chlusnął nią w otwór ziejący ze zwłok i patrzył jak wszystko spływa. Podeszedł do skrzynki na narzędzia. Wyciągnął z niej taśmę klejącą.

– Taa, teraz najtrudniejsza część – mruknął pod nosem.

Podeszedł do zasłon zakrywających okna, minimalnie je rozsunął i sprawdził co dzieje się na zewnątrz. Ku swojej uciechu zauważył, że nic nie zmieniło się od czasu, gdy zaciągnął tę małą dziwkę do pokoju. Doskonale, stwierdził.

Tunel do świątyni, świątynia jest miejscem... tunel do łoża... łożo legowiskiem... ona jest tylko częścią przechodnią... tylko... i aż...

Popatrzył na barchanowy worek, zbierając myśli. Ogarnął wzrokiem cały pokój, mając nadzieję, że nie przeoczył niczego. Podniósł wór i wysypał jego zawartość na ziemię. Ze środka wyleciał pojemnik z białymi myszkami i okazałych rozmiarów czerwono-czarny wąż. Gad wił się powoli i spokojnie na wykładzinie, nie podejrzewając nawet co go czeka. Mężczyzna chwycił pudełeczko pełne gryzoni, przyglądając mu

się przez chwilę.

– Dobrze więc... w imię Jego... niech nowy Bóg znajdzie swą świątynię! – wyrecytował doniośle.

Otworzył pudełko. Wyjął jedną z myszy, złapał za ogonek palcami jednej ręki. Patrzył na zwierzę wijące się nieopodal. Musiał być szybki jak diabli, choć nie miał w ogóle pojęcia, czy gad jest jadowity czy nie. Pomyślał, że łapanie węża jedną ręką to nie jest dobry pomysł i odstawił myszkę z powrotem do pudełka. Skoncentrował się i chciał wyczuć zamiary drapieżcy, przewidzieć każdy jego ruch. Wpadł nagle na pomysł. Stopniowo przybliżał się do węża, czekając na właściwy moment. Gdy gad przez chwilę przestał się wić i wyglądał na w miarę spokojnego, mężczyzna skoczył szybko i nadepnął butem fragment oślizgłego ciała znajdujący się zaraz za głową węża, tak, że ten wił się wściekle, ale nie mógł go zaatakować.

– Mam cię. I po wszystkim. Teraz tylko...

Mężczyzna schylił się, sięgnął ręką i wsadzając palce pod swoją podszewę złapał gadzinę mniej więcej w tym miejscu, które uciskał stopą. Zaciśnął dłoń w silnym, męskim uścisku. Wiedział, że teraz jest górą. Pomyślał, że musiał doprowadzić zwierzę do wściekłości. I dobrze. Wolną ręką próbował jak najszybciej sięgnąć do pojemnika z gryzoniami. Gdy mu się udało, wyjął mysz, tak jak poprzednio trzymając ją za lichy ogonek. Kat i ofiara. Myszka skrecała się i wiła, próbując go podgryzać, ale nie zwracał już na to uwagi. Zaczął wymachiwać bezradnym gryzoniem przed główką gada, by ten poczuł jego woń i narobił sobie apetytu. Wąż wyczuł przysmak, przyjął zaproszenie do posiłku. Przybliżył się do zwłok. Mężczyzna wiedział, że już nie tylko on wyczuwa zapach śmierci i jej zepsucia. Zamachał myszką przed mięsistą dziurą w miejscu genitaliów kobiety, przysuwając jak najbliżej węża, by zlokalizował oba zapachy...

Wsadził mysz do powiększonego wcześniej otworu, maczając ją najpierw we krwi nieszczęśniczki. Następnie przybliżył gada i powoli rozluźniał chwyt, pozwalając, by drapieżca płynnie zagłębił się w ciało ofiary w poszukiwaniu gryzonia. Miał wątpliwości czy drażył wystarczająco długo i głęboko.

Wąż ochoczo zagłębił się w ciało. Gdy wystawała z niego już tylko końcówka ogona, mężczyzna wepchnął resztę gada siłą. Zabłyśły mu oczy. Teraz mam naprawdę mało czasu, pomyślał. Chwycił szeroką taśmę klejącą i zaczął mocno owijać zwłoki, co było tylko prowizorycz-

nym rozwiązaniem, zabezpieczeniem, by zwierzę nie mogło się wydostać z powrotem. Kiedy zużył większość rolki, odetchnął z zadowoleniem. Pośpiesznie sięgnął do skrzynki. Tym razem wyciągnął z niej skalpel i ochoczo zabrał się do dalszej pracy. Ciął od piersi w dół i wykroił pokaźnych rozmiarów płat skóry. Chwycił go w dłonie i przystawił do wcześniej zaklejonej dziury, mając nadzieję że przykryje wszystko. Nie pomylił się. Zużywając taśmę, przykleił płat do dolnej części tułowia. To było najważniejsze. Przyglądał się w milczeniu dziełu zniszczenia. Ekscytowało go to.

– A więc skończone – wycedził przez zęby.

* * *

– Kapitanie, dostaliśmy zgłoszenie – poinformował Klusky.

– Co mamy?

– Morderstwo w tym małym, obskurnym motelu przy autostradzie. Dyspozytorka mówiła, że facet, właściciel chyba, płakał jak dziecko przez słuchawkę. W ogóle nie mogła zrozumieć o co mu chodzi, tak bełkotał. Wyłowiła tylko najpotrzebniejsze informacje. Nie brzmi to dobrze.

– Klusky, takie gówno nigdy nie brzmi dobrze, wierz mi. Kurwa, morderstwa nie było tu od... właściwie nie pamiętam od kiedy. Zabieraj chłopaków i dupy w troki, zaraz dołączę, ale już!

Gdy Klusky wyszedł, kapitan sięgnął do szuflady i pociągnął obficie z ukrytej tam piersiówki.

– Kurwa jego była mać – zaklął.

* * *

Gdy tylko dotarli pod motel, rzeźnię się rozpadało. Wyszli z radiowozów. Bone szedł pierwszy, jak zwykle. Na miejscu czekała już ekipa.

– Co mamy, Drakker? – Kapitan skierował pytanie do łysiejącego już technika policyjnego.

– Cześć John. Co mamy? Kurwa, najprawdziwsze w życiu brutalne zabójstwo, o którym nigdy ci się nawet nie śniło. Takiego czegoś nie widziałem nawet w najgorszych filmach klasy C, istna jatka. Ktoś zaciukał dziewczynę po całości, zero litości, to musiał być nielichy skurwysyn. Wiesz, że nie jestem pierwszakiem, ale sam myślałem, że się zrzygam.

Wyciął jej z brzucha kawał skóry i przykleił na genitalia, zaraz zaczynam wstępne oględziny. Muszę się otrząsnąć. Chłopcy czeszą jeszcze miejsce, żeby nic nie umknęło naszej uwadze. Nie daj Bóg, jak pismaki to wywęszą... będziemy mieli tu murowany exodus.

– Wiadomo kim była? – zapytał Bone.

– Wstępnie wszystko wskazuje na to, że tanią dziwką i ćpunką, ale możemy się oczywiście mylić.

– Jacyś świadkowie?

– żadnych, motel był prawie pusty.

– Inni goście?

– Jedna parka i kuzyn właściciela. Sprawdzeni. Są wstrząśnięci.

– Chodźmy więc.

Bone, Drakker i Klusky weszli do pokoju. Gdy ten ostatni zobaczył zwłoki, wybiegł od razu, zasłaniając ręką usta.

– Jezusie nazareński... – wyszeptał.

– Nie, Jezusa na pewno przy niej wtedy nie było – powiedział technik.

Widok był oszałamiający. Bone widział już wiele w swoim życiu, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Wygięte w nienaturalnej pozie ciało wydzielało już trupi fetor. Bone zaczął żałować, że nie wziął swojej pierśiówki, wiele by dał, by mieć ją teraz za pazuchą. Funkcjonariusze zabezpieczali pokój i drobiazgowo sprawdzali go w poszukiwaniu śladów.

– Tom, bierz się jak najszybciej do roboty – oznajmił kapitan.

Podchodząc w kierunku zwłok, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zakrył nią nos. Nigdy nie widział na własne oczy czegoś takiego. To było jak kpina. Kpina z kobiety, z jej ciała, w końcu z nich. Czuł arogancję i pychę tego potwora. Czuł jak niewyobrażalnie zły musiał być ktoś, kto zrobił coś takiego. Podszedł bliżej. Współczuł jej. Nikt nie zasługuje na taką śmierć, pomyślał. Nikt. Stał nad tym smutnym obrazem zbezczeszczenia, a myśli kotłowały mu się w głowie. Nagle coś dostrzegł. Pochylił się nad ciałem. Nie mógł uwierzyć.

– Drakker ? Coś się rusza w środku! Drakker! Kurwa...

Paweł Mateja

IBIDEM 1

Światła z okien naprzeciw gasną, zapalają się, gasną. Widzę światła wystaw, kolorowe neony, diody, kineskopy komputerów i telewizorów. Słyszę jak samochody pędzą, jak w jakimś sklepie rozbrzmiewa alarm, jak kłóca się ludzie za ścianą.

Ten świat powoli przestaje istnieć. Rozciągam swoją twarz, jej materia poddaje się naciskowi. Zmieniam kształt. Niedługo przestanę oddychać. Mam jeszcze usta, ale są one jedynie atrapą – jak twarz manekina zza szyby. Tracę zmysły, już prawie nie słyszę dźwięków z tego zanikającego rumoru. Tylko głęboki oddech Boga wprawia mnie w drżenie. Rozciągam swoją twarz. Człowiek słoń, człowiek satelita. Nie jestem tym, który myśli. Nie jestem tym, który czuje, nie jestem swoim ciałem, dlatego kształtuję je, wyzwolony z ucisku. Tracę zmysły, otwierając się na drżenie, na słowa, których nikt nie wypowiedział. Tracę pamięć - tak niewiele warte są te myśli. To już ostatnie z nich, ostatnie myśli w świecie, który musi się skończyć.

Tu, gdzie stoje teraz, jeszcze wczoraj był fotel. Żyłem tutaj. Kanapa, padające z kineskopu światło, zapach kawy, ogromne ciepło, pot, sterta brudnych naczyń. Coraz trudniej mi przypomnieć je sobie wszystkie.

Wcześniej. Wróciłem do mieszkania. Wcześniej. Wyszedłem z biura. Wcześniej. Wyjął alarm, szósta rano.

Jem coś, cokolwiek. Jakaś kobieta z ekranu podaje nieistotne informacje. Gromada anonimowych ludzi krzyczy. Przełykam-popijam, nie odrywając wzroku. Nieustające informacje. Moje miasto, kraj, świat, gospodarka, sport, kultura. Ani słowa o tym, co za chwilę ma się wydarzyć w tej starej kamienicy, na przecięciu dwóch ulic w centrum jednego z miast. Ani słowa o mnie, o łoskocie, który kazał mi poderwać się na nogi.

Rozlega się głośny stukot w drzwi. Silny i stanowczy nakaz.

Godzina dziewiętnasta, początek nagrania.

Za drzwiami stoi barczysty mężczyzna, ma kominiarkę na głowie,

przy oku kamerę. Cofam się o krok, godzina dziewiętnasta zero jeden, on jest już w środku. Próbuję coś z siebie wykrztusić. W przedśionku jest już nie jeden, a dwóch, trzech, pięciu, ośmiu mężczyzn. Rzucają się na mnie. Przed oczyma robi mi się ciemno. Ktoś nakłada mi worek na głowę. Ciągną mnie do pokoju, skrępowanego rzucają na fotel. Nadal godzina dziewiętnasta zero jeden.

Zero dwa - knebel w ustach. Zero trzy – ręce związane za plecami. Nie padło ani jedno słowo. W głowie czuję narastający szum, strach – przez rozedrgane myśli nie potrafię wyjaśnić tego najścia. Nagle trzask, zaraz potem ból. Pęka kość pierwszego palca. Wiję się, jęcząc. Palec drugi, palec trzeci.

Ból ciągle rozsadza mi mózg. Tracę na moment przytomność, ale cuci mnie lodowata woda. Ścieka po mokrym worku, który nadal mam na głowie. Znow trzę przytomność, budzą mnie impulsy, płonąca falą docierające z dłoni, ból. Wyłamane ze stawów, zniszczone palce.

Myśl o tym, że na pewno nie pójde rano do pracy.

Zagłusza ją coraz to głośniejszy dźwięk dochodzący z oddali. Jeszcze dociera do mnie pisk radości dziecka sąsiadów. Kroki znad sufitu. Moi oprawcy są cisi jak koty. Jakby nikogo u mnie nie było. Otwieram załamane oczy, nie mam już worka na głowie. W przeciwległym kącie pokoju telewizor i monotonny śnieg na ekranie. Początkowo myślałem że to z niego wypływa ogarniający mnie dźwięk – ale nie. Jeden z zamaskowanych zasłania ekran ciałem, podchodzi blisko. Już nie wiem, czy nadal ma na sobie kominiarke, czy w ogóle zatracił on rysy twarzy.

Ma wielkie, szorstkie i zimne dłonie. Kładzie je na moich oczach. Inne palce naciskają czubek mojej głowy. Kość ustępuje, jakby była z plasteliny. Palce wnikają głębiej i głębiej, chcę się wyrwać, ale tamten trzyma mocno. Wdech-wydech, wdech – dziewiętnasta dziesięć. Czas przestaje mieć znaczenie.

Budzę się i jestem sam. Nie ma mebli, nie ma kolorów, zapachów, ciepła, ruchu. Leżę nagi na zimnej podłodze. ściany są blade, mdłe, kruche; nie wiem, która godzina. Moje ciało pulsuje bólem, jest odrętwiałe. Z trudem gromadzę wspomnienia, niewiele ich odnajduję. Moja lewa ręka ma tylko cztery palce – bez śladów cięcia, blizn, kikuta. Jakby zawsze taka była. Dotykam twarzy, ale nie rozpoznaję jej kształtu. Wdech-wydech, wdech-wydech. Próbuję wstać, ale nogi nie pamiętają do czego kiedyś służyły. Pełzną więc na drugi kraniec pokoju. Coś leży na podłodze. Mała paczka bez podpisu, w środku kamera. Wciskam kilka przycisków,

rozjaśnia się ekran.

Dziewiętnasta zero zero. Otwierają się drzwi. Patrzą okiem obiektywu na zaskoczoną twarz mężczyzny. Nie mija nawet sekunda, gdy zostaje obezwładniony. Próbuje krzyczeć. Zero jeden, dwa, trzy, pięć, osiem, trzynaście, dwadzieścia jeden, trzydzieści cztery.

Silne dłonie otwierają głowę, jakby składała się z plastycznej masy. Mężczyzna wyje, szamocze się jak zwierze przeznaczone na rzeź. Fragmenty czaszki powleczonej skórą sterczą w górę jak korona. Nie ma krwi. Dłonie wkładają do wnętrza jakiś przedmiot. Coś małego, czarnego. Krzyk zza knebla narasta, skóra związanego to blednie, to czerwienieje. Nie jest w stanie rozerwać pęt, ciało odmawia mu posłuszeństwa. Nagle sztywnieje, zamiera w bezruchu. Mięśnie ma napięte, nabrzmiałe. Mija chwila, nim złapie oddech. Próbuje otworzyć oczy, ale jedna z rąk szybko wypina mi je z twarzy, jakby były z nią połączone zatrzaskiem – wpadają do dziury w głowie.

Mężczyzna zaczyna się zmieniać.

Pandemonium. Twarz staje się łbem ryby głębinowej, z kościanej korony formują się rogi. Później przybiera postać cyklopa, węża morskiego, psa. Dłonie nadają nowe kształty istocie, która wyje przez zaciśnięte zęby. Dziób ptaka uformowany z oderwanego palca. Jak plastelina, jak masa solna, jak glina.

Zero zero pięćdziesiąt pięć.

Naga istota skulona w rogu pustego pokoju. Kaleka rzeźba pozbawiona rysów. Kamera filmuje nieruchomy obiekt przez kilka minut. Obraz zanika.

Szum to bezustanny ruch wszechrzeczy, to Bóg, to siła sprawcza. Jeszcze przez chwilę patrzą przez okno na ulicę. Topi się brudny śnieg, albo to chodnik powoli zmienia się w ciecz. Ktoś ustawił w szybie wystawy sztuczną choinkę, płonąca wielobarwnie.

Ktoś przechodzi, chlupocząc w wodnistym błocie. Coraz trudniej mi się skupić. Pod kamerą leżała kominiarka, dzięki której mógłbym ukryć moją aparycję. Chyba nie będę jej potrzebował, coraz ciężiej mi być tu i teraz. Niknę i świat niknie, zostaje nieskończona istota. Otwarcie oczu niesie za sobą ulotne obrazy, ich zamknięcie przynosi dźwięki. Boże wyście niedługo stanie się jedynym, później przestanie wibrować w ogóle.

Zamykam oczy, wszystko przestaje mieć znaczenie. Nagle jestem w innym miejscu, innym czasie – to ostatnie chwile, zanim pochłonie mnie chaos.

Młode kocięta, jeszcze nie potrafiące chodzić, pełzają w kartonie, piskując jak myszy. Żarówka promienieje żółto, pełno jest tu półcieni, na zewnątrz wieje wiatr, ale to ciepłe miejsce. Z balii wyciągam mokre ubrania, rozwieszam je na sznurach. Kotka leży mruczając, jedno z młodych wtuliło się w jej brzuch, przez sen próbuje ssać, szuka źródła mleka.

Nie potrafię już powiedzieć, czy było to moje życie, czy cudze. Zaraz znika i już nie wiem, kim jestem. Nie wiem, czy kiedykolwiek kimś byłem dłużej niż przez moment.

Zamykam oczy i nie potrafię powiedzieć gdzie jestem. Nie ma tu mnie ani ciebie. Zamykam oczy, znika wszystko co znam. Znika ułuda tego, że rzeczy były i będą, znika pozór i fałsz. Znika wszystko poza szumem. Odnajduję w nim swój oddech, odnajduję w nim słowo. Nie chcę już mówić, myśli są już zbędne.

Karol Mitka

AŻ PO GRÓB, A NAWET DALEJ

Kim są ci ludzie? Czego ode mnie chcą? Co im zrobiłem? Takie i inne myśli kotłowały się głowie Boskiego Alvara, kiedy do jego mieszkania wparowało dwóch drabów odzianych w połatane łachy. Byli tak szpetni, że żadna telewizja nie odważyłaby się pokazać ich mord przed dwudziestą drugą. Ciemny kolor skóry świadczył o niepolskim pochodzeniu mężczyzn. Na widok młodzieńca, kulącego się z przerażenia w fotelu, wyszczerzyli gnijące zęby w upiornym uśmiechu satysfakcji i ruszyli w jego stronę.

Alvaro próbował się bronić. Wymachiwał chudymi jak zapałki rękoma, kopał, szczypał, gryzł napastników, aż w końcu opadł z sił. Zawinięty w swój własny dywan, wylądował na zdezelowanej furgance.

Jak długo jechali? Tego nie wiedzieliby nawet najstarsi górale z Podhala. W każdym razie podczas podróży Alvaro zdążył dwa razy napętnić portki obfitymi porcjami rzadkiego stolca, o szczaniu pod siebie nie wspominając.

Zatrzymali się na leśnej polanie, w samym centrum cygańskiego obozu. Słońce umknęło już za horyzont, więc wokół płonęła masa niewielkich ognisk, przy których młode dziewczyny radośnie płały w tradycyjnym romskim tańcu. Roześmiani chłopcy przyglądali im się lubieżnie, szukając odpowiednich kandydatek na żony. Rozmowy i okrzyki mieszały się z szumem wiatru oraz rżeniem koni.

Szczekający zębami Alvaro został wniesiony do jednego z drewnianych wozów, stojących na obrzeżach taboru. Dopiero tam uwolniono go z „perskiej” pułapki.

– A więc jesteś. – Zgrzybiały starzec, zasiadający w pozłacanym fotelu, lustrował porwanego zimnymi jak lód oczyma. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się choć imitacji mężczyzny, a nie obsranej, nic nie wartej gnidy – dodał. – Jak Lucilla mogła ulec komuś takiemu?

– Co? – mruknął Alvaro, zastanawiając się o co chodzi temu czubkowi.

– Gównno – odparł tamten. – Widzę, że i z pamięcią miewasz problemy, ale ja dobrze wiem, co zrobiłeś minionego lata, zwyrodniały skurwysynu! Spaskudziłeś mi córkę, a potem porzuciłeś jak psa! Jednak nadszedł czas zapłaty i dzisiejszej nocy sprawiedliwości stanie się zadość!

Boskiego Alvaro niespodziewanie olśniło. Faktycznie, w zeszłym roku spotkał pod barem młodą, nieszczęśliwą Cyganke. Snuła się bez celu, zapłakana, więc postanowił biedaczkę pocieszyć. Na swój sposób. Zaprosił dziewczynę na piwo, a ona opowiedziała mu o nieszczęściu jakie ją spotkało. Że despotyczny ojciec wybrał dla niej męża, zupełnie nie zwracając uwagi na fakt, iż od dawna kochała innego. Dlatego umknęła z taboru.

Alvaro miał w dupie jej historię i problemy. Gdy wyszła do ubikacji, wrzucił do kufla tabletkę gwałtu, po czym zawiózł półprzytomną niewiastę do siebie i użył sobie na całego. Wspomnienia tamtej nocy ożyły w jego umyśle feerią barw.

Najpierw rozebrał dziewczynę zębami. Miała jędrne, sterczące cycusy, do których dobrał się w pierwszej kolejności. Doił sutki jak cielak pijący mleko z krowich wymion, aż spuchły i zrobiły się fioletowe.

Następnie podwiesił swoją ofiarę na grubym, konopnym sznurze i schlastał po plecach kablem od mikrofalówki. Z błogim wyrazem twarzy spijał wyciekające z ran strużki krwi, a kiedy skończył, dobrał się do kakaowego oka. Jednak odbył był za ciasny na jego prącie, przez co musiał naciąć zwieracze żyłką. Kiedy już wsadził fiuta, okazało się, że stolec nie pozwala na dogłębną penetrację. Naparł kilka razy, ale bezskutecznie. Widocznie dziewczyna cierpiała na zatwardzenie.

Nie widząc innego rozwiązania analnego problemu, wsadził jej w tyłek natłuszczoną rurę odkurzacza, dzięki czemu błyskawicznie oczyścił jelita z mas kałowych. Choć od fetoru ekskrementów dostał zawrotów głowy, nie przeszkodziło mu to w rozpoczęciu kopulacji. Rznął Cyganke na zmianę we wszystkie otwory ciała, łącznie z uszami i nosem, wypełniając je obfitymi porcjami nasienia. Na koniec umył ją, ubrał i wpakował do taksówki. Poleciał kierowcy, by została wywieziona jak najdalej od miasta i wysadzona na pierwszym lepszym przystanku.

Stary Cygan wykrzywił twarz w grymasie najszczerzej nienawiści. Alvaro ze zgrozą zrozumiał, że w jakiś niepojęty sposób jego myśli zostały odczytane. Czy padł ofiarą starożytnej rzymskiej magii? Zadrzał, a po policzkach popłynęły mu łzy.

– Ty parszywy gnoju! – zagrzmiał ojciec Lucilli. – Chętnie wyrwałbym

ci serce i rzucił psom na pożarcie, ale tradycji musi się stać zadość! Posiadłeś moją córkę, więc należy ona do ciebie! Połączy was święty węzeł małżeński!

Boski Alvaro zbladł. Czy naprawdę porwano go z domu tylko po to, aby siłą ożenić z jakąś niedomytą zdziurą, w dodatku ofiarą jego sadystrycznych zapędów seksualnych? Postanowił nie dać się sterroryzować. Pomimo paralizującego umysł strachu, skoczył z pięściami na jednego ze stojących obok drabów. Niestety błędnie oszacował siły na zamiary. Potężne uderzenie w tył głowy wysłało go do krainy snu.

Kiedy w końcu odzyskał przytomność, pojął, że w żaden sposób nie uniknie ślubu. Ubrany w stary, znoszony frak, z wywiniętymi za plecy rękoma skrępowanymi żelaznym uściskiem jednego z osiłków, stał w kaplicy pełnej Cyganów. Na marmurowym ołtarzu leżały niewielkie ogarki, wydzielające drażniący nozdrza swąd topionego ludzkiego tłuszczu. Do Alvara dotarło, że w całej ceremonii nie będzie nic z tradycyjnego rytuału zaślubin. Świadczyły o tym tajemnicze symbole, wrysowane krwią na kamiennej posadzce, oraz czaszka kobry, spoglądająca na zgromadzonych z odwróconego krzyża wiszącego pod zmurszałym sklepieniem.

Alvaro głośno przełknął ślinę. Poczuł, jak po nogach ciekną mu ciepłe strużki moczu.

W pomieszczeniu rozbrzmiała kakofonia, nie mająca nic wspólnego z muzyką. Pozbawione rytmu dźwięki fletów, dzwonków i tamburynów mieszały się z wrzaskami cierpiących ludzi oraz histerycznym płaczem dzieci. W tle przewijał się rechot opętanego szaleńca. Zupełnie jakby ktoś na chwilę otworzył wrota piekieł.

Przy akompaniamencie diabelskiej orkiestry, stary Rom wprowadził córkę do mauzoleum. Widok przyszłej żony przyprawił Boskiego Alvara o drgawki, po których młodzieniec wybuchnął histerycznym płaczem.

Dziewczyna była ubrana w długą suknię, pięknie przystrojona koralikami i cekinami, w upiorny sposób kontrastującą z bladym, pozbawionym wyrazu obliczem właścicielki. Spomiędzy sinych warg Cyganki wypełzało robactwo, a czerń wyzierająca z pustych oczodołów przerażała bardziej niż mrok otchłani. Szyję szpeciła wyraźna blizna po sznurze. A jednak ta demoniczna karykatura istoty ludzkiej poruszała się o własnych siłach!

Zdjęty zgrozą Alvaro padł na kolana, a potem na twarz. Pełzał u stóp

Roma, szlochał i jęczał, wyciągając dłonie ku niebu błagał o przebaczenie.

– A co myślałeś, bękarcie kulawej suki, że moja maleńka będzie potrafiła żyć w upokorzeniu? – warknął starzec. – Znalazłem ją na skraju lasu, huśtaną podmuchami wiatru. Ale ja i z trupem potrafię się dogadać. Niedługo ty też będziesz umiał. . .

Pomimo drobnej postury, siłą zatargał młodzieńca pod ołtarz.

– A teraz zawrzecie święty związek małżeński – rzekł podniosłym tonem, przymusem związując dłonie Lucilli i Alvara kolorową wstążeczką. – Lucillo, czy bierzesz sobie tego oto młodzieńca za męża i przyrzekasz mu miłość oraz wierność aż po grób, a nawet dalej? – zapytał, kładąc wyraźny akcent na ostatnie słowa.

Z ust panny młodej wydobył się mrozący krew w żyłach, przeciągły jęk. Na potwierdzenie niemrawo skinęła głową.

Alvaro zacisnął szczękę tak mocno, jak tylko potrafił, jednak kiedy przyszły teść i jemu odczytał tekst przysięgi, z przerażeniem uświadomił sobie, iż powtarza go bezwiednie, przypieczętowując tym samym swój los.

– Ogłaszam was mężem i żoną! – oznajmił Cygan, a zgromadzeni zaczęli bić brawo. – Możesz pocałować pannę młodą!

Lucilla zarzuciła świeżo upieczonemu małżonkowi ręce na ramiona i przyciągnęła do siebie z nadludzką mocą. Boski Alvaro bezskutecznie starał się wyswobodzić z uścisku. Kiedy ich usta się spotkały, zwymiotował, porażony odorem rozkładu i zgnilizny, po czym zemdłał.

świadomość przywrócił mu potworny ból głowy. W pierwszej chwili nie wiedział co się dzieje. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, iż jest ciągnięty za włosy po ziemi. To Lucilla wlokła go w kierunku swojego wozu.

– Pomocy! Czego ona ode mnie chce?! – krzyczał do idących za nimi Cyganów, ryjąc palcami w wilgotnej glebie.

– Jak to czego? – odparł jeden, wybuchając gromkim śmiechem. – Należy jej się noc poślubna!

Kiedy drzwi „domu na kółkach” zamknęły się za młodymi, rozba-wieni Romowie uważnie nadstawili uszu.

– Związek został skonsumowany – orzekli zgodnym chórem, gdy paniczne wrzaski Alvara przeszły w rzeżenie, po którym słychać było już tylko odgłosy mlaskania.

Krzysztof T. Dąbrowski
POZORY MYŁĄ

1.

Pozory mylą. Któż by przypuszczał, że ten sympatyczny starszy pan, który mógłby być twoim dziadkiem, gwałcił nocami swoją kilkuletnią wnuczkę. Albo milutki grubasek, z którego wszyscy się śmieją – sko-pał wczoraj do nieprzytomności kolegę, a potem rozłupał mu czaszkę kamieniem. Czy uwierzylibyście w to, że w ogródku pewnej miłej staruszki, pogrzebanych jest kilkunastu mężczyzn? Osobiście zadźgała ich nożem. Pozory mylą...

2.

Ewa poczuła pulsujący w skroniach tępy ból, jak gdyby zapowiedź koszmarnego kaca. Dokuczała jej suchość w ustach i dziwne drętwienie rąk. Uświadomiła sobie, że nie pamięta, co się z nią działo i gdzie się ocknęła.

Czy ja się upiłam? – zadziwiła ją ta myśl, bo przecież ostatnim razem przeholowała z alkoholem ładnych kilka lat temu, jeszcze na studiach. Poza tym nigdy nie lubiła tego stanu; uważała, że jest w nim coś upadla-jącego; niegodnego człowieka.

Wszystko jednak wskazywało na to, że się lekko „upodliła”.

świetnie, świetnie, świetnie, po prostu CUDOWNIE!

Dręczyło ją dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, miała uczucie jakby stała a nie leżała. Zmusiła się do otworzenia oczu. Znajdowała się w do-syć specyficznym pomieszczeniu...

Nagły przypływ lęku przeszył serce lodowatym ukłuciem, jakby ktoś wbił w nie sopel lodu.

Gdzie ja jestem?! Co to za miejsce?

Liche, mdłe światło żarówki, smętnie zwisającej na rachitycznym ka-belku, oświetlało betonową podłogę w promieniu kilku metrów, a dalej była tylko...

...ciemność.

GDZIE JA JESTEM?!

Panika zaczęła wgryzać się w jej ciało ostrymi ząbkami. Ewa szarpnęła się gwałtownie, lecz nie mogła wykonać żadnego ruchu, czuła tylko potworny ból między łopatkami. Ból, który falą skurczów promieniował w dół, do ramion. Ramion, którymi...

...nie mogła w żaden sposób poruszyć.

Wyczuwała za to, że są mocno wygięte i coś oplatają. A to coś znajdowało się za jej plecami.

KTOŚ MNIE ZWIĄZAŁ!

Ta myśl była jak silne uderzenie w twarz.

Zaczęła szaleńczo machać głową. Usiłowała dojrzeć, co się za nią znajduje. Bezskutecznie. Próbowwała krzyczeć, lecz strach ścisnął gardło – wydobyła z siebie tylko zduszony skrzek.

A może to tylko sen, koszmar, z którego się za chwilę z krzykiem obudzę?

Nie, niemożliwe. Gdyby tak było, już by się obudziła; samo uświadomienie sobie faktu, że to tylko sen spowodowałoby powrót do rzeczywistości.

TO SIĘ DZIEJE NAPRAWDĘ!

* * *

Mężczyzna siedział ukryty w cieniu i obserwował ofiarę. Niewątpliwie była urodziwa. Długie, czarne, lekko kręcone włosy opadające kaskadami na krągłe, kształtne piersi. Mimo tego, że ręce miała skrepowane z tyłu, wyglądała jak kobieca wersja ukrzyżowanego Chrystusa.

Jestem artystą – pomyślał – boskim artystą!

Powoli odzyskiwała przytomność. Uwielbiał ten moment. Te przebudzenia, kiedy jeszcze otumanione nie zdają sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje. Każda z nich była wtedy jak wijący się robak nadziany na szpilkę. Wiedziały, że coś jest nie tak, coś je bolało, ale nie zdawały sobie sprawy dlaczego. To cudowne uczucie. Pełna władza i poczucie głębi istnienia.

Każde przebudzenie jest inne. Jedne budzą się gwałtownie, jakby wyrwane z sennego koszmaru, i od razu zaczynają krzyczeć. Inne omdlewają i trzeba je cucić (głupie dziwki, te zawsze go wkurzały – psuły za-

bawę), jednakże zdecydowana większość dochodziła do siebie powoli, leniwie dryfując od mroków słodkiej nieświadomości do brutalnego zderzenia z rzeczywistością. Wyglądało to za każdym razem bardzo podobnie; najpierw ciche jęki i niezrozumiałe mamrotania, jak bełkot człowieka nagle wyrwanego z głębokiego snu, i towarzyszące temu lekkie kiwnięcia głową. Potem sytuacja zaczynała nabierać tempa. Czuły dyskomfort, docierało do nich, że coś jest nie w porządku. W większości przypadków, wykrzywiając twarz w grymasie umęczenia, z wysiłkiem otwierały oczy.

Zagubienie, poczucie dezorientacji i narastający lęk – podniecający widok.

* * *

Ćma samobójczo rzucała się na żarówkę – była jedynym ruchomym elementem w pomieszczeniu.

Ewa usiłowała skupić na niej wzrok. Ta tak absurdalna w tej sytuacji czynność pomagała jej uporządkować chaotyczny natłok myśli i stępić paraliżujący strach.

Ciekawe kto pierwszy umrze ja, czy ta ćma? – pomyślała.

Świadomość, że może nie wyjść stąd żywa zmroziła jej krew w żyłach. Musiała jak najprędzej odpędzić tę nieprzyjemną myśl, atakującą umysł jak natrętną muchę. Uznała, że na początek trzeba się uspokoić. Musiała to zrobić, żeby zacząć racjonalnie myśleć. Tylko to mogło jej pomóc, gdyby oczyściła umysł, mogłaby spróbować znaleźć jakieś wyjście z tej beznadziejnej sytuacji.

Z jednej strony chciałyby dowiedzieć się, kto ją uwięził, a z drugiej odwlec ten moment jak najdalej. Zdawała sobie jednak sprawę, że lepiej stanąć twarzą w twarz z tym kimś niż tkwić w niepewności. Mogłaby wtedy realnie oszacować swoje szanse. Wiedziałyby na czym stoi. Jeśli oprawca tu nie przyjdzie, bo coś mu się stało, lub coś jej zrobił gdy była nieprzytomna, a potem postanowił ją tu zostawić na pastwę losu, to nie ma najmniejszych szans – umrze. Zabije ją albo głód, albo wychłodzenie organizmu. Nie miała złudzeń, że ktoś odnajdzie ją na czas – to zdarzało się tylko w filmach.

* * *

Patrzył na dziewczynę kiwającą rytmicznie głową. Mamrotała coś pod nosem, zupełnie jakby miała zaraz postradać zmysły. Uśmiechnął się. – Wiedział już, że szykuje się niezła zabawa.

* * *

– Uspokój się, uspokój się – szeptała do siebie, mając nadzieję, że to pomoże.

(Kto pierwszy umrze? Ja, czy ta ćma?)

Nie pomagało. Zamknęła oczy i zaczęła powoli wciągać powietrze. Bardzo powoli – tak jak na zajęciach z medytacji, na które chodziła w czwartki po pracy. Po kilku minutach mogła już w miarę racjonalnie myśleć. Czuła, że dłonie i stopy są wygięte do tyłu i czymś spętane. Miała wrażenie, że przywiązano ją też w pasie. Założyła, że na pewno jest w jakiejś piwnicy na odludziu i...

...prawdopodobnie w pobliżu jest umysłowo chory, który może ją w każdej chwili zabić – dlatego nie może krzyczeć, nie wolno jej wzywać pomocy. Jedynym rozwiązaniem w takiej sytuacji byłoby nawiązanie kontaktu, dialogu. Zdana na łaskę i niełaskę oprawcy, tylko tak mogła zwiększyć swoje szanse na przeżycie.

– Jest tu kto? – spytała, usiłując zachować pozory opanowania.

* * *

Proszę, proszę, co my tu mamy – pomyślał – będzie się chciała bawić w panią psycholog.

Wyszedł z cienia; najwyższa pora by go ujrzała.

Oczy ofiary zrobiły się ogromne jak dwa talerze, niemal wyszły z orbit. W jej spojrzeniu dostrzegł mieszaną przerażenia i niedowierzania.

* * *

O Boże! O Boże! O Boże! To on! – Teraz przypomniała sobie wczorajszy wieczór... I ostatnie trzy tygodnie.

Ujrzała Adama – tego samego, którego poznała na portalu dla samotnych. Wydał jej się wtedy taki nieśmiały, a zarazem elokwentny, rycerski i uroczy. Przez kolejne dwa tygodnie wysyłali do siebie długie maile, rozmawiali godzinami na Skypie, dzwoniли do siebie na dzień dobry i na dobranoc. Uznała, że spotkała swój ideał; przynajmniej z charakteru.

Świetnie się dogadywali, mieli podobne zainteresowania i podejście do życia.

Przypomniała sobie chwilę, gdy przesłał jej swoje zdjęcie, pomyślała wtedy – Boże jakie ciacho! Jak on się mógł uchować przez tyle czasu bez kobiety?

Zakochała się. Wpadła po uszy. Zaczęły się spotkania na żywo.

Na początku obawiała się czy będzie tak samo jak przez Internet. Czy nie okaże się, że ten wysportowany przystojniak, to w rzeczywistości lekko łysiejący grubasek liczący na to, że na tyle ją omotał, iż daruje mu takie drobne kłamstewko.

A W CZORAJ...

Wczoraj zaprosił ją do siebie, nalał wina. Napiła się. A co się działo potem, tego już nie pamiętała.

Dlaczego on to robi? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że bez najmniejszego problemu mógł ją mieć, przecież wtedy chciała się z nim kochać. Może... może jak mu to uświadomi, może zrobi swoje i ją wypuści?

– Nie musi tak być. Nie musisz mnie krzywdzić. Przecież cię pragnęłam. Chciałam się z tobą kochać. Jeśli tego chcesz, po prostu zrób to, co musisz i mnie wypuść, a potem zapomnijmy o tym wszystkim. Dobrze?

Nie mogła uwierzyć w to, co mówiła. Właśnie wyraziła zgodę na to, by ten typ ją zgwałcił, ale przecież gdyby tego nie powiedziała, to i tak mógłby to zrobić i nic by go nie powstrzymało. Uległość – to mógł być klucz do wolności. To było to światełko nadziei.

– Dobrze – rzucił niedbale, nawet na nią nie patrząc i zaczął się rozbiierać.

O Boże, a jak on ma AIDS albo inne draństwo? Za późno! Teraz może mieć tylko nadzieję, że jak ten koszmar się skończy (o ile do tego dojdzie), to okaże się zdrowa.

Gdy zdjął koszulę zauważyła, że na umięśnionym torsie ma wytatuowanego węża.

Prawie jak z okładki czarnego albumu Metalliki – pomyślała – O Jezu! Za chwilę zostanę zgwałcona, a ja rozmyślałam do czego podobny jest tatuaż zbrojeńca. Boże, chyba zwariuję!

Nie zdawała sobie sprawy ile dziś jeszcze będzie musiała znieść jej psychika...

Tymczasem mężczyzna ściągnął majtki.

Ujrzała nabrzmiałego, sterczącego penisa.

Boże nie! Proszę zrób coś! Nie pozwól! O Boże! Proszę! Pro..

Mężczyzna brutalnie w nią wtargnął.

WTARGNAŁ!

Bezprawnie... Siłą... Zbruka jej ciało, pozbawi godności, upodli. Pierdolony psychol!

Zacisnęła z całej siły powieki i przygryzła dolną wargę do krwi. Pragnęła by jak najmniej, z tego co się teraz dzieje, docierało do jej umysłu, by jak najmniej zapamiętała.

Myśl o czymś innym! – Nakazała sobie.

(Kto pierwszy umrze? Ja, czy ta ćma?)

Gwałcił ją, coraz głośniejsz sapiąc. Otworzyła na chwilę oczy i ujrzała nabrzmiąłą żyłę na szyi zbroceńca, pulsującą obietnicę wolności. Przez jedną krótką chwilę pomyślała, że mogłaby ją przegryźć. Zemścić się! Jednak nie zrobiła tego – zabił by ją zanim by się wykrwawił. Zresztą, nawet jakby przeżyła, to przecież potem umierałaby w męczarniach z pragnienia i głodu, przywiązana do tego zimnego słupa.

Nagle poczuła jak wewnątrz jej podbrzusza wypełniło gorąco.

SPUŚCIŁ SIĘ WE MNIE!

Gwałciiciel dygotał jeszcze przez chwilę, po czym wyszedł z niej. Cofnął się dwa kroki i przyglądał się swemu dziełu z obleśnym uśmiechem.

Wzbierała w niej fala mdłości. Starła się powstrzymać wymioty by go nie rozzłościć, lecz gdy poczuła gorącą strużkę spermy spływającą po udach nie wytrzymała. Zwymiotowała.

– Proszę, proszę, co się dzieje? Wiem, głupia cipo, że wczoraj mnie pragnęłaś. Wiem, że bez problemu mogłem cię wyruchać.

Ale bym się nie bała – dopowiedział jej umysł – to cię tak kręci pieprznięty zafajdańcu!

– Jeszcze wczoraj mnie pożądałaś, a dziś się brzydzisz – mówił to z ironicznym uśmiechem – Dlaczego? Przecież jestem tym samym kawałkiem mięsa, które wczoraj cię tak bardzo kręciło. W twoim brzuchu jest ta sama sperma, której wtedy byś chciała. Może nawet błagałabyś bym spuścił się na twoją twarz, albo do ust. I co suko? Podobałoby ci się, a teraz się brzydzisz, puszczasz pawia!

Boże, zabije mnie! Dlaczego nie wytrzymałam? O Boże, proszę ratuj! Proszę! Proszę!

Poszedł w mrok. Zniknął jej z oczu. Z ciemności dobiegł głos.

– Zrobimy mały eksperyment, ty tępą piczo.

Z mroku wytrysnął silny strumień lodowatej wody. Ewa zaczęła krzy-
czeć. Uczucie przenikliwego zimna zniknęło, organizm przestał reago-
wać na zbyt silny bodziec – teraz czuła już tylko gorąco.

– No i jesteś czyściutka - powiedział zakręcając kurek.

Podszedł i ukucnął przed nią.

– Zrobimy eksperyment – puścił do niej oczko.

Boże co on robi?! Czy on... – nawet przez myśl nie chciało jej to przejść
– odrzuciła to przecucie, tak jak strząsa się z ubrania obrzydliwego
owada.

– Ciekawe, czy teraz zrozumiesz?

Napiął się, żyły wyszły mu na czoło, po którym zaczął spływać pot.
Po chwili poczuła zapach – bardzo nieprzyjemny.

O Boże, on sra! – nie mogła w to uwierzyć i ze zgrozą uświadomiła
sobie, że jest w o wiele gorszym położeniu, niż jej się zdawało. Ten fa-
cet to nie tylko niewyżyty perwers – on ma nierówno pod sufitem! Te-
raz zaczynała żałować, że jednak nie przegryzła mu tętnicy. Usiłowała
wstrzymać oddech i nie patrzeć.

Wstał. Na ziemi leżało duże, brązowe, parujące gówno.

Schylił się i zanurzył dłoń w kale. Zaczął go rozsmarowywać po jej
klatce piersiowej.

Proszę, Boże, zrobię wszystko, co zechcesz, tylko mnie uwolnij! – błą-
gała w myślach, jednocześnie czując, że już nie da rady dalej wstrzy-
mywać oddechu. I tak wytrzymała dłużej, niż wydawało jej się, że po-
trafi. Sparaliżowana strachem, wypuściła powietrze i, nie mając wyboru,
zaczerpnęła duży haust... smrodu. Żołądek momentalnie zamienił się
w kamień, po czym z ust Ewy chlusnęła gorąca struga kleistych rzygo-
win (resztki wczorajszej romantycznej kolacji przy świecach).

– Przecież to tylko zapach – cmoknął zde gustowany – taki sam jak
twoje pieprzone Chanel, tylko ma odrobinę inną nutkę zapachową – za-
czął się śmiać. Gdy skończył ponownie nabrał gówna do rąk i podszedł
do niej.

– Czas na małą kinder niespodziankę – wyszczał i złapał ją za włosy.
Drugą ręką rozsmarowywał jej po twarzy odchody.

Zacisnęła oczy i usta. Wstrzymała oddech.

Wiedziała, że po tym obrzydlistwie do końca życia będzie się czuła
brudna. Nawet jak przeżyje i zmyje z siebie ten syf, to i tak nie opuści
jej wrażenie, że to przeniknęło przez skórę w głąb ciała. Ponownie zwy-
miotowała – tym razem gęstym, lepkiem śluzem. Wprost na niego. Przez

moment chciała umrzeć, by nie musieć znosić kolejnych tortur i obrzydlistw, które zrodzą się w głowie tego psychola.

– Zabij mnie ty głupi chuju!

Boże! O Boże, co ja narobiłam? – pomyślała, ale było już za późno.– Nie chcę umierać! Co ja narobiłam!?

Głupi chuj uśmiechnął się tylko, rozsmarowując jej wymiociny po swoim ciecie.

– Nic nie zrozumiałaś. Szkoda. – Pokręcił głową, wyraźnie zdegradowany. – Patrz! Ja się twoich rzygów nie brzydę. A wiesz dlaczego? – Rozbawił go ten jej tępy wyraz twarzy, ale wytłumaczy jej, w końcu to część zabawy. Ciekawe czy zrozumie? – To wszystko, to gówno, które kilka godzin wcześniej było pysznym wykwintnym daniem, moje ciało, twoje ciało, to wszystko jest tylko zlepkiem różnych atomów. Tylko od ich konfiguracji zależy, co powstanie.

Wyglądała jakby to wszystko było jej obojętne, ale i tak to powie, skoro już zaczął.

– Tak samo wszystkie planety, gwiazdy, galaktyki – perorował, a oczy miał zamglone, jakby jego umysł był daleko stąd – to wszystko, cały kosmos powstał z pojedynczych atomów, z kosmicznego pyłu... WSZYSCY JESTEŚMY TYLKO KOSMICZNYM PYŁEM!

Upajał się swą wszechwiedzą i zdolnością postrzegania spraw w taki sposób, na jaki zwykli śmiertelnicy nie mogą sobie pozwolić. Spojrzał na nią.

– Ja jestem człowiekiem, ty zafajdańcu! Sam jesteś pieprzonym kosmicznym pyłem palancie! – Splunęła na niego.

Prosto w twarz! Jak śmiała!? Jak ona śmiała, głupia dziwka! Nawet nie zdaje sobie sprawy co zrobiła, z kim obcuje!

– Milcz jak do mnie mówisz ty głupia, tępą krowo! Nic nie zrozumiałaś! Ja nie jestem człowiekiem, ja jestem...

3.

– Czwórka! znowu czwórka! Co to kurwa ma znaczyć? Co? No pytam się! – Ojciec krzychał tak, że aż kropla śliny trafiła Adama w policzek, choć stał w odległości kilku metrów.

– To ja, cholera jasna, cały tydzień zapieprzam od rana do wieczora żebyś ty głąbie miał co do gęby włożyć, a ty mi się tak odpłacasz? Ty

darmozjadzie jeden! żeby coś znaczyć w tym świecie trzeba być najlepszym! NAJLEPSZYM głąbie jeden!

– Ale tato – wymusnęło mu się, mimo iż wiedział, że jakiegokolwiek tłumaczenie się jest bezcelowe, spotka się ze ścianą niezrozumienia; może tylko zaszkodzić rozjuszając ojca jeszcze bardziej.

– Milcz jak do mnie mówisz! – wrzeszczał. Był cały czerwony na twarzy. – Gnoju ty! Już ja cię nauczę szacunku do starszych, już ja cię nauczę moresu!

Adam stał bez ruchu czekając na karę. Ucieczka czy opór nie miały najmniejszego sensu – potem byłoby tylko jeszcze gorzej.

– Kładź się i ściągnij spodnie! – rozkazał ojciec wskazując na krzesło.

Położył się brzuchem na krzesło, wypinając pupę. Zacisnął usta z postanowieniem, że nie będzie płakał ani krzyczał; nie da staremu tej satysfakcji. Zresztą to nie boli tak strasznie – kwestia przyzwyczajenia.

W sumie bywało już gorzej – najwyraźniej starszy jest dziś na kacu i nie ma siły.

Błądził myślami gdzieś daleko i ze zdziwieniem w pewnym momencie stwierdził, że nic nie czuje. PRZESTAŁ ODCZUWAĆ BÓL! Słyszał tylko dźwięk; następujące po sobie kolejne pacnięcia i sapanie ojca.

Adam siedział na dachu bloku i podziwiał zachód słońca.

To było jego sekretne miejsce, kryjówka z której mógł wszystko i wszystkich obserwować i nikt mu się tu nie narzucał. Ludzie byli tacy malutcy, jak mrówki. Czasami myślał sobie, że fajnie by było naprawdę być kimś tak dużym i rozgniatać ich wszystkich ogromnym palcem.

Rodzice byli pijani. Spali.

Zawsze gdy trochę wypili kazali mu iść na dwór. Często zastanawiał się dlaczego. Kiedyś przytknął ucho do drzwi. Usłyszał sapania, zgrzyt sprężyn i jęki. Wiedział, co to oznacza – Marek, kumpel z klasy, kiedyś opowiadał, co robią faceci z kobietami, i że to się nazywa seks.

To były jedyne chwile kiedy mógł do oporu biegać po dworze i nikt mu nie miał potem tego za złe. Przecież gdyby się uczepili tego, że lata po podwórku to zaprzeczyliby samym sobie, skoro sami pozwolili mu wyjść z domu.

Niestety nie pili zbyt często i zwykle po powrocie ze szkoły był zapędzany do biurka i musiał się uczyć do późnej nocy. Matka siedziała w jego pokoju i czytając książkę miała go pod kontrolą, by nie zajmował się czymś innym niż nauką. A przecież był dobrym uczniem! Nie potra-

fił zrozumieć, czemu ma gorsze oceny niż taki głupi Romek – przecież umiał tyle co on, jak nie WIĘCEJ! świat był niesprawiedliwy. . .

W ogóle Romek strasznie go wkurzał – podczas gdy on za piątkę z minusem dostawał manto, Romeczek za taką samą ocenę dostawał od bogatych rodziców zestaw klocków Lego z Pewexu. Przyłaził potem, burak jeden, do szkoły i się przechwalał. Adam z chęcią by mu spuścił manto, gdyby nie to, że Romeczek był znacznie silniejszy. A jakby tego wszystkiego było mało lubiły go wszystkie dziewczyny w klasie – nawet Andżelika, w której Adam skrycie się podkochał. świat był bardzo niesprawiedliwy!

Tylko tu, na dachu, zapominał o gryzącej go od wewnątrz wściekłości. To miejsce wpływało nań jakoś tak kojąco, skłaniało go do przemyśleń, potrafił spojrzeć na wszystko z dystansu.

Słońce schowało się za horyzontem. Nastąpiła bezchmurna, gwiazdziasta noc.

Adam położył się i podziwiał migoczące gwiazdy. Gdy tak na nie patrzył, na to niezliczone mrowie galaktyk, poczuł się taki mały i nic nie znaczący wobec tego ogromu. Cała ta Ziemia jest niczym w porównaniu z tym wszystkim. Ogarnęło go poczucie bezsensu. Wydawało się to strasznie nielogiczne, że musi się tak całymi dniami uczyć zamiast korzystać z życia. Przecież nawet jak będzie najlepszym uczniem na całym tym cholernym świecie, to jakie to będzie miało znaczenie wobec ogromu kosmosu? Przecież nawet najwybitniejsi ludzie nic nie znaczą wobec potęgi wszechświata – kiedyś, gdy Słońce zgaśnie i zamieni się w czarną dziurę, wchłonie tę małą nic nie znaczącą planetkę z całym jej dobrostanem i nic nie pozostanie.

ABSOLUTNIE NIC!

Jaki więc to wszystko ma sens?

Czasami zastanawiał się, czy Bóg tak naprawdę istnieje.

Skoro jego życie nie ma sensu, a nawet istnienie całej ludzkości na tym zafajdanym świecie, to prawdopodobnie wszystko powstało przez przypadek. Przecież gdyby Bóg naprawdę był gdzieś tam, w innym wymiarze, gdyby istniał jakiś mądry stwórca, nie byłoby takiego chaosu, bezsensu istnienia czy niesprawiedliwości, której on i wielu innych codziennie tu doświadcza. Wszechświat byłby uporządkowany. Na pewno tętniłby różnymi formami życia i wszyscy byliby szczęśliwi. Nie byłoby wojen i cierpienia, a on, Adam miałby tak samo dobrze, jak ten durny

Romeczek! Nie, Boga na pewno nie ma, za duży tu jest bajzel, żeby uwierzył w tę bajeczkę...

Ale skoro to wszystko jest iluzją, a on, Adam, tę iluzję przeżywa, to znaczy, że musi być prawdziwy! Co więcej, potrafi nad nią zapanować! Jakże by inaczej wytłumaczyć to dzisiejsze dziwne zdarzenie, to że przestał odczuwać ból gdy ojciec wymierzał mu karę? No jak?

Wytłumaczenie jest tylko jedno: potrafię sprawować kontrolę nad otaczającą mnie iluzją!

Zaraz, zaraz, jeżeli wszystko jest tylko złudzeniem – dedukował dalej – a ja jestem prawdziwy... to znaczy, że jestem jedyną naprawdę żyjącą istotą, a to wszystko jest tylko wytworem mojej wyobraźni!

W tej chwili miał wrażenie, że gdyby Bóg istniał, to tak właśnie by się czuł, jedyny prawdziwy wśród stworzonej przez siebie iluzji istnienia.

Ale skoro tak jest – pomyślał na głos – to znaczy, że JA JESTEM...

4.

... JESTEM BOGIEM! – wykrzyczał jej prosto w twarz.

– Jak możesz twierdzić, że nim jesteś?! – wychrypiała, prawie się dławiąc. Jej ciałem wstrząsały spazmy, chciała wymiotować, ale nie miała czym. Żołądek był pusty.

– Bo jestem stwórcą tego wszystkiego. Bo mam uczucia, bo jestem świadomy, bo myślę!

– Ja też myślę i czuję!

(Kto pierwszy umrze? Ja, czy ta ćma?)

– Tak ci się tylko wydaje. Jesteś jak aktorka w filmie. Niby masz uczucia, ale one są tylko projekcją na mentalnym ekranie. Zrozum dziwko, że nie jesteś prawdziwa. Jesteś tylko interaktywną iluzją w moim filmie. Nie wiem po co, ale fakt jest taki, że stworzyłem to wszystko. Stworzyłem ten świat, tę iluzję i sam siebie tu zesłałem. Chyba kurewsko musiało mi się nudzić i, możesz suko wierzyć albo i nie, ale głównie mnie to obchodzi! Zresztą dlaczego ja się tłumaczę wytworowi mojego umysłu?

O Boże, to świr – pomyślała, czując jak groza wbija się cienkim, długim ostrzem, w jej szaleńczo trzepoczące pod żebrami serce – nie mam szans! O Boże, Anna! Boże, nie pozwól by moja córeczka została sama!

Proszę ocal mnie dla niej! Nie pozwól by została sierotą. BŁAGAM!

Podszedł do stołu i wziął nóż.

– Proszę, nie rób tego. Proszę! Ja mam córkę! Ona ma tylko mnie. Proszę!

Teraz będzie najprzyjemniejszy moment. Adam zawsze uwielbiał tę chwilę, gdy z ciała uchodzi iluzoryczne życie, to wtedy czuł się jeszcze prawdziwszy, utwierdzając się w swej boskości jako pan życia i śmierci. Podszedł do mamroczącej coś pod nosem, szarpiącej się kobiety. Przyłożył zimne ostrze do gładkiej powierzchni jej brzucha. Chyba chciała krzyknąć, ale nie była w stanie. Ach, to ściśnięte strachem gardło. Adam zaczął powoli dociskać ostrze. Nóż zagłębił się w ciało jak w tort urodzinowy. Przyjemne skojarzenie – tylko w urodziny nie doznawał od „rodziców” iluzji krzywdy.

To było takie fajne. To było takie fajne! TO BYŁO TAKIE FAJNE!

Tylko wtedy traktowano go poważnie i tylko wtedy inni byli dobrzy, a na co dzień był dla nich tylko głąbem, nieukiem i przyczyną wszelkich trosk. Jaki był wtedy ograniczony, że nie zdawał sobie sprawy z tego, kim jest.

Przecież mógł ich ukarać, zabić bluźnierców, zabić wszystkich!

Kobieta była martwa. Z jej trzewi wypływały parujące, oślizgłe wnętrzności.

Adam zwałił sobie konia, jak zwykle, po czym poprzecinał więzy.

Zwłoki z głuchym plaśnięciem upadły na ziemię.

Schylił się i złapał kobietę za włosy. Zaciągnął trupa do pomieszczenia obok, zostawiając krwawy ślad upstrzony strzępkami wnętrzności. Musiał jeszcze pozbyć się zwłok.

To już dwudziesta – pomyślał – coraz mniej mnie to bawi, prawie zawsze jest tak samo...

5.

A jednak będzie go to bawiło jeszcze przez pięć miesięcy. Zabije kolejnych siedem kobiet stosując coraz wymyślniejsze tortury. Wszystko po to by wzmocnić doznanie wszechmocy i poczucie, że jest jedyną rzeczywistą istotą. Później policja w końcu wpadnie na jego trop i dokona aresztowania. Odbędzie się proces. Z powodu choroby psychicznej, Adam nie zostanie skazany na karę więzienia, lecz skierowany na

przymusowe leczenie. Gdy wyprowadzą go z sądu zostanie zastrzelony przez zro paczonego ojca jednej z ofiar. W tej jednej krótkiej chwili, gdy będzie umierał, Adam odkryje, że NIE JEST BOGIEM! NIE JEST WSZECHMOCNY! JEST ŚMIERTELNY!

JEST

TYLKO

CZŁOWIEKIEM!

A pozory mylą...

Grzegorz Gajek
PO JEDNEMU

Niczego nie cenię u ludzi tak wysoko jak wyobraźni.

Pozwólcie, że opowiem wam pewną historię.

Barry'ego poznałem w barze. Nędznej spelunie na warszawskiej Woli. Na pewno wiecie jak wyglądają takie miejsca. Dymu od cholery i trochę, gości wręcz przeciwnie. Barman senny, podłoga brudna, muchy na lampach.

Barry oczywiście nie nazywał się Barry, tylko Bartosz, ale tak się wówczas przedstawił. Barry z baru. Hehe.

Wypatrzyłem go od razu. Siedział zgarbiony, jakby niósł na plecach tonę gówna. Świecił czerwonym karkiem. Pokazałem barmanowi, żeby postawił dwa kielichy. Klepnałem Barry'ego w plecy.

– Ciężki dzień, kolego? – zagadnałem.

Barry nie odpowiedział. Barman nalał nam wódki.

– Po jednemu? – zaproponowałem.

Barry wypił.

– Ja to mam zasrane życie, panie kolego – wypiłował przerdzewiałym głosem. I tak zaczęła się nasza znajomość.

Potem nastąpiły prezentacje i tym podobne.

– A co z nim jest nie tak? – zapytałem, gdy mieliśmy to już za sobą.

– Z kim?

– No, z życiem.

– A, popatrz no tam, panie kolego. – Barry wskazał na drugi koniec baru. Przy jednym ze stolików siedziało dwóch łysych facetów w skórzanych kurtkach. Na oko po dwa metry każdy. Dziary. Ten typ też znacie, tak jak spelunę. – Widzisz pan tę mordę? Toż to jest obraza dla pracowitych eonów ewolucji. Mnie ta morda obraża, rozumiesz, osobiście.

Zorientowałem się o którego mu chodziło.

– To bydlę rżnie moją żonę – wychrypiał Barry.

– Przyszedłeś tu za nim?

– żebyś wiedział.
– I co zrobisz?
– Nic, nawalę się jak tona bananów.
Zignorowałem to kuriozalne sformułowanie.
– Nie masz ochoty mu zajebać? – zapytałem.
– Pewnie, że mam. Skąd ty się urwałeś? Gość dupczy mi starą. Po mojemu powinno to wyglądać tak... Bierę nóż do filetowania, rozumiesz, wbijam tamtemu prosto pod jaja i tnę. Tnę skurwysyna, a on piszczy. Tnę elegancko w kółeczko: worek, kutas i cała reszta. Coby mieć komplet. Następnie rzeczzonego chuja nanizuję na żyłkę. żyłkę przewlekam facetowi przez dupę do gardła i ciągnę. Ciągnę, rozumiesz, aż chuj w gardle stanie. A potem... – Barry zamyślił się na chwilę. – Niech się chuj własnymi jajami udusi – dokończył i roześmiał się.
Pokiwałem głową.
– I za to możemy wypić – powiedziałem. – Po jednym?
– Aja...!
Wypiliśmy. Barry uspokoił się nieco. Wtedy powiedziałem:
– Wiesz, Barry, chciałbym ci pomóc. Ale opowiedz najpierw jak do tego wszystkiego doszło.
– Oj, stary, nie wiem, czy nam nocy starczy.
– Mnie się tam nie spieszy. Dalej, opowiadaj.
– Jak sobie chcesz. – Barry zamyślił się na chwilę. – Wszystko zaczęło się od tego fajfusa Maciusia. To, rozumiesz, ciota. Typowa ciotkajebiotka. Tak mi się wyczuwało od zawsze, że go tam cichcem (z Niemca, by tak, hehe, rzec) posuwa Tobiasz. Tobiszański, znaczy się, naczelnik. Bo ja na poczie, rozumiesz, pracuję. Listonoszem jestem. I ten Maciuś też. I kiedyś coś tam popierdolił z paczkami. Się jakieś gównno wylało, coś innego zalało. W każdym razie klient przyszedł, że niby na skargę, bo przesyłka była droga. A Maciuś był już udupiony, dawno powinien wylecieć, tyle tylko, że go ten Tobiasz posuwał, jak ci mówię, no i... o, to tak właśnie musiało być. A facet zażądał odszkodowania i żeby oficjalną, dyscyplinarną i jaką tam jeszcze chcesz karę listonoszowi wymierzyć. Ale Maciuś był tam na miejscu. Usłyszał, jak pani Halinka przyjmuje zgłoszenie. Więc, kiedy sprawdzała, czyj to rewir, zaczął coś kręcić, że niby zastępstwo było... Bo było, ale nie tego dnia, tylko wcześniej. Tyle, że wiesz, jak to z tymi, za przeproszeniem, pederastami jest. Poczarował, pokombinował, Halince wszystko się popierdoliło i skarga poszła

na mnie. Wiem, jak było, bo mi potem Edytka, z okienka obok, wszystko opowiedziała.

– No i co? – zapytałem. – Dupnęli cię?

– Nie tam. Poszedłem do Tobiasza, powiedziałem, co i jak było, musieli posprawdzać znowu w papierach. Ale mnie chujek chciał na przetrzymanie wziąć. Odwlekali, przekładali wszystko. Od razu się zorientowałem, że kryje Maciusia. – Barry zaciął się na sekundę. Potem nagle ryknął śmiechem. – Kryje, kryje, to dobre! – wydusił przez łyzy. Kiedy minął mu atak, wrócił do opowieści. – No, wyobraź sobie, jednego dnia mnie Tobiasz wziął na rozmowę. I tak popierdala, że bajzel jest, że w sumie to nie wiadomo, że papierów nie prowadzę, jak trzeba. I blefuje, że mnie dupną, bo wszystko wskazuje na mnie, a jeszcze próbuję zwalić na Maciusia, więc tym gorzej. I tak po mnie jeździł, prowokował, aż w końcu mówię mu: weź ty się Tobiasz odpierdol, wiem, że posuwasz Maciusia i dlatego go kryjesz, ale to on rozpierdolił tę paczkę, nie ja. Patrzę, skurwiel wyciąga dyktafon. Teraz mam kłopoty, mówi. Bo jestem niezrównoważony, agresywny, homofob w dodatku. No, nienajlepiej to wtedy rozegrałem. Poczułem, jakby coś, rozumiesz, tak mi pękło w bebeczach. Rzuciłem się na skurwiela i trochę go tam potarmosiłem, pokrzyczałem, żeby oddał dyktafon, bo zapierdolę i takie tam.

– I wtedy cię już dupnęli?

– Nie, jeszcze nie. Ktoś tam mnie odciągnął. Kazali mi iść do domu. Następnego dnia przychodzę do roboty... nic. Kolejnego dnia znowu nic. Aż wreszcie mnie Tobiasz znowu wzywa. I mówi: no, teraz Barry to ty masz kłopoty. To już nie tylko praca, ale i kryminał. I znów mnie ciśnie i jątrzy. Wiedział skurwiel, że kredyt mam, że za prąd zalegam, że mnie chcą z mieszkania wypierdolić. No więc zmiękłem, rozumiesz, i go przeproszam, że nie chciałem, że mnie poniosło, że mogła być może moja wina. A on wtedy wstaje od biurka, zamyka drzwi na klucz, wyjmuje kutasa i mówi: ciągnij. Ciągnij to cię nie dupniemy.

– Osz kurwa – mruknąłem. – Ale co? Chyba mu nie... No wiesz.

Barry nie patrzył na mnie. Oczy coś mu się zeszkliły.

– Tych pederastów to się powinno wystrzelać – powiedział. – Takie jest moje zdanie. Dupczysz facetów, to do gazu. A Tobiasza... Gdybym mógł to załatwić po swojemu, to facet zostałby zamknięty na wybiegu dla... dla, kurwa, żyraf. Przywiązany do pała, tylko z dupą wypiętą. I by go te żyrafy posuwały. Odechciałoby się skurwielowi, za przepro-

szeniem, sodomii. Śmierć przez zadupczenie, to kara dla niego. Fiutem, chuja, na wylot.

– Za to mogę wypić – powiedziałem. – Po jednym?

– Po jednym. Za Tobiasza. Niech mu odbył ciężkim będzie.

Wypiliśmy. Barry otarł nos. Przez chwilę wyglądało na to, że się rozklei.

– Ale jak to się ma do tego gościa, który posuwa twoją żonę? – zapytałem szybko.

– A, widzisz. To nie jest taka prosta sprawa. Po tym... po tym zajściu z Tobiaszem i tak straciłem robotę. Taki był skurwiel, wyobrażasz sobie? Bez odprawy, nic, jak psa. Dyscyplinarnie. Wracam do domu, myślę, stara zajazgocze mnie jak nic. Ale, o dziwo, z początku nie było tak źle. Dostała właśnie podwyżkę u siebie w robocie, więc była dobrze usposobiona. Biedny ja, biedny ja, gęgała. Jakoś to będzie, coś się znajdzie, takie masz już doświadczenie, tyle lat przepracowanych.

– No to zacząłem szukać, proszę, nowego zatrudnienia. Tak sobie mi to szło. Wiesz, jak jest. Jak człowiek raz założy mundur, to potem na byle co go nie zamieni. Przecież nie będę w makdonaldzie robił, nie? Albo na stacji benzynowej. Zresztą, z pracą teraz ciężko, kryzys i takie tam. Wszyscy nagle chcą wyższego wykształcenia. Albo dyspozycyjności – tego jeszcze brakuje, żebym całymi dniami pod telefonem siedział, czekając, aż ktoś dryndnie. Albo chcą, żeby w weekendy pracować. Powiem ci, nikt już nie szanuje pracownika. Gównu płacą, a chcą Bóg wie co. No, niedobrze mówię? Ale odbiegłem od tematu. Jak tak siedziałem, pilnie studiując gazety i pisząc CV, z tą moją żonką coś się zaczęło dziać. Z miesiąca na miesiąc coraz to bardziej nerwowa się robiła. W końcu coś jej pierdolnęło w mózgu, kiedy... No ale to znowu muszę się cofnąć do tyłu w przeszłość.

W duchu zgrzytnąłem zębami (różne dziwne rzeczy można robić w duchu) słysząc ten tautologiczny zbitek, ale pozwoliłem mu... ekhem... dalej kontynuować.

– Parę miesięcy temu kupiłem Matiza. Elegancka maszyna, nie powiem. Co z tego, że Koreańczyk i że używka. żonca się przepodobał. Jeździliśmy sobie przy niedzieli jak państwo, proszę bardzo, do kościoła, do teściów. Potem się zaczęło, że po co chodzić do spożywcza, jak można samochodzikiem podskoczyć do markeciku. A potem to już było, że może samochodzikiem na pocztę. I co z tego, że ja pracuję na poczcie

i mogę zanieść, odebrać czy co tam. Nie, nie, ona będzie jeździła samochodzikiem.

– Ale jak przyszły ciężkie czasy i nie mogłem znaleźć roboty, to nie było wyjścia i przyszło Matizika sprzedać. Coś się wtedy w tej mojej żonie zmieniło, mówię ci, jakby w nią diabeł wstąpił. Zrobiła się złośliwa jak kałuża skryta pod obluzowaną płytą chodnikową w listopadzie. I zaraz nam się zaczęło psuć w departamencie łóżkowym. Nieraz jak mnie naszło nocą na figielki, to ona do mnie: gdzie łapska pchasz, spać nie dajesz. A jak już przyszło co do czego, to ciągle chciała... no wiesz... być na górze. To ja jej: babo, złaż, ja tu portki noszę. A ona na to: tak, a kto ci te portki kupił? Aż doszło do tego, że w ogóle ciupcianie poszło w niepamięć. Tyle właśnie są warte przysięgi małżeńskie, panie kolego. W zdrowiu i w chorobie, dobre sobie. Pierdolenie o Szopenie. Przyjdą gorsze dni, stracisz pracę, na rynku kryzys, wszyscy ci kłody pod nogi... I nagle nie ma w zdrowiu i chorobie. A żeby szczęła, taka bladź!

Zaskoczył mnie Barry tym ostatnim wykrzyknieniem, choć tylko w sensie językowym. Zaraz podchwyciłem temat:

– A masz jakąś... hm... konkretną wizję jej zgonu? - zapytałem.

– żebyś wiedział. Przez jebanego Matiza mnie dziwka rzuciła dla tego tam brakującego ogniwa. Co z tego, że jest młodszy, napakowany i ma hajsu jak lodu. W zdrowiu i w chorobie, kurwa. Aż do śmierci, kurwa. To życzę jej, żeby zdechła w koreańskiej fabryce. Albo niech będzie i nasze FSO, trzeba być patriotą. Rozciągnięta na taśmie produkcyjnej pieprzonych Matizów. Tak bardzo kochała te kółka, to niech jej, kurwa, zamontują kółka. Zamiast cipy może mieć rurę wydechową, pożytku będę miał z tego tyle samo. Silnik w majty i jazda. Samochód dla ludu, kurwa mać. Dobra, to niech teraz lud ją ujeżdża. I tak już daje komu popadnie. Cycki miała niczego sobie, to się wykroi w sam raz przestrzeń bagażowa. W dupę może tankować, zresztą pewnie już to robi, jeśli ten drugi wydzierany ma ze swoim koleżką dobre stosunki.

Wściekł się Barry, muszę przyznać. Kieliszek trzasnął mu w dłoni. Pocięło trochę krwi. Chyba nawet nie zauważył. Dyszał i zażawionymi oczyma wpatrywał się w stolik na drugim końcu baru. Gdyby wzrok mógł zabijać...

Cóż, kiwnąłem na barmana, żeby przyniósł nowy kieliszek. Widząc jego spojrzenie, zapłaciłem podwójnie.

Klepnałem Barry'ego w ramię.

– Po jednym? - zapytałem.

Otrząsnął się. Wziął w garść. Uniósł kieliszek, wypił, otarł usta.
– I co teraz? - zapytałem.
Wzruszył ramionami.
– A ja wiem... Co mi jeszcze pozostało? Chyba tylko się obwiesić...
– Chcesz skończyć ze sobą?
Zastanowił się nad tym. Trwało to chwilę. Nie pospieszałem go.
– Nie – zdecydował w końcu. - Jednak strach, wiesz. Chuj wie, co tam jest, jak... No wiesz, jak się kofnie. Poza tym, jak pomyśle...
Drżącą dłonią dotknął szyi. Wzdrygnął się.
– Nie, to nie dla mnie. Szczerze powiedziawszy, chciałbym już mieć to z głowy. Ale wolałbym, rozumiesz, odejść z klasą. Żeby ludzie się dziwili, a nie gadali tylko, że to był pijak i, normalka, wziął się obwiesił. Na przykład gdyby tak mnie pieprznał meteoryt. To by było coś, nie? Idę sobie ulicą, a tu nagle jeb meteoryt i mnie nie ma. Szybko, czysto, bez bólu i, kurwa, z hukiem.
– Piękna myśl – skomentowałem. – Wypijemy za to? Jeszcze po jednym...
Popatrzył na mnie psimi oczyma.
– Dzięki – powiedział. - Ale chyba nie. Pora wracać na chatę. Wziąć dupę w troki. Miło się gadało.
Wstał. Zachwiał się. Niezgrabnie poklepał mnie po ramieniu. Ruszył do wyjścia.
Prawie mi się wymknął.
Prawie.
Już stojąc w drzwiach, odwrócił się nagle.
– Słuchaj – zawołał. - a jak ty właściwie się nazywasz? Bo zapomniałem.
Uśmiechnąłem się. Skinąłem ręką, żeby podszedł bliżej.
– Mogę ci powiedzieć, ale jak mam się znowu przedstawiać, to musimy wypić brudzia. To jak, po jednym?
Z trudem skupił na mnie wzrok. Najwyraźniej wstając wzburzył cały alkohol w swoim organizmie.
– No nie wiem – bąknął.
– Daj spokój. To przy okazji będzie strzemienny. Na drogę w przyszłe życie. Co ty na to? Po jednym?
– Achchuj... Dobra!
Wypiliśmy. Poszedł. Odsunąłem się od baru i schowałem głowę między kolana. Zatkaną uszy. Zamknąłem oczy.

Po chwili coś huknęło, błysnęło. Szyby baru popękały z łoskotem. Ludzie zaczęli krzyczeć. Biegać.

Podniosłem głowę. Wokół panował totalny chaos. Na ulicy płonął ogień.

Wstałem i wyszedłem na zewnątrz, manewrując wśród spanikowanych bywalców knajpy.

W chodniku przed drzwiami ział niemały krater. Po Barrym nie było śladu. Z zadowoleniem pomyślałem, że naukowcy będą mieli zagadkę jak to się stało, że meteor na tyle mały, by spowodować tak punktowe zniszczenia, nie spłonął w atmosferze. No cóż, nie będzie to bynajmniej najdziwniejsza rzecz, jaka wydarzy się tego wieczoru. Policję czeka kilka wyjątkowo kuriozalnych odkryć. Przypuszczam, że ktoś się porzyga.

Tak jak mówiłem, najbardziej cenię u ludzi wyobraźnię. Nic innego nie przełamuje tak skutecznie wyjącej nudy wieków.

A Barry miał wyobraźnię. Popierdoloną, to prawda, ale jednak.

Paweł Waśkiewicz

CORAZ WIĘKSZE RYBY W AKWARIUM

Magazyn żył własnym życiem. Patrzyłem, jak rozkładają na stole pistolety i broń automatyczną. Potem jak ładują je w folię bąbelkową i wciśkają do szarych kartonów bez napisów czy nalepek. Dobra robota. Zasłużyłem na tytuł pracownika tygodnia.

Dzwonek telefonu. Pewnie Bora, czuwający nad transakcją. Był bardzo opiekuńczy wobec swoich dzieci i interesów. Zaklejone paczki kazałem wrzucić na pakę, a resztę skończyć w pół godziny. Lepiej, żeby towar nie stał za długo w jednym miejscu.

Słuchawka wlała mi w palce.

– Słucham.

– Kasztan przy telefonie.

Słyszeliście, żeby ktoś się tak witał? żeby w odpowiedzi na wasze „słucham” odpowiadał, że znajduje się przy aparacie telefonicznym? świetnie, wiedziałem już, że nie stoi przy, dajmy na to, telegrafii. To cały Kasztan. Ostatni raz widziałem go miesiąc temu. Nie tęskniłem. Skoro już o tym mowa, on pewnie też nie. Obaj mieliśmy dobre powody, ale jego były lepsze od moich.

– Czego chcesz? – spytałem.

– Siedzisz w magazynach?

– Kasztan, na litość, dzwonisz do magazynów, ja odpowiadam na telefon i jeszcze się zastanawiasz, czy tu jestem?

– Daruj sobie cwana gadkę.

Dla Kasztana zdanie podwójnie złożone o dowolnej treści zawsze będzie „cwana gadką”. Jeśli umiesz powiedzieć trzy takie pod rząd, jesteś „mózgowcem”. Jeśli dodatkowo dorzucisz parę trudnych słów, trzeba cię od razu zabić. Na wszelki wypadek.

– Po co dzwonisz? – zapytałem.

– Pamiętasz Grzywkę?

Grzywka, no jasne. Łysy geniusz zła. Tak przynajmniej widział samego siebie – jedyne, co ja sam mogę o nim powiedzieć z całą pewnością, to że był łysy.

– Co z nim?

– Grzywka zarobił forszę.

– Niesamowite.

– Dużą.

– Mój oddech przyspieszył. Powiedz, dlaczego to mnie tak do głębi porusza?

– Bo Grzywka poszedł do grubych graczy i zrobił inwestycję. Z tej inwestycji wynika, że zostało ci parę godzin życia.

Nachyliłem się.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz.

– Grzywka wynajął Berowa i Karlana. Dziś dobili targu przez pośrednika. O twoją głowę.

Rozłączyłem się. Zawsze łatwo było poznać, kiedy Kasztan powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Szkoda tracić czas. Zadzwoiłem do Bory. Odebrał w biurze. Przełączyła mnie sekretarka.

– Co się dzieje? – spytał.

– Właśnie zadzwonił do mnie Kasztan i powiedział parę ciekawych rzeczy.

– Zaraz, do magazynów? Zna numer do magazynów?

– Najwyraźniej.

– Skurwiel. Wynoście się stamtąd, jeśli wie, gdzie jesteście, to...

– Nie sądzę, żeby był na smyczy.

– Jeśli nie psy go nasłały, to kto?

– Przekazał mi wiadomość. Być może od Grzywki. A może od samego siebie. Grzywka pewnie nie byłby taki głupi.

– Jaką wiadomość?

– Podobno dogadali się z kimś. Przekazali pewną sumę za moje życie.

– W porządku, to poważna sprawa.

– Wymienił nazwiska.

– Taki z niego dobroczyńca?

– Berow i Karlen.

Zapadła dłuższa cisza. Słyszałem, jak Bora dyszał miarowo w słuchawkę. Musiało nieźle go zatkać.

– O kurwa – wydusił w końcu. – No to zrobiło się duszno.

– Mówi ci to coś?

– Gdybyś wiedział o Berowie i Karlenie tyle co ja, to w tej chwili musiałbyś lecieć po zmianę bielizny.

– W takim razie może faktycznie lepiej, że nic nie wiem.

Zrobiło mi się gorąco. Bora to bardzo spokojny gość. Na co dzień właściwie nic go nie rusza. Przez jego palce przepływa nieskończona rzeka krwi i dochodowych interesów. Umaczał łapy w każdej nielegalnej spluwie, działce kokainy i opakowaniu zielska, jakie trafiły na ulice. Sponsrował każdą prostytutkę, jaką karmiło swoją pierśią to miasto. Bora nie denerwował się byle gównem. A kiedy już był zaniepokojony, wszyscy naokoło także robili w gacie.

Mnie jak na razie zrobiło się tylko gorąco.

– Co mam zrobić? – rzuciłem bezradnie.

– Ilu masz tam ludzi?

– Sam wiesz najlepiej, ilu mi przydzieliliś.

– Trzymaj tę czwórkę przy sobie, słyszysz mnie? Jeśli zachce ci się pójść do kibla, weź jednego ze sobą. Nie rób głupot. Siedź tam i czekaj na mnie.

– Na ciebie?

– Nie mnie osobiście. Przyślę tam właściwych ludzi. Poznasz ich po tym, że nie mają poczucia humoru, a na dobry żart odpowiadają serią z automatu.

– Już pałam do nich sympatią. Kiedy się ich spodziewać?

– Jak dobrze pójdzie, to za kwadrans.

– W porządku.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do głównej hali. Paczki leżały bezpiecznie na pace ciężarówki. Kierowca siedział w pogotowiu, czekając na sygnał do odpalenia silnika. Nie doczeka się, a przynajmniej nie ode mnie. Ciekawe, kogo Bora przyśle do dokończenia tego interesu. Niech to szlag, zacząłem robić się zazdrosny jak mała dziewczynka.

* * *

Faktycznie przyjechali po kilkunastu minutach. Na szczęście moi ludzie nie zadawali pytań, bo sam właściwie nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Parę chwil później pożegnałem ich i zapakowałem się do czarnego wozu z kuloodpornymi szybami. Myślałem, że będę prowadził sam, ale groźnie wyglądający szofer oraz jego równie przystojny kompan zmierzli mnie tylko wzrokiem i kazali siadać z tyłu.

Nikt niczego mi nie wyjaśnił. Nie było zresztą takiej potrzeby, bo kilka minut później wylądowałem na dywaniku w posiadłości Bory. Opuścił swoje biuro, musiał więc być bardziej poruszony niż chciałby, żebym myślał.

– Nic nie słyszałeś o Berowie i Karlenie? – zapytał, jakby nie dowierzając.

– A powinienem?

– No jasne, jesteś tu nowy. To wszystko wyjaśnia. Gdybyś posiedział w mieście jeszcze parę miesięcy dłużej, dowiedziałbyś się w mniej dramatyczny sposób.

Chodziłem w kółko po przestronnym salonie z widokiem na ogród. Na zewnątrz żona Bory, wysoka i równomiernie opalona blondynka w czarnym bikini, trenowała akurat skoki do basenu. Było na czym zawiesić spojrzenie, choć wiedziałem, że jest starsza niż się wydawało. Sam Bora natomiast zdecydowanie wyglądał teraz na swoje lata. Jego twarz poszarzała i stała się obwisła, na czole uwypukliły się paskudne zmarszczki, zaś pod oczami miał cienie, których – mógłbym dać za to głowę – tego samego dnia rano jeszcze tam nie było.

– Możesz mi wyjaśnić o co chodzi?

– Najprościej rzecz ujmując, ci dwaj panowie to najgorsi skurwiele w mieście. Uwierz, nie przesadzam. Mieszkam tu od urodzenia, widziałem niejednego trupa i niejednego mordercę, ale tacy jak oni to już przesada. Gdyby ich matki wiedziały kogo urodzą, pewnie dla pewności wpakowałyby w każdy wyskrobany płód po kulce.

– Bawisz się w telezakupy? Kiedy tak o nich mówisz, aż sam mam ochotę ich wynająć.

– To nie jest śmieszne. Oni są źli. Są po prostu źli w chuj.

Zabawnie brzmiało to w ustach kogoś takiego jak Bora. Pojęcie zła w naszej branży nie istnieje. Jego definicja nigdy nie została ustalona, bo dla bezpieczeństwa całą ideę stojącą za tym słowem zamieciono pod dywan.

– źli? – powtórzyłem.

– Najprościej rzecz ujmując, powinieneś się bać.

– Jeszcze się nie trzęsę.

żona Bory przeszła wzdłuż brzegu basenu, po czym znów skoczyła na główkę. Jej smukłe ciało połyskiwało w blasku księżyca. Ogród, pogrążony w ciemności i wieczornej mgłę, prezentował się dziwnie. To chyba wtedy po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że gdzieś w mroku nocy

mógłby się czaić skrytobójca z karabinem snajperskim. Czułem niepokój, nawet pomimo świadomości, że cały teren jest najeżony rewolwerowcami Bory.

– Jakim cudem Grzywka zdołał porozumieć się z takimi grubymi rybami? – podjąłem wątek.

– Dobre pytanie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że poszedł z tym do Kociarzy.

– I to oni dali mu forszę?

– Niemożliwe. Prędzej zapłacił im za możliwość skontaktowania się z tymi dwoma. Kociarze nie bawią się w werbowanie płotek.

Skinałem głową.

– W porządku. Mam zatem tylko jedno pytanie. Co z tym robimy?

– Nic. Kryjemy cię i udajemy, że nas to nie rusza.

– Myślałem, że masz jakiś plan.

– Tutaj nie ma przepisów na sukces. Chcesz żyć, nie wychylaj się. Jeśli Berow i Karlen wpadną na twój trop, to możesz od razu wkładać trumienny garnitur.

– Ile mam się chować?

– Póki sprawy nie przycichną. Porozmawiam z Grzywką. Może dogadam się z Kociarzami. Jeśli zapłacimy odpowiednie sumy tu i tam, może wycofają tych dwóch.

– A jeśli nie?

– To wyjedziesz z miasta i nigdy więcej się tu nie pokażesz.

Zadziwiająca troska ze strony Bory. Tak naprawdę nigdy nie sądziłem, by był skłonny narazić dla mnie cokolwiek – pieniądze, dobre imię, czy nawet interesy z Kociarzami. Nienawidził ich bardziej niż kogokolwiek, ale wciąż jeszcze były między nimi więzi, których przerwanie zaszkodziłoby obu stronom.

Dlaczego właściwie Bora był żywo zainteresowany moim przetrwaniem? Każdy z jego poruczników mógłby zastąpić mnie w dowolnej chwili. Nie byłem w strukturze organizacji kimś, kogo nie można by podmienić. Fakt, odwaląłem dobrą robotę. Ale znalezienie właściwego człowieka na to stanowisko to żaden problem. Więc dlaczego Bora tak się przejął? Czemu chciał marnować czas i pieniądze, żeby mi pomóc?

Musiałem się tego dowiedzieć. Dopytywanie się wprost mogłoby tylko przysporzyć mi kłopotów, ale były jeszcze inne sposoby.

– Teraz moi ludzie zabiorą cię do twojego mieszkania – powiedział Bora. – Za parę minut wyślę za wami większą obstawę.

– W porządku.

– Kiedy dotrzecie na miejsce, nie wychylaj nosa. Nie kombinuj. Zamiast chodzić na zakupy, wysyłaj jednego z moich ludzi. Będą cię słu-chać i będą grzeczni jak cholera, więc się nie krępuj, jasne?

– Jasne.

Wyszedłem z gabinetu. Dwaj mrukliwi faceci odprowadzili mnie do samochodu. Znowu usiadłem na tylnym siedzeniu i zacząłem gapić się w okno.

Powietrze pachniało miastem. W oddali widać było migoczące świa-tła, czerwone neony, niebieski odbłask ekranów reklamowych, płonące oczy niezliczonych budowli. Nie czułem się zbyt dobrze, a dobiegające mnie wycie klaksonów, ryk silników i drażniąca woń spalin wcale nie poprawiały samopoczucia.

Przetoczyliśmy się przez groźne dzielnice i dotarliśmy do małej, brudnej kamienicy, gdzie mieszkałem. Widziałem zapalone lampki w oknach naokoło mojego mieszkania. Jeden z goryli poklepał mnie w ramię i zaczął wypytywać. Gdy już dowiedział się, ilu mam sąsiadów, czy jestem uzbrojony i czy ktoś ze mną mieszka, bez słowa ruszył alejką w stronę kamienicy. Przesadził płot, nim otworzyłem furtkę, a potem cicho zbli-żył się do ściany. Rozejrzał się, dał ręką znak drugiemu ochroniarzowi, po czym pozwolili mi przejść przez podwórze. Weszliśmy do kamienicy, ale na piętrze kazali mi czekać, dopóki nie przeszukają mieszkania. Było to irytujące, ale dało mi do myślenia.

Gdy już wyszli i obstawili wejście oraz drzwi frontowe kamienicy, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Długo nie mogłem spać, więc oglą-dałem telewizję, popalałem papierosy i rozmyślałem. Leciąły akurat po-wtórki jakiegoś serialu, gdy zdusiłem niedopałek na brudnej podłodze i pomyślałem, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Zadzwoiłem do Matiasa, dobrego kumpla, który nie dalej jak rok temu przedstawił mnie Borze:

– Siemasz, bracie.

– Kopę lat! – Tubalny głos eksplodował mi w uchu. – Myślałem ostat-nio, że wypadaloby wychylić razem parę flaszek, co?

– Wybacz, trzymają mnie sprawy.

– Sprawy?

– Berow i Karlen. Kojarzysz?

Zamilkł jak zakłęty. Zastanawiałem się, czy wszyscy w tym mieście tak reagują na sam dźwięk tych dwóch nazwisk. Jeśli tak – to chyba

faktycznie powinienem się bać.

– Osz kurwa – parsknął Matias. – Zacząłeś z grubej rury. Co do nich masz?

– Nic. Ciekawią mnie.

– Może mi jeszcze powiesz, że zbierasz informacje do szkolnej gazetki, co?

– Moje sprawy to moje sprawy. Może wyjaśnię ci coś, kiedy mi o nich opowiesz.

– No nie wiem.

– Nie daj się prosić.

Namyślił się, rzucił jeszcze coś o wywoływaniu wilka z lasu i zaczął nawijać. Mówiąc w telegraficznym skrócie, przedstawił mi dwie historie.

Pierwsza rozegrała się na przyjęciu u Kociarzy. Banda ludzi bawiła się doskonale przy basenie, łał się szampan, a kolejni faceci znikali w ogrodzie w towarzystwie panien w bikini. Potem nagle wpadło dwóch gości w zakrwawionych koszulach. Wymordowali po cichu bzykających się po krzakach maruderów, a potem uderzyli w tłum. Jeden pruł serią z wytłumionego uzi, zdejmując uzbrojonych ochroniarzy, a drugi wskoczył do basenu z brzytwą w rękę i zaszlachtował pływających. Nie oszczędził nawet dziwek. Na koniec wpadli do salonu, rozwalili resztę obstawy i zabrali się za solenizanta. Znalezione go potem z obciętymi rękami i nogami – kikuty miał opalone – i w trójkątnej, kolorowej czapeczce na głowie. Wyrwali mu też język metalowymi szczypcami. W odbył wepchnęli kawałek plastiku z zapalnikiem czasowym. Kiedy w końcu nadeszła odsiecz, półżywy gość rzucał się jak opętany, ale z pełnymi krwi ustami nie zdołał im wytłumaczyć w czym problem. Ładunek umieszczony w dupie rozniósł na strzępy jego i dwóch Kociarzy. Ci, którzy przeżyli, długo nie nadawali się do kolejnej akcji. Jeśli Matias nie kłamał, tej nocy zginęło nie mniej niż osiemnaście osób.

Druga historia była jeszcze ciekawsza. Pewien wysoko postawiony gość, ponoć jeden z poruczników Garbatego, obudził się którejś nocy na wieży kościoła we wschodniej części miasta. Nie miał na sobie ubrania i wisiał przywiązany za nogi do serca dzwonu. Tuż obok stało dwóch panów o smutnych oczach, którzy zapewne powiedzieli mu parę nie miłych słów. Potem zaczęli go bić. Jeden stał po jednej, drugi po drugiej stronie dzwonnicy. Pchali go do siebie nawzajem i tłukli go bez opamiętania, aż nie ostał mu się ani jeden cały ząb i ani jedno niezłamane żebro. Potem zaczęli go chłostać nożami. Celowali w podbrzusze, uda i geni-

talia. Delikwent cały czas bujał się na sercu dzwonu, dostając kolejne ciosy. W końcu rozpruli mu brzuch. Trzewia wylały się na zewnątrz i zawisły, sięgając do podbródka. Facet dławił się wodospadem własnej krwi. Pchnęli go tak mocno, że serce dzwonu uderzyło o krawędź i spowodowało głęboki, morderczy dźwięk. Bicie sprawiło, że nieszczęśnikowi eksplodowały bębenki. Na jego szczęście, chwilę potem sprawcy poderżnęli mu gardło i uciekli z miejsca zbrodni, zanim zawyły syreny zaalarmowanej przez mieszkańców policji.

To były tylko dwie historie. Matias odmówił opowiedzenia kolejnej.

– Jak chcesz więcej, przyjdź do mnie z jakimś dobrym towarem – do-
dał. – Na trzeźwo tylko wpadnę w doła, z którego nie wyciągnie mnie
żaden psycholog.

– Powiedz w takim razie, jak oni wyglądają.

– Nie wiadomo. Widują się z nimi tylko najważniejsi ludzie podzie-
mia. Pozostali zwykle widzą ich chwilę przed śmiercią.

Pożegnałem go i położyłem się spać. To nie był lekki sen. Właściwie
trudno go w ogóle nazwać snem.

Na dobre rozbudziłem się koło szóstej nad ranem. Wstałem i zaparzy-
łem sobie czarną kawę. Pomyślałem, że zapytam goryla pod drzwiami,
czy nie chce napić się ze mną. Byłoby mi rażniej w czyimś towarzystwie.
Nawet półmózga ze spluwą przy boku.

Idąc w stronę drzwi na korytarz, mimowolnie przyłapałem się na roz-
myślanii, co by było, gdyby ochroniarz był już martwy. Otworzyłem.
Cyngiel od Bory wciąż stał na zewnątrz. Bez wątpienia znakomicie wy-
konywał swoją robotę. Zagadnałem, czy nie chce kawy, ale odmówił.

Przez kilka godzin zajmowałem się tylko rozmyślaniami i oglądaniem
programów telewizyjnych. Około dziesiątej zadzwoniłem do biura Bory,
ale nikt nie podniósł słuchawki. Wciąż niezniechęcony, zadzwoniłem po
upływie piętnastu minut. Odebrał.

– Czego chcesz?

– Chciałem się dowiedzieć, czy są jakieś postępy.

– Mój drogi, przez jedną noc to mogę co najwyżej pogłaskać cię po gło-
wie. Berow i Karlen raczej nie przyjdą do mnie z pytaniem, co powinni
zrobić. Więc siedź na dupie i czekaj, aż będę wiedział coś więcej.

– Jaką mam ochronę?

– Najlepszą. Dwóch ludzi już poznałeś. Dwóch jest na dachach,
dwóch w furgonie.

Wyrzałem za okno. Na dachach niczego nie zobaczyłem, ale furgon faktycznie stał po drugiej stronie ulicy. Aż za bardzo rzucał się w oczy.

– W porządku – mruknąłem, nieusatisfakcjonowany. Niestety nie wiedziałem nawet, o co jeszcze warto zapytać.

– W takim razie idź spać, albo coś.

Bora rozłączył się.

Jedno muszę przyznać. Nastraszył mnie. Nawet nie tyle on sam, co raczej Matias i jego opowieści. Jednak w świetle tego, co usłyszałem, milczące spojrzenie Bory wciąż powracało do mojej pamięci. Przestraszył się. Człowiek odpowiedzialny za połowę zła w tym mieście. A skoro on się bał, to ja jeszcze bardziej.

Siedzenie na dupie ma to do siebie, że masz wtedy mnóstwo czasu na rozgrzebywanie trapiących cię problemów. Dlatego też już po dwóch godzinach snucia się po mieszkaniu i szukania dla siebie sensownego zajęcia, Berow i Karlen zabijali mnie od środka. Zadręczałem się kolejnymi wizjami i pomysłami. Mogli przecież dostać się od tyłu, po cichu zastrzelić moją ochronę i wpaść do środka. Co by mi wtedy zrobili?

Zabili na miejscu?

Wypruliby flaki i znęcali się?

Postanowiłem pogrzebać w sieci. Z początku myślałem, że pooglądam pornosy i zdjęcia kotów, ale skończyło się na zadręczaniu się artykułami o masakrze u Kociarzy i morderstwie na kościelnej wieży. Dziennikarze nic nie wiedzieli. Żadnych nazwisk nie łączono z tymi dwiema sprawami. Wspomniano o powiązaniach ofiar z mafią, ale to wszystko. Okrucieństwa, które miały miejsce, zostały tylko łagodnie nakreślone. Zapewne większość makabrycznych szczegółów zataiła policja.

Ciekawe czy domyślali się, że to robota tych samych ludzi?

Szukałem innych powiązanych zbrodni, ale trudno było stwierdzić, za co mogli być odpowiedzialni Berow i Karlen. Samo patrzenie na nagłówki przyprawiało mnie o mdłości.

Z obrzydzeniem patrzyłem przez okno na miasto. To miejsce wyhodowało na swojej piersi takie bestie jak dwóch morderców, którzy deptali mi po piętach. Nagle zdałem sobie sprawę, że postrzeganie dobra i zła przychodzi mi teraz z łatwością – ja byłem dobry, oni źli. Kiedy jesteś ofiarą, jesteś dobry. Kiedy jesteś myśliwym, nie musisz się zastanawiać nad takimi bzdurami.

Po zachodzie słońca łąziłem bez celu po mieszkaniu, co jakiś czas zatrzymując się przy oknie i z odrazą podziwiając panoramę. W końcu ktoś

z ludzi czekających w samochodzie nie wytrzymał, zapukał do drzwi i upomniał mnie:

– Dla własnego bezpieczeństwa, niech pan nie podchodzi tak często do tego cholernego okna. Lepiej nie kusić losu, jasne?

Odpowiedziałem, że jasne.

Jak nietrudno się domyślić, tej nocy też nie spałem dobrze. W końcu mnie zmogło, ale dopiero nad ranem, kiedy słońce znów wyglądało zza budynków, zaś miasto powoli budziło się do swej powtarzalnej, obrzydliwej parodii życia. Znów śniły mi się koszmary, ale po przebudzeniu niewiele z nich pamiętałem.

Na moją prośbę ktoś przyniósł zakupy, także mogłem zrobić sobie późny obiad, składający się z chińskich zupek i niedosmażonego schabowego. Syty, ale wciąż niespokojny, obejrzałem parę odcinków obezwładniająco dumnych seriali. Po skończeniu maratonu musiałem się położyć i choć sen nie nadchodził, to przynajmniej mogłem nadal dręczyć się złowrogimi przypuszczeniami w wygodnej pozycji.

Dzień dobiegł końca.

Następnego ranka nie wytrzymałem i mimo protestów goryli Bory oświadczyłem, że wychodzę na zewnątrz i idę pogadać ze starym znajomym. Parę minut kłótni i w końcu zgodzili się, że wsadzą mnie do „bezpiecznego samochodu” i zawiozą gdzie zechcę.

Jechałem do Piotrka. Wydawał się rozsądnym wyborem – był jednym z ludzi Bory, a przy tym moim dobrym kumplem. W razie czego nie zdradzi mnie przed szefem. Ufałem mu bardziej niż Matiasowi. I wolałem spotkać go osobiście – myślałem długo, może zbyt długo, i przyszło mi do głowy, że mój telefon może być na podsłuchu.

Gdybym był Borą, z pewnością chciałbym wszystko wiedzieć.

Jazda przez miasto była krótka, ale stanowiła ulgę, bo wreszcie wyrwałem się z własnych czterech ścian. Przyglądałem się z szacunkiem złowrogim zaułkom, brudnym murom i wstęgom stojących w korkach samochodów. Uświadomiłem sobie, jak bardzo się boję. Sama śmierć nie jest tak straszna, jak poprzedzające ją tortury i niewyobrażalny ból. Lękałem się, że nie pozwolą mi spokojnie umrzeć.

Oni. Moja nemezis w dwóch osobach.

Jazda samochodem przez cuchnące, hałaśliwe miasto zaowocowała jeszcze jedną rzeczą – po raz pierwszy pomyślałem o samobójstwie. Rozważałem, czy strzelenie sobie w głowę nie byłoby najlepszym rozwiązaniem problemu.

Kiedy Piotrek otworzył mi drzwi, nie wyglądał na szczęśliwego.

- Bałem się, że przyjdiesz – powiedział.
- Co wiesz o Berowie i Karlenie?
- Nie jestem tak wysoko, żeby coś o nich wiedzieć.
- Ale coś na pewno słyszałeś.
- Tak. Że polują na ciebie.
- Skąd to wiesz? Od szefa?
- Kasztan gada. Jak najęty.
- Kto wie, może faktycznie najęty. Grzywka może chcieć mnie zyczajnie zastraszyć.
- Nie sądzę. Coś musi być na rzeczy. Na górze jest prawdziwe poruszenie, nie słyszałeś? No pewnie, że nie. Przecież musisz się ukrywać.
- Nie ukrywam się. Siedzę grzecznie w domu i oglądam telewizję.
- A dookoła ciebie chodzą rewolwerowcy Bory? Wszystko jedno. Czego chcesz?
- Co wiesz o tych dwóch typach?
- Pomyślmy. Słyszałeś historię z basenem?
- Tak.
- Z dzwonnica?
- Tak.
- A z zakładami mięsnymi?
- Kurwa, na sam dźwięk się boje.
- Jeden gość trafił do paczek z mielonym mięsem. Gdyby pracownicy o poranku nie kapnęli się, że ktoś pracował w zakładzie pod ich nieobecność, resztki tego faceta mogłyby trafić pod strzechy uczciwych rodzin. Cholera wie, może nasze własne matki usmażyłyby kotlety z ludziny.
- Pierdolisz.
- Jest jeszcze opowieść o człowieku-wycinance.
- Co?
- Znaleźli takie mieszkanie w starej kamienicy, we wschodniej dzielnicy. Wynajmował je ktoś, kogo w spółdzielni widziano może raz, a i to pewnie przy złym świetle. Jeśli to był Berow albo Karlen, to panowie zapewne korzystali z lokum przez około miesiąc. Ciało, które znaleziono po tym, jak wkurwiona niepłaceniem czynszu spółdzielnia wkołała drzwi do środka, nie było takie stare. Męczyli gościa prawie miesiąc. Pewnie zaglądali do niego co dzień, dwa. Przeprowadzali na nim chore operacje. Wyjmowali mu z ciała różne organy i sprawdzali, jak

długo bez nich pożyje. Najlepsze jest to, że wcale nie był przywiązany do łóżka, na którym leżał. Obcięli mu ręce i nogi.

Podziękowałem za dalsze opowieści. To, co już wiedziałem wystarczyło żebym umierał ze strachu.

– Interesuje mnie co innego – warknąłem. – Dlaczego Bora się mną przejmuje?

– Nie wiem czego się nałykałeś, ale chyba ci zaszkodziło. Bora ma cię w dupie. Jeśli wydawało ci się choć przez chwilę, że chroni cię z troski, to się myliłeś.

– Przeszło mi to przez głowę. Ale może ty mi to lepiej wytłumaczysz?

Piotrek usiadł na kanapie, nie zachęcając mnie do zajęcia miejsca. W jego mieszkaniu było duszno i gorąco, jakby bał się wpuszczać do środka choćby powiew świeżego powietrza. Czekałem na odpowiedź spocony i zdyszany jak pies.

– Bora załatwia własne gówno – burknął w końcu Piotrek.

– Słuchaj, nie powiem mu o tym, że cokolwiek od ciebie usłyszałem – zachęcałem, gestykulując historycznie. – Jakby co, to niczego nie wiem.

– Gdybym myślał, że mnie wysypiesz, już teraz wypierdoliłbym cię za próg.

– No to o co chodzi?

– Do diabła. Bora jest szczególnie zainteresowany Berowem i Karlem dlatego, że parę lat temu ktoś wykorzystał ich przeciwko niemu.

– Dostali zlecenie na Borę...?

– Gdyby tak było, to prawdopodobnie nie żyłby albo on, albo oni. Nie, dostali namiary na jego syna.

– Bora ma syna?

– Miał.

– O kurwa.

– Dziesięć lat. Sympatyczny dzieciak, wszyscy go lubili. Szef chciał wprowadzić go do świata biznesu, uczył od małego. Zawsze trzeba było się starać, kiedy panicz był w pobliżu. Żadnej broni, alkoholu, żadnego przeklinania, bo Bora gotów wyrzucić na zbity pysk. Ale i tak wszyscy uważali, że dzieciak jest spoko.

– Co mu zrobili?

– Dorwali go w posiadłości.

– żartujesz. Na terenie Bory?

– Dokładnie. Nikt nie wie jak to zrobili. Nie zostały żadne ślady poza pokojem dzieciaka. Przez tydzień czy dwa go szukali, ale nic nie znaleźli.

Potem sam się pojawił. Na środku spokojnej uliczki na przedmieściach, zgwałcony na różne sposoby, z obrażeniami wewnętrznymi, pokancerowany tak paskudnie, że nie życzyłbyś tego najgorszemu wrogowi. Wiesz co jest najgorsze? Wciąż żył.

– Jezu.

– Zabrali go do szpitala i próbowali odratować. Nie na wiele się to zdało. Okazało się, że panowie zrobili mu chałupniczą lobotomię. W dosłownym sensie ten dzieciak dalej żyje, przebywa w domu opieki. Ale tak naprawdę wszyscy uważają go za martwego. Nie myśli, nie porusza się, tylko oddycha i sra pod siebie.

– I Bora chce dorwać Berowa i Karlena, żeby odplącić im za okaleczenie syna?

– Dokładnie.

– Do czego jestem mu potrzebny ja?

– Do niczego. Ty jesteś tylko przynętą.

Piotrek skrzywił się i wstał. Podszedł do barku, nalewając sobie wódki przeraźliwie powolnym ruchem, który niemal doprowadził mnie do szaleństwa. Miałem ochotę na niego wrzasnąć, ale stałem jak sparaliżowany i czekałem.

– Przynęta? – Nie wytrzymałem w końcu, gdy znowu siadał na kanapie.

– Tak.

– Niech to szlag.

– Pozwól, że zacytuję czyjeś porównanie. To miasto to wielkie akwarium. Odcięty od świata ekosystem, w którym pływają dziesiątki różnych gatunków. Ty jesteś płotka. Ja to śledź czy inna cholera. Nasi podwładni to pieprzony plankton. A Bora pewnie uważa się za rekina. Ale z mojego doświadczenia wynika, że na każdą grubą rybę znajdzie się większa, która połknie ją jednym kłapnięciem paszczy. Wszyscy tak skończymy, jeśli tu zostaniemy. Każdego dopadnie większa i paskudniejsza ryba, która go zeżre i wysra.

– Bora nie może się pogodzić, że ci dwaj z nim pogrywają.

– Nie może się pogodzić, że go zniszczyli. Trzy lata temu był innym człowiekiem. Chciał posłać syna do dobrej szkoły. Miał plany na przyszłość. Teraz chodzi tylko o interesy. Czeka na moment... a raczej czekał. Teraz wszystko się zmieni. Znowu.

– Będzie chciał dorwać Berowa i Karlena, a ja mam ich zwabić.

– Tak. Dookoła twojego domu jest więcej ludzi niż ci się wydaje. Teraz też prawdopodobnie śledziły cię przynajmniej dwa dodatkowe niewidoczne wozy. Bora nie szczędzi środków. Kiedy Berow i Karlen po ciebie przyjdą, dopadnie ich.

– A ja?

– Jesteś przynęta. Wiesz, jak kończy przynęta.

Skinąłem głową. Zrobiło mi się zimno i miałem wrażenie, że ogromna dłoń zaciska się wokół moich wnętrzności. Ściany pomieszczenia здаwały się na mnie napierać. Świat chciał zabrać mi życie. Nie miałem żadnych szans. Najwyraźniej przysłała moja pora.

Jednak wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wolno podszedłem do okna, zadając następane pytanie:

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Ja? Czekałbym i modlił się.

– To coś da?

– Kto wie. Może ci się poszczęści i Berow z Karlenem zginą zanim zdołają się do ciebie dostać. Wtedy Bora wyrzuci cię z organizacji, ale będziesz żywy. Albo przynajmniej możesz liczyć na szybką śmierć.

– Radosne perspektywy.

Na dole stał samochód, którym mnie przywieziono. Po drugiej stronie ulicy zauważyłem furgon. Reszta goryli była jednak na tyle dobrze zakamuflowana, że nie zdołałem niczego wymyślić. Ciekawe ilu z nich sterczało teraz pod drzwiami mieszkania i na klatce schodowej.

Odwrociłem się i podszedłem do Piotrka.

– Jest stąd inne wyjście? – zapytałem.

– Co?

– Pytam, czy jest stąd inne wyjście?

Nie odpowiedział, tylko zaczął się zastanawiać. Zobaczyłem w jego oku błysk wątpliwości. Nie pozostawił mi wyboru.

Uderzyłem go z całej siły w twarz. Przewrócił się na podłogę, wydając zduszone stęknienie. Zabułgotało mu w złamanym nosie, trysnęła krew. Poprawiłem z buta, wybijając mu zęby. Potem znowu. Zrobiłem krok do przodu i rytmicznie zacząłem wgniatać obcasem jego twarz. Bronił się jak dzikie zwierzę, ale nie mógł już krzyżeć. Jeden z kopniaków zmiażdżył mu tchawicę i odebrał oddech.

Przestałem i popatrzyłem na nieruchome ciało. Być może był martwy. Być może nie. Jeśli go zabiłem, to był pierwszy raz w moim życiu –

nigdy wcześniej nikt nie zginął z mojej ręki. Nie bezpośrednio. Miejmy nadzieję, że to ostatni trup tego dnia.

Podszedłem do drzwi frontowych. Goryl na progu bujał się z lewa na prawo i z powrotem w rytm niesłyszalnej muzyki.

Tędy nie przejdę.

Zamiast tego zacząłem rozglądać się po mieszkaniu. Najwyraźniej Piotrek wykupił dwa lokale, jeden na trzecim, a drugi na czwartym piętrze. Były połączone schodami. Wszedłem na górę i zobaczyłem znacznie przytulniejsze, nieco mniejsze wnętrza. Gdzieś tu musiały znajdować się drugie drzwi na klatkę schodową.

Ani śladu. Zapewne nikt ich nie używał, dlatego jakoś je zasłonięto... Otworzyłem szafę ścienną. Bingo. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi. Dziwne rozwiązanie, ale do diabła. Odblokowałem zamki i wyszedłem na zewnątrz. Zejście na dół nie wchodziło w rachubę. Główne wyjście roziło się od moich „ochroniarzy”. Zamiast tego ruszyłem na górę.

Z mieszkania Piotrka wychodziłem jakby zamroczony, czując silny ból w skroniach i klatce piersiowej. Na szczęście wszystko minęło, gdy wyszedłem na poddasze. Korytarzem udało mi się przejść do sąsiednich klatek. Wybrałem najbardziej oddaloną na zachód. Zbiegłem po schodach i wyszedłem na zewnątrz. Szybko skręciłem za róg. Nikt nie próbował mnie zatrzymać, więc chyba udało mi się pozostać niezauważonym.

Wyszedłem na zaśmiecony dziedziniec między blokami i pognałem na oślep przed siebie. Przeskoczywszy nad usychającym od spalin żywopłotem, znalazłem się na zastawionej samochodami uliczce. Co chwila zmieniałem kierunek. Starłem się nie rzucać w oczy, choć nie było łatwo. Cały się trzęsłem. Byłem przerażony.

Szedłem bez celu, myśląc jedynie o ucieczce. Nadzieja topniała z każdym krokiem, bo zdawałem sobie sprawę, że podjąłem lekkomyślną decyzję. Tak czy inaczej, nie miałem już odwrotu. Na przystanku wsiadłem w pierwszy lepszy autobus i dojechałem w nieznane mi wcześniej rejony miasta. Budynki były tu znacznie niższe, starsze i bardziej brudne. Tynk odpadał od ich szarych i żółtawych ścian, zaś w powietrzu wyczuwało się zapach spalin, pleśni i odchodów.

Te zaułki powinny wystarczyć jako bezpieczne schronienie. Miałem przy sobie nieco ponad pięćset złotych w gotówce, co było wystarczającą sumą, by przetrwać kilka nocy w obskurnych hotelikach, których reklamy mijałem co chwila.

W końcu wybrałem niewielki, pamiętający chyba czasy przedwojenne budynek, postawiony z czerwonej cegły i oblepiony dziwnym, piaskowym nalotem. Mógł stanowić dobrą kryjówkę na najbliższe czterdzieści osiem godzin, więc nie zamierzałem wybrzydzać. Przyjrzałem się neonowi nad wejściem. Kilka liter nie działało, a na wpół oślepiony napis migotał w upiornych konwulsjach. Przyglądałem się temu przez chwilę, po czym wszedłem do środka.

Recepcjonista, gruby typ w szarej koszuli, dał mi kluczyki do pokoju. Do końca dnia przesiadywałem na zapadającym się, skrzypiącym łóżku i łażyłem w tę i z powrotem. Nie było tu nawet telewizora, nie miałem więc niczego, na czym mógłbym skupić umysł. Pozostawało mi tylko zadreżanie się nieskończonymi możliwościami – zdumiewającymi konfiguracjami, w jakich mogłem stracić życie. Na zewnątrz lał rześisty, pachnący mrocznymi przestworzami deszcz. Czułem się samotny i zagrożony.

To właśnie musiało być ich terytorium. Wschodnia część miasta.

Położyłem się spać. Noc minęła mi błyskawicznie, spałem jak zabity. To była duża ulga po tylu dniach koszmarne stresu. Po przebudzeniu sprawdziłem dokładnie cały pokój, przejrzałem wszystkie moje rzeczy i dokładnie zbadałem każdy kąt. W końcu zszedłem na dół i wymeldowałem się. Potem przeszedłem kilka przecznic piechotą, aż dotarłem na zapuszczony przystanek tramwajowy. Poczekalem na nim parę minut, w głębi duszy nie dowierzając, że jakkolwiek pojazd szynowy może tędy jeździć. W końcu jednak doczekałem się i dojechałem do nieco jaśniejszego, bardziej żywego osiedla.

Dalej szedłem na piechotę, tak długo, dopóki nie dotarłem do kolejnej małej rudery, gdzie mieścił się podrzędny hotel. Najpierw trzeba było przejść przez mieszczący się na parterze sklep z akcesoriami dla dorosłych. Potem różowe i purpurowe ściany stawały się żółte, a przed oczami wyrastała zrujnowana recepcja.

Stojący przede mną facet mógłby być bratem bliźniakiem recepcjonisty z mojego poprzedniego lokum. Zapłaciłem mu należną sumę i udałem się wąskim, przywodzącym na myśl szpital korytarzem, aż na jego szarym końcu odnalazłem właściwy pokój.

* * *

Myślałem, że jestem bezpieczny, że nic nie może mi grozić w tej zapadłej dziurze na krańcu świata.

Obudziłem się w nocy, wyrwany z paskudnego koszmaru. Lepki i tłusty pot pokrywał moje czoło, dłonie miałem zaciśnięte na prześcieradle. Przez chwilę leżałem z zamkniętymi oczami, przypominając sobie, gdzie właściwie się znajdowałem i dlaczego. Wspomnienia były bolesne. Zamrugałem oczami.

Uświadomiłem sobie, że nie jestem sam.

Twarde łóżko było zapadnięte. Ktoś na nim siedział, tuż obok mnie.

Chciałem zerwać się gwałtownie, ale zobaczyłem tylko mroczną sylwetkę i otrzymałem przeszywający cios w szczękę. Padłem z powrotem na plecy. Byłem ogłuszony i oślepiony, do oczu spływały mi łzy. Zagryzłem język do krwi.

Zacząłem się trząść. Obcy nachylił się tuż nade mną. Mógłbym przysiąc, że zobaczyłem jego nienaturalnie szeroki uśmiech i dziobatą, odpychającą twarz.

– Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje – odezwał się cichym, miękkim głosem. – Gówno prawda, nie?

Chciałem coś powiedzieć, ale cios prosto w usta pozbawił mnie tchu. O mało nie zwymiotowałem.

– Spójrz na niego. – Drugi głos dobiegał z kąta pokoju. – Maże się jak mała dziewczynka.

– Pech. Nie lubimy małych dziewczynek.

– Prawda. Wolimy chłopców.

Miałem ochotę wrzasnąć histerycznie. Nie dość, że byli psychopatycznymi mordercami, to jeszcze grozili mi gwałtem. To tak przerażające, że prawie zabawne. Wydałem z siebie piskliwy dźwięk, który nie przypominał ani płaczu, ani histerycznego śmiechu. Facet, który siedział obok mnie, zdusił go kolejnym ciosem.

Nie związali mnie. Nie mogłem się ruszyć, sparaliżowany strachem. Wydawali się tego świadomi, bo nawet nie zadali sobie trudu, żeby mnie unieruchomić.

– Mój kolega bywa trochę onieśmielający – powiedział człowiek stojący w kącie – ale nie daj się zwieść pozorom, to miły facet.

Czułem jak krew zapieniła mi się na górnej wardze, lecz nie miałem odwagi splunąć. Oczy miałem pełne łez i ściekającego potu.

– Jestem Berow – przedstawił się obcy, który siedział obok mnie. – Być może już o mnie słyszałeś? a skoro tak, to pewnie pan Karlen też jest ci znany.

Z kąta dobiegł mnie dziwny dźwięk, jakby powitalne mruknięcie.

– Do rzeczy – zdecydował Berow. – Przyszliśmy tutaj, bo dostaliśmy na ciebie zlecenie. To nic osobistego. Ale nie jesteśmy zimnymi draniami, dlatego lubimy przed śmiercią dobrze zapoznać się z ofiarą. Będziesz współpracował?

Karlen wynurzył się z cienia ruchem tak błyskawicznym, że zauważyłem go dopiero, gdy przycisnął mi ręce do oparcia łóżka i przytrzymał z całych sił, prawie wyłamując nadgarstki. Wierzgnałem. Berow wbił mi przednie zęby do wnętrza ust. Poczułem intensywny smak krwi. Łzy przesłoniły mi świat.

– Będzie współpracował – burknął Karlen. – Skończ ten wywiad i bierzmy się do rzeczy, dobra?

– Kurwa, chciałem być dżentelmenem.

– To nie bankiet.

Karlen nachylił się, złapał mnie za gardło i nacisnął jabłko Adama tak mocno, że natychmiast zacząłem się dławić. Jednocześnie wbił kciuk w moje lewe oko, powodując falę promieniującego bólu. Szok był tak silny, że nie mogłem myśleć. Krztusiłem się i skrzeczałem jak zarzynane zwierzę.

– Niech ci będzie.

W tej samej chwili Berow wykręcił mi stopę. Prawie zemdlałem. Niestety, nie poszło tak łatwo.

– Masz narzędzia? – usłyszałem nad głową.

Berow zaśmiał się, jakby jego kolega opowiedział dobry dowcip, po czym jeszcze mocniej wykręcił mi nogę. Zacharczałem i wyplułem mimowolnie krwawą ślinę, ale nie krzyknąłem. Ktoś zapalił lampkę nocną. W jej martwym blasku zauważyłem w dłoni Berowa skalpel. Mały, błyszczący i zapewne piekielnie ostry.

– Zobaczmy, co powiesz na to. Lepiej zaciśnij zęby, chłopcze.

Po tych słowach mocniej wykręcił mi stopę, po czym złapał duży palec. Wiedziałem, co się za chwilę stanie i to już było za dużo, naprawdę za dużo, więc otworzyłem usta i zacząłem krzyczeć. Karlen wbił mi łokieć w szczękę, a potem uderzył mnie zaciśniętą pięścią w oko, jednak nie zdołał stłumić wrzasku.

Cierpienie było potworne. Zamknąłem oczy i starałem się wyłączyć. Nie udało się. Myślałem, że oszaleję. Po chwili, dla mnie rozciągającej się na całą wieczność, Karlen podniósł mi głowę i zmusił, bym spojrzał w dół, na swoją nogę. Berow trzymał moją stopę w żelaznym uścisku, pokazując mi zakrwawiony kikut, który pozostał po dużym palcu. To stamtąd promieniował ów straszliwy ból, przechodzący przez całe moje ciało. Prześcieradło z białego stało się ciemnoczerwone.

– I jak było?

Nie czekali na odpowiedź.

Berow złapał mnie za drugą stopę. Robiłem wszystko by się wyrwać, ale nie wydać przy tym żadnego dźwięku. Ból oślepił mnie ponownie i nie mogłem się pohamować. Krew buchnęła w powietrze. Tym razem nie skończyło się na jednym palcu. Zimne ręce z chirurgiczną precyzją złapały kolejny i powtórzyły operację.

Odcięcie wszystkich dziesięciu trwało zapewne trochę ponad kwadrans. Dla mnie była to cała wieczność. Ślina płynęła mi z ust, dławiłem się własnymi łzami i flegmą. Myślałem, że jestem na krawędzi. Że wkrótce zemdleję albo umrę. Byłem jednak w błędzie.

Berow i Karlen znudzili się grą wstępną i przeszli do rzeczy. Najpierw zaczęli przypalać mi stopy przy pomocy zapalniczki. Chyba opalali kikuty obciętych palców. Ale moje krzyki przestały ich bawić po kilku minutach, więc wymyślili coś zupełnie nowego.

Bili otwartymi dłońmi w uszy, wykręcali stawy, łamali palce u rąk i naciągali poszczególne mięśnie tak mocno, że pękały z hukiem. Berow roztrzaskał mi oba kolana jakimś ciężkim narzędziem, którego nie zdołałem nawet zobaczyć.

Pod koniec byłem tak bardzo ośpiał, że nawet nie zauważyłem, kiedy skalpel otworzył mi brzuch. W pewnym momencie Karlen po prostu podniósł mi głowę i zmusił do patrzenia na własne wnętrze. Rana wyglądała jak uszminowane usta. Krew wyciekała z jej brzegów, spływała na prześcieradło. To, co miałem w środku, przypominało zwoje grubych kabli.

Berow zanurzył rękę w moim brzuchu. Nowy rodzaj bólu wybudził mnie z uśpienia. Dochodził ze środka, obejmował każdą część ciała, każde zakończenie nerwowe. Nie miałem pojęcia, co ten chory skurwysyn mi robi.

Dopóki mi tego nie wyjaśnił.

– Myślę, że to będzie dobre – rzucił na poły do mnie, na poły do Karlena. – Udusimy cię twoim własnym jelitem. Co ty na to? a pan, panie Karlen?

– Chcę to zobaczyć.

Oczy zaszyły mi mgłą. Nie myślałem. Czułem coraz mniej. Wiedziałem, że zbliża się wyzwalająca ciemność.

I wtedy drzwi wpadły do środka pomieszczenia i rozległ się huk wystrzałów.

Straciłem przytomność.

* * *

Ciąg dalszy znam tylko z relacji innych osób. Relacji nieopartej dowodami, raczej wywnioskowanej ze śladów znalezionych na miejscu zbrodni.

Do pokoju wpadło dwóch goryli Bory. Było ciemno, więc pierwsze parę strzałów posłali w ściany. To dało Karlenowi czas, by przestrzelić jednemu z nich krtań. Kiedy ranny zatoczył się za próg, znacząc ściany krwią, jego kolega zginął ze skalpelem w oku. Berow wyrwał mu z ręki pistolet, wypadł na korytarz i w biegu zastrzelił trzeciego ochroniarza, rozbryzgując jego mózg na wszystkie strony.

Potem obaj wyszli frontowymi drzwiami. Na zewnątrz czekało jeszcze dwóch uzbrojonych mężczyzn. Zostali postrzeleni, ale udało im się przeżyć. Dwaj mordercy musieli bardzo się spieszyć.

W tym pośpiechu zapomnieli również o mnie.

A może wcale nie. Nieprzytomny, ubabrany krwią od stóp do głów, z rozprutym brzuchem i jelitami na wierzchu – z pewnością nie wyglądałem jak ktoś, kto wyjdzie z tego pomieszczenia żywy. Nic dziwnego, że się pomylili.

Przeżyłem dzięki zamieszaniu, jakie wywołała strzelanina. Pospiesznie wezwana karetka pogotowia zdołała dowieźć mnie na czas na salę operacyjną. Grupa nieznanymi mi ludźmi uratowała moje życie. Chciałbym jakoś okazać im swoją wdzięczność, ale chyba mnie na to nie stać. Jestem zbyt słaby.

Powinienem być martwy, a jednak cudem ocalałem. Mylicie się, jeśli sądzicie, że to mnie ucieszyło. Ocknąwszy się w szpitalu poczułem nie ulgę, lecz przerażenie na samą myśl, że to jeszcze nie koniec, że Berow

i Karlen wróca po mnie i cały ten horror zaczyna się od początku. Wolałbym wtedy umrzeć niż żyć w ciągłym strachu.

Pobyty w szpitalu był dla mnie najcięższą karą, jaką mogłem sobie wyobrazić. Całe dni leżałem na plecach, bez ruchu, zadręczając się myślami. Budziłem się w środku nocy z krzykiem, pewien, że Berow właśnie zanurza błyszczące ostrze skalpela w moim brzuchu i odsłania parujące sploty wnętrza.

Pielęgniarki zaczęły mnie nienawidzić, bo ciągle pytałem je, czy ktoś nie chciał się ze mną zobaczyć kiedy spałem. Żywiłem śmiertelne przekonanie, że Berow i Karlen wciąż chcą mnie dopaść. Przesłano do mnie psychiatrę, który miał mi pomóc ze skutkami szoku pourazowego. Gość wydał mi się nieprzyjemnym typem, może z powodu jego lśniącej łysiny i nieskazitelnie białych koszul, którymi tak bardzo przypominał mi moich oprawców.

Wkrótce po przebudzeniu dowiedziałem się, że jestem oskarżony o morderstwo. Zrobiło mi się dziwnie smutno na myśl, że Piotrek naprawdę nie żyje. Z perspektywy jego ofiara nie wydaje mi się wiele warta.

A zatem trafiłem do więzienia jako spowity w gips i bandaże karykatura ludzkiej istoty, a tymczasem Bora, Grzywka, Kasztan i moich dwóch prześladowców wciąż pozostawali gdzieś na wolności. Wśród murów i krat w końcu zacząłem czuć się bezpiecznie. Coraz rzadziej miewałem koszmarnie sny i myślę, że powoli wracałem do zdrowia.

Odwiedzali mnie dziennikarze. Uwielbiałem wciąż opowiadać swą historię, wciąż obracać w ustach nazwiska Berow i Karlen. To był mój miecz zemsty – prasa. Nagłośniłem wszystkie aspekty sprawy. Nie zamierzałem odpuścić. Byłem zadowolony, że mogę wszystko opowiedzieć, wyrzucić to z siebie.

Kiedy nieznajomi wchodzi do mojej celi, krzywią się. Spuszczają wzrok. Jestem przykuty do wózka, przynajmniej na jakiś czas, dopóki kości nóg nie zrosną się poprawnie. Ciekawe, jak będę chodził bez palców u nóg – czy zdołam zachować równowagę? Najgorszy chyba jest wyraz mojej twarzy, a raczej jego brak. Mam oczy jak weteran kilku wojen. Stukilometrowe spojrzenie, które przenika wszystko.

Oczywiście dziennikarze wchodzący do mojej celi nie mogą widzieć innych szczegółów. Nie wiedzą na przykład, że na moim brzuchu widnieje zblizniająca się rana od noża. Z boku mojego tułowia znajduje się śliski, odrażający otwór, do którego przymocowany jest worek na feka-

lia. Berow zdążył uszkodzić moje wnętrzności na tyle, że lekarze skrócili jelito i zrobili stomię.

Jednak największe straty poniosło nie ciało, a umysł. Wciąż się boję. I już zawsze będę.

Berow i Karlen nie powinni więcej spędzać mi snu z powiek. Wkrótce po moim aresztowaniu i osadzeniu w więziennej celi, znaleziono ich dwóch na południu miasta, w sali opuszczonego magazynu, gdzie zapewne mieściła się ich kryjówka. Nie zostali schwytani. Kiedy ich odnaleziono, obaj byli martwi.

Z więzienia udało mi się za pomocą Internetu nawiązać kontakt z Borą. On twierdzi, że nie stoi za śmiercią dwóch morderców. Być może boi się przyznać, bo mógłbym go zakablować. Ja mu wierzę. Ale to nawet gorzej, jeśli nie on ich wykończył.

Wykonałem sporo telefonów. Wszyscy potwierdzali jedną wersję. Berow i Karlen zostali zaskoczeni, przywiązani do krzeseł i torturowani. Nie wiem, co dokładnie im zrobiono. Chyba nie chcę wiedzieć. Podobno skonali z wyrazem nieludzkiego cierpienia na twarzach.

Wciąż źle śpię po nocach, a dawne koszmary powróciły ze zdwojoną siłą. Ciągłe myślę o obliczach dwóch morderców, wykrzywionych w grymasie przerażenia. Trudno w to uwierzyć. Myśl, że w mieście krąży człowiek zdolny wywołać podobne emocje w takich potworach jak Berow i Karlen – ta myśl sprawia, że chcę umrzeć.

Przypominam sobie porównanie, którego użył Piotrek. Świat jest jak akwarium – pływają w nim zarówno małe płotki, duże ryby, jak i ogromne, drapieżne bestie. Ale zawsze, dosłownie zawsze, znajdzie się ryba większa i groźniejsza od tych, które znajdują się na szczycie łańcucha pokarmowego.

Czy ja się starzeję, czy świat nagle stał się cholernie złym miejscem? Czy zadreczam się bez powodu? Czy to naprawdę znaczy, że Berow i Karlen nie byli najgorszą rzeczą, jaką spłodziło to miasto?

A jeśli nie... Jeśli człowiek odpowiedzialny za ich śmierć zdominuje akwarium... Chryste, co się z nami stanie?

Marcin Rojek

DRŻENIE

Zaczyna się od drżenia.

Mózg odbija mi się od wewnętrznych ścian czaszki. Rzuca się jak zamknięta w słoiku pszczoła. Nie czuję bólu, tylko niepokój. Świat dookoła nie mieści się już w ramach. Wszystko co widzę traci kształt, rozmywa się niczym fatamorgana. Przez kilka chwil planeta pokazuje mi swoje prawdziwe oblicze. Niczym nie skryty wizerunek, któremu nie chcę się przyglądać. Boję się. Jestem śmiertelnie przerażony. Wiem, że tam coś jest. To patrzy na mnie. Uśmiecha się. Szczerzy żółte zębiska, czekając tylko aż spojrzę mu w oczy. Nie mam pojęcia co się wtedy stanie. Nie mam zamiaru tego sprawdzać. Czekam. Może przestanie. Do tej pory zawsze tak się działo. Kilka długich minut, wypełnionych ciągłym drżeniem i strachem. Muszę z całych sił zaciskać powieki. Chcę zasłonić oczy dłońmi, ale nie jestem w stanie. Kiedy o tym pomyślę, ciało przestaje mnie słuchać. Rzuca mną na wszystkie strony, jakbym miał atak padaczki. Stawy wyginają się w nieprawidłową stronę. Straciłem szklanke ze stołu. Zimna herbata rozlała się po moich spodniach. Dobrze, przynajmniej zasłoni plamę z moczu. Uderzyłem głową o blat. Prosto w odłamki szkła. Rozciąłem sobie brew. Wtedy słyszę jego śmiech. Płynie do mnie powoli, jak wystrzelona z pistoletu kula. Coś takiego zdarza się po raz pierwszy. Nie wiem co robić, nie mogę już dłużej czekać. To trwa zbyt długo. Nigdy się nie skończy. To nie może się dziać. Do tej pory powinno być już po wszystkim. Zawsze tak było. Zawsze. Ale nie teraz. Pierwsza kula dotyka mojego czoła. Trafia dokładnie w miejsce rozcięcia. Wrzeszcze, jakby ktoś na rany sypał sól. Błyskawicznie rozchodzi się po moim układzie nerwowym. Czuję ją wszędzie, w każdym najmniejszym naczynku włosowatym. Trucizna zagotowuje mi krew. Dobrze wiedziałem, że tego nie wytrzymam. Oszukiwałem się, myśląc, że będzie inaczej.

Nie dam rady.

Znow ten śmiech.

Widzę siebie. Ubranego w elegancki garnitur, gładko ogolonego, ściśniętego pod szyją krawatem w zielone kropki. Trzymam coś w dłoniach. Nie wiem co to jest, nie jestem w stanie tego dostrzec. Mrużę nieistniejące oczy, przykładam nadgarstki do czoła, wyteżam wzrok. Widzę wyraźniej. Całość nabiera ostatecznych kolorów i kształtów. Tak, lepiej już nie będzie. Jedno mrugnięcie.

Stoję w kałuży krwi. W ręku trzymam papierową torbę, przez którą powoli przesącza się posoka. Uśmiecham się.

Znow jestem w kuchni.

Drzę.

Wyciągam się jak struna, nieomal słysząc trzaskające kręgi. Dookoła robi się cicho. Chyba jest po wszystkim. To już koniec. Nie ma śmiechu, ani ołowianych kul. Jestem tylko ja. Zmęczony i obolały. Połknęła mnie i wypluła każda z trzech głów Cerbera. Czuję się jak wrak. Mam ochotę wpaść pod stół i nigdy spod niego nie wychodzić. Jest dobrze, milion razy lepiej niż przed chwilą. Dla pewności czekam jeszcze kilka minut. Liczę. Jeden, dwa, trzy. Dom wydaje się być cichy i spokojny. Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście. Żona i córki jeszcze nie wstały, zawsze budzą się później ode mnie. Dwieście jedenaście, dwieście dwanaście, dwieście trzynaście. To dobrze, lepiej, żeby nie widziały co się ze mną działo. Pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, sześćset.

Chyba jest bezpiecznie. Otwieram oczy.

Jest dobrze. Żadnych zagrożeń. Wszystko w najlepszym porządku. Chyba. Dla pewności rozglądam się dookoła. Jednak tam są. Wiedziałem, że tak będzie. Znowu miałem rację. Na samej granicy widoczności, w miejscu, które widzisz, ale nie możesz na nie spojrzeć. Jak iluzja optyczna z podręcznika do biologii. Wiszą tam. Dwa żółte punkty, drwiące sobie z grawitacji. Patrzą na mnie. Nie poruszają się. Śmieją się ze mnie. To, co kryje się za nimi, niewidzialna, destrukcyjna siła, drwi ze mnie cały czas.

Zaczyna drzeć mi dłoń. Nie, tylko nie to. Nie mam już na to siły. Proszę, tylko nie to. Nie wiem już co mam robić. Zaraz zacznę płakać.

Zawieszam się. Moja ostatnia deska ratunku. Chwytam się jednej myśli, łapię ją najmocniej jak potrafię. Zapominam o wszystkim innym. Reszta wszechświata przestaje się liczyć. Jestem tylko ja i mój pierwszy krok. Jakby to było wczoraj. Miałem wtedy trzy lata. Wiem, że trochę późno zacząłem, grunt, że się udało.

Stoję. Trzymam pręty kojca i boję się puścić. Wiem, że muszę to zrobić, ale coś mi nie pozwala. Tak bardzo chciałbym wiedzieć co to było. Dookoła stoi cała rodzina. Patrzą na mnie z nadzieją. Raczej jej resztkami, które im zostały. Nie dziwię się. Mam przecież trzy lata, nie mówię, nie chodzę. Tak, byłem mało aktywnym dzieckiem. Dobrze to pamiętam. Ten wzrok prowadzonej na rzeź jałówki, kiedy tylko udało mi się wstać. Nerwowy chichot, gdy kolejny raz lądowałem na tyłku. Urywane przekleństwa i zakrywanie twarzy dłońmi na mój widok.

Puszczam. Zostawiam kojec za sobą. Idę. Stawiam pierwszy krok. Niezdarnie zadarta do góry prawa stopa uderza w dywan mocniej niż się spodziewałem. Tracę równowagę. Błogi wyraz zadowolenia momentalnie zmywa mi się z pyska. dzielnie brnę dalej. Choć nie stoję zbyt pewnie, podrywam drugą stopę. Ułamek sekundy wiszę w powietrzu. Druga stopa uderza w dywan. Stoję. Jest dobrze. Dalej nie próbuję iść. Pierwszy krok mam za sobą. Teraz mogę swobodnie upaść. Ciężar własnego szczęścia pociągnął mnie w dół. Runąłem wprost przed siebie, tak jak stałem. żadnego ubezpieczenia się rękoma, podpierania kolanami.

Na podłodze leżały klocki. Kilka minut wcześniej zbudowałem z nich wieżę. Całkiem wysoką jak na moje możliwości. Wiedziałem, że na coś mi się jeszcze przyda. Nie musiałem się nawet zastanawiać. Od razu wiedziałem, gdzie upadnę. Rąbnąłem w jej plastikowy czubek samym środkiem czoła. Rozryczałem się, jak na bąbla przystało. To akurat wychodziło mi bardzo dobrze.

Kochani rodzice. Nie podbiegli do mnie od razu, nie rzucili się z natchmiastową pomocą. To nie było w ich stylu. Przez zalewającą oczy krew widzę jak wymieniają między sobą zdawkowe spojrzenie. Gadka ta sama co zwykle. " Ty idź ", " Ja byłem ostatnio, teraz twoja kolej ". Wygrywa matka. Ojciec zawsze był ciepłe kluchy. Kiedyś, dawno temu, nie udało mu się przekonać szesnastoletniej dziewczyny, żeby zrobiła sobie skrobankę, potem tylko przybywało problemów. Najpierw się urodziłem, potem zacząłem rosnać. Patrząc z perspektywy na to, jakim byłem dzieckiem, jaką kobietą była moja matka, to wcale mu się nie dziwię. Też bym się powiesił.

Za nimi stoi ktoś jeszcze. Widzę go, otoczonego szkarłatną poświatą, z klockiem zamiast twarzy. Musiał się przylepić, wredny kawałek plastiku.

– Zapamiętaj to. – Słyszę przez zamknięte drzwi. - Będzie ci jeszcze kiedyś potrzebne.

Zniknął.

Podszedł do mnie ojciec.

– Nic ci nie jest mały? – spytał, tym swoim trzęsącym się głosem. Miałem ochotę wrzeszczeć. Upadłem, krwawię, a w czoło mam wbity klocek. Jestem oczywiście cały i zdrowy. Zamiast całej serii dziwnych dźwięków, z moich ust wydobywają się dwa słowa. Moje pierwsze.

– Kulwa, bolało.

Znów siedzę w kuchni. Przecież nigdzie się nie ruszałem. Z duszą na ramieniu otwieram oczy. Wszystko jest w porządku. Nie dzieje się zupełnie nic. Dziś się udało. Jak będzie jutro?

Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Staram się o tym nie myśleć.

Przebieram się, zjadam zimne tosty, popijam wodą. Najwyższy czas iść do pracy.

Nareszcie.

* * *

Mama zawsze mówiła mi, że ludzie mają duszę. Zamkniętą gdzieś w środku, niewidzialną. Dobrą. Pan Bóg – mówiła – trzyma je w ogromnym słoiku, większym niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Kiedy rodzi się dzidzius, wtedy Bóg odkręca wieko i wyciąga jedną, specjalnie dobraną dla niego. Są w niej zaklęte wszystkie talenty, które później w życiu będą mu dane. Jego możliwości i ograniczenia. Cała osobowość. Dokładnie w momencie brania pierwszego oddechu, Bóg wkłada mu duszę do środka. Dlatego właśnie dzieci po urodzeniu krztuszą się i płaczą. Jeżeli maluch jest cicho, to znaczy, że jego dusza jest zepsuta. W kontakcie z ciałem staje się mała i zwęglona, zatrzuwa umysł i niszczy serce. Takie dzieci – tłumaczyła dalej mama – wyrastają na złych ludzi. Kradną, oszukują i zabijają. Bóg smuci się, kiedy patrzy na nich. Płacze wtedy i raz jeszcze przegląda dusze w słoju, żeby się upewnić, że następnym razem wszystko będzie dobrze. Dusza się przyjmie, a dziecko będzie płakało głośno i wyraźnie. Ty syneczku – powtarzała zawsze – udało się Bogu bardzo dobrze. Jesteś grzeczny, miły i ładny. Wszyscy cię lubią i Bóg cieszy się, gdy na ciebie patrzy.

Domyśliłem się, że kłamała, kiedy pierwszy raz zostawiła mnie na zewnątrz. Stałem boso na śniegu. Ze łzami w oczach patrzyłem na okno jej sypialni. Siedziała tam, tuż za szybą. Nie widziałem jej twarzy, tylko ciemny, nieporuszający się kształt. Trwała w bezruchu, kiedy wołałem

jej imię. Płakałem, krzyczałem i błagałem. Nic nie przynosiło efektu. Drgnęła tylko raz, jak rzuciłem śnieżką w okno. Miękki śnieg spłynął w dół po szybie, a ona znów przestała się poruszać. Spróbowałem jeszcze raz, ale zmarznięte palce nie były już w stanie nic zrobić. Przejżdżający ulicą samochód omiótł szybę żółtym światłem i zobaczyłem, że matka porusza ustami.

Zasnąłem na wycieraczce, zwinięty w kłębek.

Było mi bardzo zimno.

Myślałem tylko o tym, żeby ktoś przyszedł i mnie uratował.

Obudziłem się rano, we własnym łóżku. Chłód w kościach zniknął. Zostało wspomnienie wczorajszego koszmaru z lekko zatartymi konturami. Mama z dołu wołała mnie na śniadanie.

Założyłem spodnie, koszulkę i poszedłem do kuchni. Na stole czekała miska płatków i jajka sadzone. Matka spojrzała na mnie jakby nie pamiętała nic z tego, co się wczoraj zdarzyło. Pocałowała mnie w czoło i nalala soku. Patrzyłem jak się krząta.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić.

* * *

Siedzę spokojnie we własnej kuchni, powoli sącząc stygnącą herbatę. Za oknem nie ma nic ciekawego, ale i tak tam patrzę, bardziej z nudów niż z jakiegokolwiek innego powodu. Pocieram dłońmi o kolana, próbując je rozgrzać. Z każdym wydechem w powietrzu unosi się obłoczek pary. Gdzieś na krawędzi świadomości odzywa się głos. Cichy, łamiący się. Nie potrafię odróżnić słów. Słyszę jedynie szum. Powoli zbierający na sile dźwięk niczego, który zaczyna mnie irytować. Najgorsze jest to, że ten głos nie istnieje. Dobrze o tym wiem, ale mimo to go słyszę.

Próbuję go zagłuszyć. Włączam radio, fałszuję kolejną piosenkę o smutnej miłości. Nic nie pomaga. Czuję jak odpuszczają kolejne bariery mojego umysłu. Zaczynam rozpoznawać dźwięki. Najpierw pojedyncze sylaby, dopiero po jakimś czasie zaczynające układać się w słowa.

– Pomóż mi, proszę.

Patrzę w lustro. Nieruchome usta, powtarzają wciąż to samo zdanie.

– Pomóż mi, proszę.

Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, trzy dni temu, byłem przerażony. Bałem się o siebie. Teraz sam już nie wiem. Chyba pogodziłem się z tym, że coś jest ze mną nie tak.

– Pomóż mi, proszę.

Głos cichnie wraz z pierwszymi krokami na schodach, kiedy żona schodzi na śniadanie.

Twarz znów należy do mnie. Poruszam szczęką. Może dzisiejszy poranek wcale nie będzie taki zły.

Słyszę za sobą szuranie miękkich kapci. Kobieta, którą kiedyś kochałem, kładzie mi dłonie na ramionach. Odkładam kubek z herbatą. Dotykam jej rąk. Choć od dawna nie ma w tym śladu prawdziwej czułości, cały czas to robimy. Małe spektakle, pozwalające nam dalej żyć pod jednym dachem. Obejmuje mnie za szyję. Czuję przy uchu jej ciepły oddech.

– Witaj kochanie – mówi. Sekundę później zaciska uchwyt. Przyciska mnie do siebie, lekko unosząc do góry. Skąd ma tyle siły?

Stała przy blacie i włączyła czajnik. Chwilę potem po całej kuchni rozszedł się dźwięk bulgoczącej wody. Zalewa kubek z kawą, dosypuje łyżeczkę cukru. Bierze go w dłoń i, odwracając się w stronę okna, miesza zawartość małą łyżeczką. Oboje patrzymy na świat za szybą. Choć nie widzę jej twarzy, to wiem, że jest smutna. Zastanawia się czy gdzieś tam nie byłoby jej lepiej. Z kimś innym albo zupełnie bez nikogo. Na pewno beze mnie. Człowieka, który kiedyś rozbudzał jej ciało i umysł, a teraz, tknięty delikatną nutą szaleństwa, mówił mało i bez sensu. Wiedziała co się ze mną dzieje, może nie ze wszystkimi szczegółami, ale czuła, że jest to coś bardzo złego. Czasem, kiedy na mnie patrzyła, z jej twarzy biła służalcza troska, szybko jednak przechodząca w zimną obojętność. Zawsze wtedy miałem ochotę zacząć się tłumaczyć. To nie ja kazałem jej rzucić studia i zająć się dziećmi, tyle razy prawie wyganiałem ją z domu, żeby miała jakieś życie poza nim, jak każdy człowiek powinien. Patrzyła tylko na mnie smutno i mówiła, że musi coś wyprać lub wyprasować.

– Muszę iść do pracy – powiedziałem, odstawiając pusty kubek. Pocałowałem ją w policzek, tak, żeby nie patrzeć jej w twarz. Wziąłem zniechęconą teczkę i płaszcz, w którym wyglądałem jak wnuk SS-mana. Wyszedłem. Pierwszy wdech świeżego powietrza jak zawsze smakował słodko.

* * *

Mama zawsze mi mówiła, że ludzie są dobrzy. Zwłaszcza w niedzielę, kiedy szliśmy do kościoła. Ona ubrana w najmodniejszą tego sezonu

garsonkę dla kobiet w jej wieku, ja w czarne spodnie i fioletowy sweter. Podobno ładnie mi w fioletowym. Szliśmy, trzymając się za dłonie, a mama opowiadała mi o dobrych ludziach. Głównie o sobie. O tym jak było jej ciężko z moim ojcem, któremu nic w życiu się nie udało. O swojej anielskiej cierpliwości, godzinach spędzonych na modlitwie i wymianie moich pieluch. Kiedy byłem mały, miałem ją za bohaterkę. Była fajniejsza niż Bambi. Teraz wysłuchiwałem tylko o innych, bezbożnych ludziach, którzy są chorzy i skończą w piekle. Wszyscy bez wyjątku. Starzy pijacy, dojrzałe kurwy, dziewczyny odsłaniające pępki i kobiety fałszujące w kościele. Nie wiedziałem co to jest kurwy, tata czasem mówił, że ktoś jest synem skurwy, ale nie wiedziałem, czy chodzi o to samo.

Czasami tylko myślałem czy zamykanie syna na noc na zewnątrz nie jest czymś niedobrym, ale nie byłem pewien. Nie mogłem spytać mamy, a wstyd mi było mówić o tym z kolegami. Bałem się, że mnie wyśmieją, jak grubego Janka, tego co przyznał się, że ogląda Gumisie. Też je oglądałem, choć nigdy o tym nie mówiłem.

Ta niedziela nie różniła się niczym od wszystkich innych, które spędzaliśmy tylko we dwójkę, od czasu śmierci taty. Po kościele pojechaliśmy na cmentarz. Musiałem stać tam, nad murowanym pomnikiem, nieważne czy świeciło słońce, czy padał deszcz. Czekałem z założonymi rękami, kiedy mama, czasami przez kilka godzin, obmacywała jakiś śmierdzący łańcuszek złożony z fioletowych kulek. Rzadko wracaliśmy do domu przed czternastą. Mama szła wtedy do kuchni, robić obiad, a ja mogłem oglądać telewizję. Potem jedliśmy w milczeniu. Siedzieliśmy po obu stronach stołu, bo u jego szczytu było miejsce taty. Dziś, tak jak każdej normalnej niedzieli, obok talerza z parującymi ziemniakami i pieczonym mięsem stało jego zdjęcie, a na krześle wisiał najlepszy garnitur, w jakim chodził za życia. Zawsze wtedy cieszyłem się, że nie ma jeszcze świąt. Nie mogłem znieść smrodu, który roznosił się od trupa taty, kiedy mama wyciągała go z lodówki w piwnicy. Ubierała go wtedy i siedział z nami przy stole, pustymi oczami patrząc jak jemy. Na początku było trudno, ale dało się przyzwyczaić do jedzenia jedną ręką, drugą zatykając nos.

Tego dnia, na szczęście, była z nami tylko jego fotografia.

Nie mogłem nic zjeść. Patrzyłem jak mama kroi kotleta i powoli żuje małe kawałki. Bałem się co zrobi, kiedy ją zapytam, ale musiałem to zrobić.

– Czy jesteś dobrym człowiekiem? – spytałem trzęsącym się głosem.

– Dlaczego pytasz o coś takiego? – Wbiła we mnie swoje kozie oczy. Wiedziałem, że nic więcej nie powiem. Zająknąłem się kilka razy, wbiłem wzrok w stół. – Idź do swojego pokoju.

Grzecznie wykonałem polecenie. Jestem przecież grzecznym chłopcem. Przez kilka godzin siedziałem na łóżku, myśląc o tym co dziś zabiorę ze sobą. Na pewno kurtkę i jakieś koce, jak co noc. Gdyby tylko udało mi się zabrać z kuchni termos, może nie było mi aż tak zimno. Ze starych desek i sznurków zrobiłem sobie szałas w krzakach. Miał nawet dach z gałęzi, ale i tak śnieg padał do środka.

Zbliżał się wieczór. Zapakowałem wszystko w plecak i położyłem go na parapecie, za oknem. Przywiązany do szelek długi sznurek zrzuciłem na podwórko. Wystarczy, że za niego pociągnę i plecak spadnie na ziemię, ze wszystkimi ciepłymi rzeczami w środku.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Znaczyło to, że czas się myć. Poszedłem do łazienki i napuściłem wody do wanny. Chlapałem w niej kilka minut, choć tak naprawdę podmyłem sobie tylko pupę, ręce i twarz. Gdybym spał na śniegu cały mokry, mógłbym się rano już nie obudzić. Wytarty i ubrany w piżamę poszedłem na dół. Mama spojrzała na mnie. Jej czarne oczy przebijały mnie na wylot.

– Chodź do mnie kochanie – powiedziała nagle. Poszedłem do niej, choć trząsałem się ze strachu. Jak zawsze przed wyjściem. Wzięła mnie na kolana i przytuliła do piersi. Czułem jak podnoszą się i opadają, kiedy oddychała. Była taka ciepła. Wpiłem się w nią z całej siły. To była moja mama. Najukochańsza pani na świecie. Przestałem być zły, już się na nią nie gniewałem. Przecież nic złego się nie stało. Ukarła mnie, bo pewnie na to zasłużyłem. Od dziś będę bardziej grzeczny i nie będę już spał na dworze. Mama wzięła moją rączkę i pocałowała mnie w palec. Łaskotało. Zacząłem się śmiać. Dawno nie było mi tak wesoło.

Wtedy odgryzła mi mały palec u lewej dłoni. Po prostu włożyła go do ust i zacisnęła zęby. Kostka pękła jak udko z kurczaka. Odkoczyłem szybko, trzymając się za dłoń. Na razie nic mnie nie bolało. Na twarzy mamy, jej piersiach i stole była moja krew. Wyplęwała jej z ust. Wyplęła palec. Wylądował na dywanie, tuż pod moimi nogami.

– Jak mogłeś pomyśleć, że nie jestem dobrym człowiekiem. Nie ma nikogo bardziej dobrego ode mnie. Powinieneś być mi wdzięczny, że jeszcze żyjesz. Możesz już iść.

Podniosłem palec z ziemi i odwróciłem się do schodów.

– Nie tam, na podwórko.

Chwilę później zamknęła za mną drzwi. Poszedłem pod swoje okno. Pociągnąłem za sznurek, plecak spadł w miękki śnieg. Ubrałem się w swoim szalasiu. Jedną ze skarpetek owinałem dłoń. Na zimnie szybko przestała lecieć mi krew. Drugą owinałem odgryziony palec. Zwinąłem się w kłębek.

Na szczęście tej nocy nie padał śnieg.

* * *

– Na pewno tego chcesz? – spytałem siedzącej naprzeciw mnie żony.

Nie odpowiada. Patrzy na mnie, a jej spojrzenie nic nie wyraża. Równie dobrze mogłaby wsadzić sobie trawę do ust i udawać krowę. Dopiero po minucie wargi jej układają się w coś na kształt słowa, ale spomiędzy nich nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Niech się lepiej szybko zdecyduje, bo przedstawienie zaraz się zacznie.

Przytakuje. Raz, potem drugi.

– Dobrze – powiedziałem. – Musisz przygotować się na to, że nie będzie to przyjemny widok. Nie bardzo wiem jak ci to opowiedzieć. Zobaczysz wszystko. Na wszelki wypadek odsuń się od stołu. Na pewno będzie mną trzęsło.

Wstaje niepewnie. Wygląda jakby to ona miała dostać drgawek. Staje w drzwiach. Przytrzymuje się futryny.

Wtedy się zaczyna.

Mały palec lewej dłoni, oparty o blat stołu, zaczyna w niego rytmicznie uderzać. Coraz szybciej i szybciej. Igła bólu przesywa mi czaszkę, kiedy mózg zaczyna swój rytualny taniec. Drgawki błyskawicznie rozchodzą się po całym ciele. Spadam z krzesła. Głowa odbija mi się od podłogi jak piłeczka do ping-ponga. Zaraz eksploduje. Czuję jak coś obcego wdzierają się do mojego umysłu. Stawiające opór ciało wykręca się na wszystkie strony i wyłamuje sobie stawy. Słyszę śmiech, który powoli przechodzi w płacz. Wiem, że ktoś jest z nami w kuchni. Podnoszę się i zastygam w bezruchu. Mały palec lewej dłoni oddziela się od ciała. Moja żona chyba krzyczy, ale nie jestem w stanie dobrze jej słyszeć. Coś obraca mnie w stronę lustra, gdzie oderwany palec moją własną krwią pisze na szkle, to co dyktują mu moje usta.

Ciśnienie powoli ze mnie schodzi. Drzę jeszcze przez kilka minut, kiedy to coś opuszcza moje ciało. Czuję jak oddala się powoli. To są najgorsze chwile z tego wszystkiego. Jak stary zardzewiały gwóźdź, który

szybko wbija się w ciało, a wychodzi z niego z trudem, pozostawiając w środku kawałki rdzy. Skupiam się na tyle, na ile mogę, żeby wrócić do wspomnienia.

Znów jestem w domu moich rodziców. Właśnie upadłem po swoim pierwszym kroku. Leżałem na dywanie, z klockiem wbitym w czoło, stojąc jednocześnie za plecami mojego ojca.

– Zapamiętaj to. – Słyszę przez zamknięte drzwi. – Będzie ci jeszcze kiedyś potrzebne.

Patrzę sam na siebie. Tym razem jest inaczej. Czas zastyga w miejscu. Starszy ja wchodzi do pokoju. Przykuca koło nieruchomego ojca. Zdejmuje mi klocek z czoła. Głaszcząc po włosach, ociera łzy z policzków.

– Kiedyś, nie wiem dokładnie kiedy, będę ci potrzebny. Zawołaj mnie wtedy, a przyjdę – mówię.

– Wiem. – Przytakuję. – To będzie dziś. Masz przyjść tej nocy – odpowiadam.

Znów jestem w kuchni. Oddycham ciężko, starając się podnieść. Żony już nie ma. Słyszę jak biegnie po schodach. Coś ciężkiego uderza o łóżko, rozsuwa się suwak torby podróżnej, otwiera szafa. To by było na tyle jeśli chodzi o nasz związek. Opieram się o stół. Patrzę na lustro. Choć palec mam na swoim miejscu, to napis na lustrze razi oczy swoją czerwienią.

„Wiesz gdzie masz iść. Twój palec jest w zamrażalniku.”

* * *

Mama mówiła, że jestem głupi.

A także, że jestem złym dzieckiem i Bóg wstydzi się, kiedy na mnie patrzy. Jestem zepsutą duszą, która trochę dłużej udawała, że jest dobra. Jestem złym dzieckiem, a moje wnętrze jest czarne od węgla i smoły. Jestem małym potworem i cieszę się patrząc jak ona cierpi.

Stałem nieruchomo przy drzwiach do jej sypialni i mocno przyciskałem do siebie owiniętą w bandaż dłoń. Obudziłem się rano w swoim łóżku, z założonym opatrunkiem. Tylko mojego palca nigdzie nie było. Znalazłem za to kartkę, żółtą, samoprzylepną. Wydawało mi się, że nie mieliśmy takich u siebie w domu. Było na niej zapisane jedno słowo.

„Dziś.”

Ubrałem się i zszedłem na dół. Zastałem mamę siedzącą przy oknie. Milczała. Dopiero kiedy powiedziałem jej, że odchodzę, zaczęła mówić.

– Dokąd pójdziesz? – spytała.

– Nie wiem, – odpowiedziałem. – Byle daleko od ciebie.

Znów się zaśmiała. Widziałem jak trzęsą się jej barki i falują włosy.

– Niewdzięczniku. Zginiesz beze mnie. Jesteś tylko małym, żalonym dzieckiem, które nic nie umie.

Z całych sił starałem się stać prosto i nie wybuchnąć płaczem. Byłem pewny tego, co chciałem zrobić. Mój koszmar skończy się dziś w nocy. On po mnie przyjdzie. Zabierze mnie stąd. Wtedy już na zawsze będę z nim. Z kimś, kto mnie naprawdę kocha.

– Idź. Nie będę cię zatrzymywać. Jeśli myślisz, że dasz sobie radę.

Odwrociłem się. Powoli zacząłem iść ku drzwiom.

– Jesteś taki sam, jak twój ojciec – powiedziała matka. Nie wytrzymałem. Łzy pociekły mi po policzkach. Zacząłem biec. Potknąłem się w progu i wypadłem na zewnątrz. Słyszałem jej płacz. Wstałem i odszedłem. Schowałem się w moim szałasie.

Spędziłem tam kilka godzin, na przemian łkając i uspokajając się. Nerwowo patrzyłem w stronę domu. Kiedy zrobiło się ciemno, błyskawicznie utonął w mroku. Mama nie zapaliła żadnego światła. Byłem pewien, że siedzi przy stole w kuchni i wygląda przez okno.

Czekałem. Tego dnia nadejdzie mój wybawca i zabierze mnie daleko stąd. Z dala od kobiety, którą nazywam matką, choć już dawno przestałem ją kochać.

Mrok przyszedł też do mnie. Szeptał do ucha czułe słówka, oferując spokój i zapomnienie. Nie byłem w stanie opierać się zbyt długo. Zamknąłem oczy, a po moim ciele rozlało się przyjemne ciepło.

Obudził mnie krzyk. Drzwi były otwarte, na zewnątrz sączyło się jasne światło kuchennej żarówki. Jednym susem wypadłem z szałasu i pobiegłem do domu. Przez te kilka chwil, kiedy nogi niosły mnie korytarzem, pękałem ze szczęścia. To musiał być on. Przyszedł po mnie. Rozmawia z matką, a jak tylko mnie zobaczy, to poda mi rękę i pójdziemy sobie, hen daleko. I będziemy szczęśliwi, razem we dwóch. I już nigdy nie będę musiał spać na dworze i marznąć.

Z uśmiechem szerszym niż pozwalały mi na to policzki wpadłem do kuchni. Był tam. Stał przy stole. Patrzyłem na jego szerokie plecy i zastanawiałem się jak wysoko mógłby mnie podrzucić. Wystarczył moment, żebym go pokochał. Jedno rzucone spojrzenie, kiedy odwrócił ku mnie głowę i utonąłem w jego czarnych oczach. Z dumą pomyślałem, że będę mówił do niego tato.

Podszedłem bliżej, szeroko rozkładając ręce. Chciałem złapać go za nogę i nigdy, przenigdy jej nie puścić. Na jego twarzy też pojawił się uśmiech. Zrobił krok w moją stronę. W prawej dłoni trzymał nóż o szerokim ostrzu, z którego czubka kapały na podłogę czerwone krople. Wtedy zobaczyłem matkę. Wciąż siedziała na krześle, ale wygięte pod dziwnym kątem plecy zapomniały się wyprostować. Nie miała głowy, z otwartej szyi wciąż płynęła krew, farbując całe jej ciało na upiorny szkarłat.

– Zabiłeś ją – powiedziałem cicho.

Mój wybawca uśmiechnął się jeszcze szerzej. Za chwilę pękna mu policzki.

– Taaaaak – potwierdził rozmarzonym głosem. Westchnął i wzniosł oczy ku sufitowi. – Ciebie też powinienem załatwić, ale jesteś za mały. I tak pewnie nie zapamiętasz jak wyglądam.

Podszedł do mnie i poklepał mnie po głowie. Ciepły strumień moczu spłynął mi po nodze. To nie tak miało być – pomyślałem sobie. On miał być moim bohaterem, wybawcą. Tata. Tymczasem, pogwizdując wesoło wrzucił nóż do zlewu i wyszedł na zewnątrz. Stałem bez ruchu w kałuży i nie wiedziałem co mam zrobić. Cały mój mały świat runął. Nie wiem ile czasu minęło, zanim poruszyłem choćby palcem. Patrzyłem na martwą matkę. Uczucia, które kiedyś zabiła, wróciły teraz z całą mocą. Przytuliłem się do niej i zacząłem płakać.

Zimny wiatr szalał po kuchni, niosąc za sobą płatki śniegu. Patrzyłem jak gina, dotykając krwi. W jednej chwili popisują się przed światem swoimi wzorami, w drugiej są już tylko kroplą wody, jakich niezliczona liczba spada codziennie z nieba.

Zostałem zupełnie sam. Mogłem zrobić tylko jedno. Dotrzymać danego słowa. Poszedłem na górę. Ubrałem się w najcieplejsze ubrania. Spakowany plecak czekał już na łóżku. Wróciłem do kuchni. Ostatni raz spojrzałem na martwe ciało, które kiedyś było moją matką. Dopiero teraz zauważyłem leżącą pod krzesłem głowę. Zapakowałem ją do papierowej torebki, w której zawsze brałem kanapki do szkoły.

Wyszedłem przed dom. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na niego. Byłem pewien, że kiedyś tu wrócę. Przesiakająca przez torbę krew utworzyła pod moimi nogami małą kałużę. Uśmiechnąłem się szeroko. To była noc, kiedy przestałem być dzieckiem.

– Chodź mamó. Idziemy stąd.

* * *

Dziecko płacze, kiedy odcinam głowę jego matce. Mógłby się zamknąć, przecież oddałem mu palec. Trzymał go teraz mocno w dłoniach.

Skończyłem. Głową upadła na podłogę, lądując w kałuży krwi z cichym plaśnięciem. Zwłoki odrzucam na bok i zajmuję się przemeblowaniem. Narobili mi tylko problemów tym dziwnym wystrojem. Nikt wcześniej nie wpadł na to, żeby zabierać stolik spod okna. Ustawiam wszystko tak, jak powinno być. Siedzam na krześle i opieram o ścianę, upewniając się, że nie spadnie, kiedy wyjdę. Głowę kładę na stole. Wrzucam nóż do zlewu i chcę pogłaskać chłopca. Uciekł jednak, kiedy tylko zrobiłem krok w jego stronę. Pognał na górę i słyszę, że zamyka drzwi na klucz. Nie idę za nim, przecież nie chcę go skrzywdzić. Mam to po co przyszedłem. Obszukuję szafki i szuflady, nigdzie jednak nie znajduję papierowej torby. Dobrze, że zabrałem ją ze sobą z domu. Pakuję głowę i wychodzę na zewnątrz, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Gnany wiatrem śnieg wpada do środka. Wyobrażam sobie jak jego płatki roztapiają się w kontakcie z krwią.

Stoję przed domem. Patrzę na niego, tak samo jak za każdym poprzednim razem. Tyle lat minęło od kiedy byłem dzieckiem i pierwszy raz opuściłem go z odciętą głową w torbie. Uśmiecham się pod nosem. Miałem tak wiele głów w zamrażarce, a do domu wciąż ktoś się wprowadzał.

Jestem wolny. Wiem, że drżenie nie pojawi się przez długi czas. Cieszę się na myśl o spokojnych porankach z filiżanką ciepłej kawy, którą się pije, a nie wylewa na siebie i podłogę w opętanym tańcu. Kiedyś jednak wróca. Może za rok, może za pięć lat. Zjawie się w moim domu, a w środku znajdę samotną matkę z małym dzieckiem, którego nie będzie kochać. Poczekam aż chłopiec dorośnie do odpowiedniego wieku, matka zacznie go krzywdzić a świat zniknie pod śniegiem. Wtedy przyjdę i uświadomię im obojgu jak wiele dla siebie znaczą.

Cykl znów się powtórzy.

Przesiakająca przez torbę krew utworzyła pod moimi nogami małą kałużę.

– Chodź mammo. Idziemy stąd.

Tomasz Czarny
PUSZKA COLI

Panował nieznośny upał. Lato tego roku było wyjątkowo parne i gorące. Meg myślała już tylko o urlopie. O tym, że w końcu odpocznie i nie będzie musiała kroić tego pieprzonego mięsa. Jak zwykle pracowała na zapleczu, ćwiartując i paczkując wołowinę. Przynajmniej nie musiała patrzeć na Sloana, swojego pracodawcę i właściciela „Wiejskich Przysmaków”. Jej szef był obleśnym typem, który ślinił się na nią gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Sloan Thad miał czterdzieści pięć lat i poważną nadwagę, a higiena osobista nie była czymś, czym codziennie zaprzętał sobie głowę. Już nieraz przyłapywała go na tym, jak podglądał ją z ukrycia. Gapił się na tyłek. Mogłaby się założyć, że walił pamięciówki w domu albo marszczył fieda oglądając jej zdjęcia na Facebooku. Pewnego dnia, po godzinach, zaczął coś do niej mamrotać, nie dosłyszała dokładnie co, ale była święcie przekonana, że miało to seksualny wydźwięk. Powiedziała, żeby spadał.

Klima pracowała na całego. Zazwyczaj to Meg obsługiwała klientów, niekiedy robił to Sloan. Dziś wypadła jej kolej na zapleczu. Szef chodził ostatnio jakiś podenerwowany, wyraźnie dało się to wyczuć. Pewnie nie może porządnie wytrzepać gruchy, pomyślała i zaśmiała się. Kroiła mięso tasakiem, kładła na tackach i pakowała w folię. Później jeszcze etykieta i do lodówki.

Meg miała dwadzieścia jeden lat i była gotką. Szalenie atrakcyjną. Nosiła czarne kabaretki, mini i mocny makijaż. Oprócz tego przykuwała wzrok masą kolczyków i tatuaży. Mężczyźni podziwiali jej zadbane, kasztanowe włosy, zdrową cerę i smukłą sylwetkę. A także duże cycki, co według niej nie było powodem do dumy, ciągle się na nie gapił. Ale jak się lubi obcisłe podkoszulki, to tak jest, pomyślała. Sloan nie czepiał się jej wyglądu. Pewnie go to dodatkowo rajcowało. Kiedyś, szukając jakichś dokumentów, pod papierami w jego biurze natknęła się na płyty DVD z najbardziej obrzydliwą pornografią jaką miała okazję oglądać. Czysta perwersja. BDSM, wiązanie, bicie, poniżanie, a nawet i gorsze

rzeczy. Wiedziała, bo „pożyczyła” sobie jedną z nich. Była pewna, że zostawił je specjalnie, by się na nie natknęła. Gdy pewnej nocy odtworzyła dysk na komputerze w swoim pokoju, to co zobaczyła wprawiło ją w osłupienie. Pół-amatorski film przedstawiał młodą kobietę ubraną w czerwony lateks, która wypróżniała się, wypięta na kanapie, a mężczyzna w masce konsumował jej ciepłe ekskrementy, masturbując się przy tym. Kiedy skończył posilanie się, bił ją, a później wymiotował na jej srom, by w końcu w nią wejść. Tak chorego gówna nigdy nie oglądała. Wyłączyła nie dokańczając, wstrząśnięta. Kurwa, to jebany psychol, zaświtało jej w głowie.

Sloan był typem przyjemniaczka. Ciągłe zarośnięty, ciągle w tym samym śmierdzącym podkoszulku i ciągle napalony. Od jakiegoś czasu samotny, bo żona wniosła o rozwód, gdy dowiedziała się, że dymał namiętnie wszystkie kurwy w miasteczku. Pewnie na nią nie starczało mu już sił. A może lubiła tylko po bożemu, przy zgaszonym świetle? Meg uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, kto by w ogóle chciał takiego obskura. Gdy Sloan ćwiartował mięso na zapleczu, zawsze tego popijał. Często odnajdywała go „na odcięciu” w jego kanciapie. Zwykle z opuszczonymi spodniami. Kiedy ją przyjął, po pewnym czasie powiedział, że albo się przyzwyczai do pewnych spraw, albo wyleci na zbity pysk. Zgodziła się. Miała to w dupie, póki się do niej nie dobierał. Ale Meg doskonale wiedziała, że kiedyś przyjdzie ten dzień. Pytanie tylko kiedy. Co najdziwniejsze, interes kręcił się całkiem nieźle. Sloan, mimo, że był obleśnym typem, dbał o biznes, zawsze miał świeże, dobre partie za przyzwoitą cenę. Nie wiedziała jak on to robi. Klienci, nawet z takiej nory jak Gatesville, z lubością kupowali wędliny i wyroby masarskie, które swoim nazwiskiem firmował Thad. Ba, nawet jej niezwykle wybredna staruszka je kupowała. Stojąc za ladą, Meg nieraz była świadkiem sceny, jak Sloan na dźwięk dzwoneczków nad drzwiami wytaczał się nawalony z zaplecza i w mig stawał się mistrzem ceremonii.

– Witam piękną panią, w czym mogę służyć? Dziś polecamy świetną szynkę parmeńską i takie samo włoskie salami... za bezcen... cienko skrojone... plasterek na próbę? – mówił swoje brednie.

I kupował te wszystkie staruszki. Naprawdę. ćwok miał dar. Najbardziej lubiła jak przychodziły te kury domowe, takie trzydziestopięcioletnie. Gdy już je obsłużył, zawsze ostatni tekst był ciekawy. Ścisłym głosem mówił coś sprośnego, a one się śmiały, pozdrowiały go i wychodziły uśmiechnięte. Utalentowany skurwiel i tyle. Meg często widziała

z zaplecza, jak szef ślini na te cipy. żałosne. Co ciekawe, niektóre przejawiały zainteresowanie nim, czując pewnie, że ma grubego w obwodzie. Raz była świadkiem dwuznacznej konwersacji Sloana z klientką. Po kilku słowach wziął ją jak gdyby nigdy nic na zaplecze, zamknął drzwi i, sądząc po odgłosach, jebał jak opętany. Po półgodzinie wyszli, spoceni i zawstydzeni, z uśmiechami na twarzach. Przed wyjściem kobieta wzięła Meg na stronę.

– Nie wiem, czy cię rżnie, złotko, ale ma naprawdę grubego. Powinnaś spróbować. A w oczko to naprawdę już kosmos! Wielu wsadzało w moje dziurki, ale ten kawał mięsa mnie zaspokoił... i jak tryska na koniec! Połknęłam wszystko... musisz spróbować... to prawdziwy ogier, wylizał mi rowek jak nikt... świntuszek... kazał mi trzepać kapucyna stópkami, ale co tam. Spróbuj go, mała...

Poczuła alkohol od kobiety... i chyba marihuanę. Tak, niezłe ziółko było ze Sloana Thada.

Meg postanowiła, że zrobi sobie przerwę. Poszła do kanciapy szefa, gdzie znajdował się dystrybutor z wodą. Sloan siedział zakopany w jakichś papierach. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się w ten swój lubieżny sposób.

– Jak leci złotko? Kroisz mięsko? – Wyszczерzył się.

– Ta... – Sięgnęła po kubek i nacisnęła na przycisk. Woda z dystrybutora była ohydna. Meg często brała ze sobą coś do picia, ale dziś akurat zapomniała. Chętnie skoczyłaby do sklepu naprzeciwko, lecz nie pozwalał jej wychodzić.

– Dałabym się pokroić za puszkę coli, szefie.

– To szkoda, bo na przerwę to ty nie zasłużyłaś. Niedługo znikam na krótko, kupię sześciopak, ale w tym czasie nie chcę, żebyś się nudziła. Zrozumiano?

– Jasne, dzięki – sarknęła.

– Bądź miła dla klientów, pamiętaj mała...

– Zawsze jestem.

– I o to chodzi.

Wróciła na zaplecze. Zaczęła dalej porcjować mięso. Włączyła boomboxa i nastawiła najnowszą płytę Danziga. Zaczęła ochoczo kręcić pupą w rytm muzyki. Od razu poczuła się lepiej. Chciała podkreślić głos na full, ale przypomniała sobie, że musi słyszeć dzwoneczki nad drzwiami.

Do bani, pomyślała. Dzień wyjątkowo się dłużył. Ale przynajmniej nie ma tego zboka, przebiegło jej przez myśl. Zostały dwie godziny do końca zmiany.

„Dałabym się pokroić za puszkę coli. . .”

Za jakiś czas pojawił się Sloan. Widziała tylko jak przemknął obok masarni do swojej kanciapy. Długo nie wychodził. Meg zastanawiała się, czy wstąpił do sklepu i kupił coś do picia. Postanowiła go o to zapytać i o to, czy może dziś wyjść troszkę wcześniej niż zwykle. Uchyliła niedomknięte drzwi.

– Kurwa, mała, nie umiesz pukać! – ryknął szef, odrywając nos od kresk rozsypanych na stoliku do kawy. Przyłapany na gorącym uczynku, z białym nosem, wpatrywał się tak w nią z głupkowatym wyrazem twarzy. Meg zatkało. Nie wiedziała jak się zachować.

– No co, będziesz tak stała? Zamykaj drzwi i włącz do środka – rzucił, trzymając banknot w dłoni. Posłuchała.

– Teraz będziesz musiała przypudrować nos ze mną – dodał i zarechotał obrzydliwie.

– Raczej nie. . .

– Teraz to już nie ma raczej. Przywalisz ze mną, jakby co, to ja będę stał za ladą. I tak niedługo zamykamy. Nie bój się, nikt się nie dowie. Wciągałaś wcześniej?

– Tak. . . ale rzadko.

Sloan oddzielił kartą kredytową cienką ścieżkę dla Meg. Zaczęła czuć się niepewnie. Miała mętlik w głowie. Nie chciała tego robić ale wiedziała, że jeśli nie wciągnie, Sloan będzie myślał, że kiedyś go zakapuje.

– No, Meg, pierdolnij sobie. To ekstra towar, nie ten szajs z miasteczka. Odleć jak nic – kusił.

Meg uklękła, wzięła banknot od Sloana i wciągnęła kreskę. Odchyliła głowę do tyłu. O mój boże, co za szajs, pomyślała. Rozsadzało jej nos. Sloan zaczął bić brawo.

– świetnie, grzeczna dziewczynka. Wiesz co? Mam pomysł. Zamknę dziś wcześniej. Posiedzimy sobie tu, pogadamy. Jak starzy przyjaciele. Trawkę też mam – powiedział Thad.

Meg coraz mniej się to podobało. Usiadła na brudnej kanapie. Czowała jak ją ścina. Sloan Thad opuścił na chwilę swoje „biuro”, zapewne w celu zamknięcia sklepu i udania się do toalety. Gdy wrócił, usiadł obok niej, a z kieszeni fartucha wyciągnął skręta.

– A teraz zapalimy – obwieścił z uśmiechem na twarzy.

– Nie, szefie...

– Nie ma nie. Zamknąłem nasz mały interes. Jest sobota wieczór. Jesteś tylko ty i ja. Odpreż się wyluzuj, mała.

Odpałił jointa, zaciągnął się i podał Meg.

– Nie, naprawdę. Nie chcę – odpowiedziała.

– Bierz. Odlecisz, pogadamy, pośmiejemy się, zobaczysz. Będzie w dechę.

Meg uległa naciskom. Wzięła skręta i zaciągnęła się nim niemrawo, delikatnie. Zakaszła.

– O, widzisz. Teraz to rozumiem.

Czuła jak odpływa. Nie wiedziała czy bardziej za sprawą koki, czy trawki. Najpewniej połączenia obu. Sloan wstał i nastawił na starym odtwarzaczu jakąś płytę. Dziewczyna po chwili rozpoznała Doorsów. Wtuliła głowę w oparcie kanapy i dała się ponieść dźwiękom muzyki. Zamknęła oczy. Było jej dobrze i ciepło, zapomniała o wszystkim.

Nie wiedziała na jak długo straciła świadomość. Z odmetów jazdy wyrwał ją dotyk, który poczuła na twarzy. Uniosła ciężkie powieki i zobaczyła Sloana, walącego nad nią konia i próbującego wcisnąć swojego kutasa w jej usta.

– Witamy w rzeczywistości. A teraz mi obciągniesz. – Głos dochodził jakby z oddali.

– Nieee... – Z trudem wyjęczała oszołomiona Meg.

Nie zważając na to, Sloan złapał od tyłu jej głowę i wcisnął przyrodzenie w jej twarz. Zaczął okładać ją penisem po policzkach.

– Taaak, dobra dziewczynka. Obciągniesz mi i połkniesz, a później pokażesz język i sprawdzimy, czy wszystko poszło... Dobry towar? – Mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

Meg nie miała siły walczyć. Nieporadnie odpychała Thada, by w końcu się poddać. Zaczęła robić mu loda. Brutalnie wpychał przyrodzenie w usta. Dławiła się i krztusiła. Wsadzał go nieraz po same jaja, długo nie wyjmując. Najgorsze, że podczas tego zatykał palcami jej nos, odcinając tlen. Meg została zgwałcona. Szlochała. Coś ciemnego i gorzkiego rosnęło w jej duszy. Czuła to. Gdy szczytował, spuścił jej się w gardło, odchylając jej głowę do dołu, by wszystko spłynęło. Jak tylko skończył, rzucił ją na kanapę jak szmacianą lalkę.

Szlochała, otumaniona i wykorzystana. Kiedy znowu się ocknęła, przez przymrużone powieki zobaczyła jak szef wciąga kolejne kreski.

Próbowała się podnieść i rzucić do ucieczki, ale jej ruchy były nieporadne. Stoczyła się z kanapy na podłogę.

– Gdzie się wybierasz? Jeszcze nie skończyliśmy zabawy, najlepsze przed tobą – rzucił Sloan.

Podniósł ją z podłogi, chwycił za włosy i wepchnął jej twarz w koks rozsypany na stole, rozsmarowując na niej biały proszek.

– Tego chciałaś ?

Podniósł głowę dziewczyny z blatu i popchnął na wersalkę.

– Teraz najlepsze – powiedział. Chwycił jej pasek od spodni i zaczął go odpinać. Gdy protestowała i wymachiwała rękami, zdzielił ją porządnie w twarz. Rozpiął guzik i rozporek jej dzinsów, po czym zerwał koronkowe stringi.

– Nie, błagam, nie! Wszystko tylko nie to... błagam

– Zamknij się !

Meg biła na oślep pięściami i broniła się, ale Sloan był potężnym facetem, na niewiele się to zdało. Odwrócił dziewczynę tyłem, wywijając jej ręce, i zagłębił twarz w jej odbycie, mlaskając i wsadzając w niego nos. Muzyka zagłuszała krzyki. Meg wierciła się, daremnie próbując się jakoś wyrwać.

– Proszę, Jezu, nie ! – wrzeszczała.

Rozjuszyło go to. Walnął ją z całej siły pięścią w potylicę. Uciחła. I zwiotczała. Nieprzytomnej rozchylił pośladki, splunął w anus i wprowadził penisa z impetem. Zaczął zadawać pchnięcia jak oszalały. Jego fiut pracował jak dobrze naoliwiony tłok, zwieracze dziewczyny aż trzeszczały. Kokaina sprawiła, że miał potężną erekcję. Długo to trwało. Był cały zalany potem, ale nie mógł dojść. Po dobrych kilkunastu minutach szczytował w jej wnętrzu tak obficie, że nasienie aż wypływało ze środka. Zaspokojony, opadał na kanapę.

Jego głowę ciągle przewiercało jedno zdanie, którego za cholere nie mógł się pozbyć.

Gdy odzyskała świadomość, Sloan kopnął ją z całych sił w twarz, tak, że znowu zapadła się w nieświadomość. Pochylił się nad blatem i zażył kolejną porcję. Czuł, że jego ptaszek jest z powrotem zwarty i gotowy. Rozebrał ją do naga, zarzucił sobie przez ramię, otworzył drzwi kanclapy i zaniósł na zaplecze. Rzucił zwiotczoną Meg na rzeźnicki stół do rozbioru. Z podłogi wziął drewniany stołek. Położył go na środku blatu.

Chwycił jej ciało i umieścił tak, że stółek znajdował się pod jej brzuchem. Rozwarł jej nogi. Nad blatem, po lewej stronie, wisały wszystkie narzędzia masarskie stosowane przy rozbiorze i ćwiartowaniu. Chwycił rzeźnicki topór. Z wieszaka zdjął swój firmowy fartuch, z wyszytymi na kieszonce słowami: „Wiejskie Przysmaki. Sloan Thad”.

Zamachnął się potężnym tasakiem. Ostrze opadło wzdłuż linii pośladek, rozdzielając krocze na pół. Zabryzgała go krew. Rąbał dalej, nie przejmując się tym. Czuł smak szkarłatnej cieczy na swoich ustach. Oblizywał się. Siekał przez plecy, szyję i głowę, aż przepołowił dziewczynę. Posoka ściekała strumieniami na podłogę. Nie przejmował się tym. Kości, ścięgna i włókna chrzęściły pod naporem topora. Jak nie mógł czegoś przepołować, walił na oślep, po prostu ćwiartując i rozdrabniając. Był cały we krwi. Wszystko było nią pokryte. Jelita ześlizgnęły się z blatu na ziemię, jak uciekające robaki. Gdzieś zamajaczyła wątroba, gdzieś indziej nerki... Największą frajdę sprawiło mu rozłupanie jej czaszki. Poczul się jakby miażdżył łupinę orzecha włoskiego. I ten zapach.

Gdy skończył i ocknął się z transu, pomyślał o jednej, kluczowej sprawie, która zaprzętała mu głowę. Cały czerwony, poszedł do części sprzedażowej sklepu i z wyciągnął coś z szafki, po czym wrócił na zaplecze. Mocnym ruchem uderzył rzeczą w blat stołu, stawiając przedmiot przed poćwiartowanym mięsem, tak, że krew aż rozbryzgnęła.

– A oto twoja puszka coli. Smacznego, dziwko – powiedział i zaśmiał się.

Marek Grzywacz

ŚWIĘTE MIĘSO

Przewoźnik wycofał się bez pożegnania jak tylko pojawiła się moja eskorta, a w niej dwóch uzbrojonych mężczyzn. Bez wątpienia od dawna o tym marzył – mimo, że gdy płynęliśmy na wyspę przechwalał się wędkarskimi osiągnięciami i zagłuszał szum wody muzyką dobywającą się ze starego magnetofonu, widziałem jego strach. Przebijał się przez alkoholowe otępienie i postawę człowieka, który doświadczył już wszystkiego. Nie dziwiło mnie to. Sam byłbym przerażony, gdybym pozwolił sobie choćby na chwilę zarzucić żelazną dyscyplinę. Miejscowi pewnie myśleli, że budynek na środku jeziora jest nawiedzony.

Nie próbowałem się żegnać. Starczyło, że mu sowicie zapłaciłem. Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z pulchnym człowieczkiem w niemodnym garniturze. Deszcz zmienił jego przeredzające się włosy w opadające na czoło strąki.

Dyrektor machnął ręką i strażnicy opuścili strzelby.

– Przepraszam, że niepokoję wielebnego ojca widokiem uzbrojonych ludzi – tłumaczył się. Jednocześnie próbował uporządkować za pomocą prawej dłoni bałagan na swojej głowie. – Procedury, rozumie ksiądz. Nie robimy wyjątków.

– Spokojnie. Dobrze wiem, że mierzyliście do nas z czegoś znacznie większego kalibru jeszcze zanim postawiłem stopę na suchym lądzie – odparłem.

To speszyło dyrektora nawet bardziej.

– Procedury... – powtórzył bezmyślnie.

– I jeszcze jedno – dodałem.

– Tak?

– Proszę mnie nie tytułować. Zrezygnowałem z mojej posługi, niech Bóg mi wybaczy.

Ukrywanie zdziwienia niezbyt wychodziło mojemu gospodarzowi.

– Chodźmy już. – Kobieta w laboratoryjnym fartuchu, ukrywająca się pod ogromnym parasolem, postanowiła przerwać milczenie. – Nie

możemy pozwolić gościowi moknąć, Nicholasie.

Nie zwróciłem uwagi na jej starania. Nie wymagałem od nich kurtuazji, dobrze wiedziałem, że bardzo rzadko zdarzają się tu wizyty.

Spojrzałem na masywną budowlę. Ponurą i nieprzystępną. Przypominała najbardziej koszmarnie przykłady surowej, socrealistycznej architektury rodem z Europy Wschodniej.

Wydawała się znakomicie pasować do swojego przeznaczenia.

Dyrektor Abel popijał brandy, przyglądając mi się dokładnie. Sam odmówiłem rozgrzewającego trunku, wolałem zachować czystość myślenia. Udawałem, że przyglądam się książkom zdobiącym półki jego gabinetu, ale nie interesowała mnie imponująca, jak na warunki, kolekcja dzieł teologicznych. Obcowanie z teorią od dawna nie sprawiało mi przyjemności.

– Nie spodziewałem się, że przyjaciel kardynała mógł, jakby to ująć... opuścić stanowisko. Serdecznie przepraszam za moje zachowanie, zresztą, znów nie wykazuje się dobrym wychowaniem – powiedział.

Byłem świadomy, że próbuje mnie wybadać.

– Podejmowanie tego tematu mi nie przeszkadza – stwierdziłem. – Oczywiście powody tej decyzji to moja prywatna sprawa.

– Naturalnie. Niemniej, jestem ciekawy. Zwykle nie przyznajemy prawa dostępu osobom z zewnątrz. Najchętniej nikogo byśmy tu nie wpuszczali, szczerze mówiąc. Ale nie możemy odmówić kardynałowi... zasadniczo jesteśmy świecką organizacją, ale gdyby nie jego wpływy, zwłaszcza w kręgach politycznych, nigdy nie poradziłibyśmy sobie z problemami legalnymi i finansowymi związanymi ze stworzeniem takiej placówki.

– Cieszę się, że jesteście tak rozsądni. – Pozwoliłem sobie na odrobinę złośliwości.

– Mogę zapytać, dlaczego interesuje pana nasza pacjentka?

Wstałem z fotela, zbliżyłem się do krucyfiks stojącego na szafce. Wpatrywałem się w wizerunek Zbawiciela przybity do drewnianego krzyża, choć nie czułem się godzien na niego spoglądać.

– Pomogłem ją złapać – odpowiedziałem półszepcetem.

Cisza, która zapadła, okazała się niezmiernie irytująca.

– Pacjentka? – zapytałem.

– Słucham?

– Dziwi mnie to określenie.

Nicholas Abel podźwignął się, wzdychając ciężko. Odwróciłem się i mój wzrok napotkał jego nadspodziewanie bystre oczy. Rozpoznałem emocje. Odraza.

– Panie Sinagra, najchętniej nie mówiłbym o nich jak o ludziach. Nie zasługują na to. – W jego głosie ujawniła się dziwna gorliwość. – Bóg mi świadkiem, nie trzymałbym ich nawet tu. Powybijałbym, taki los byłby odpowiedni dla tych kreatur. Ale... kto wie, co rozpętałibyśmy, gdybyśmy zabrali ciała tym potworom, gdyby złe duchy, które się w nich gnieźdzą, nagle znalazły się na wolności. Dlatego izoluję je tu i traktuję jak nieuleczalnie chorych. I będę ich nazywał adekwatnie.

Nie wspomniał, że nie było do końca wiadomo, czy niektórych z jego podopiecznych da się w ogóle efektywnie zutilizować.

– Ma pan specyficzny charakter, dyrektorze – powiedziałem. – Może przejdźmy do rzeczy, zanim rozmowa stanie się zbyt nieprzyjemna dla nas obu.

Winda nie była bynajmniej bezgłówna, właściwie hałasowała tak, jakby zaraz miała runąć w dół. Spodziewałem się, że sprzęt będzie w lepszej kondycji, ale domyślałem się, że zdobycie czegokolwiek dla takiej instytucji może nie być łatwe. Powinno to budzić obawy, lecz nie przejmowałem się detalami.

– Podziemia na wyspie. Dziwny wybór – mruknąłem.

– Sprawdzaliśmy wszystko, nie ma obaw o niestabilność czy kwestie związane z erozją. Mieliśmy fart, że tak się wyrażę. Rzadko się trafia na takie miejsce.

Prowadził mnie wąskimi korytarzami. Przyciemnione światła, ściany w okropnym odcieniu niebieskiego oraz rzędy jednakowych, nieoznakowanych drzwi dokładały swoje do wysoce klaustrofobicznej atmosfery.

– Środkowa część kompleksu to laboratoria, pomieszczenia obsługi i techniczne. Punkt medyczny jest na północy – objaśniał Abel.

– A cele? – spytałem.

– Wschód, zachód. Prowadzą do nich odcięte dodatkowymi grodziami korytarze. Wszystko automatyczne, nadzorowane komputerowo.

– Sieć?

– Tylko wewnętrzna. Na górze mamy Internet i wszelkie wygody. Tutaj... nie przebiję się nic. Dlatego będzie pan pracował pod ziemią.

Żadne dane nie mogą wycieknąć z tego kompleksu. Względy bezpieczeństwa.

Minęliśmy uzbrojonego strażnika w kombinezonie, który sugerował, że właściciel dubluje swoją rolę z funkcją sanitariusza. Nawet nie zerknął na mnie. Profesjonalista.

Dotarliśmy do dwuskrzydłowych drzwi. Abel podszedł do elektronicznego panelu i wystukał kombinację otwierającą zamek. Okazało się, że pomieszczenie to sala wypoczynkowa. Przy stole siedziało kilku ponurych osobników, wyglądających na przemęczonych, a przy automacie z napojami kręciła się niespokojnie kobieta, którą widziałem przed wejściem do placówki.

– Panowie. Ewo. To pan Sinagra. Wiecie, co będzie tu robił. Proszę traktować go z szacunkiem – powiedział Nicholas, po czym zwrócił się do mnie. – Hans Miller, informatyk. David Larsen, Park Myung-Dae, to technicy zabezpieczeń. Ewa Kruk jest naszym lekarzem. Jak pan wie, pacjentom medycyna na niewiele się zda, ciężko ich nawet chemicznie uspokoić, natomiast w razie potrzeby Ewa udzieli panu pomocy.

Ekipa powitała mnie nieszczerze entuzjastycznie.

Po wymianie fałszywych uprzejmości zasiadłem z dyrektorem przy mniejszym stole, a reszta zagłębiła się w dosyć hałaśliwej konwersacji. Zniżyłem głos do szeptu.

– Nie macie specjalnie dużego personelu, prawda? – zapytałem.

– Wysokie wymagania. Żeby obcować z nimi, pracownicy muszą mieć predyspozycje – odpowiadał w równie konspiracyjnym tonie. – Wymieniamy ich tak często jak się da, ale ogłoszeń rekrutacyjnych w gazecie raczej nie puścimy. Ewa jest głównie od tego, żeby kontrolować ich stan psychiczny.

– Błędy oznaczają śmierć – zgodziłem się.

– Dokładnie. Ale może nie rozmawiajmy o tym tutaj. Hans uda się z nami do przygotowanego dla pana pokoju obserwacyjnego i wyjaśni wszystko.

– Nie zobaczę jej osobiście? – Zaniepokoiło mnie to.

– Możemy zezwolić na jedną wizytę, oczywiście nie wejdzie pan do celi. Potem tylko kamery. Powinny wystarczyć, chyba, że je zniszczy. Z jej właściwościami zdarza się, a wymiana jest problematyczna. . .

Kaslnąłem, żeby przerwać dygresję.

– Macie tu księży? – dociekałem.

– Nie. Sprowadzamy, jeżeli jest taka potrzeba, ale... oni dość gwałtownie reagują na osoby konsekrowane.

Tego nie musiał wyjaśniać.

Korytarz wydawał się nie mieć końca. Przez otwarte na dosłownie kilka sekund grodzie przeszliśmy tak dawno, że nietrudno było odnieść takie wrażenie. Światła przed nami zapalały się dopiero, kiedy podchodziliśmy na odpowiednią odległość. Przez to nie mogłem dostrzec co jest dalej. Układ podziemi wydawał się coraz bardziej nielogiczny. Co jakiś czas mijaliśmy świecące na zielono diody, będące zapewne widocznym elementem jakiegoś rodzaju systemu czujników. Nie próbowałem pytać. Abel zapewne i tak powiedział mi za dużo o zabezpieczeniach, czułem, że nic więcej z niego nie wyciągnę.

Następna fala jasności odsłoniła pancerne drzwi. Mniej więcej w połowie przecinał je pas innej barwy metalu, z którego wychodziły cienkie rurki. Łączyły go z zamkniętą skrzynką na ścianie. Dyrektor wyjął z kieszeni coś, co wyglądało jak karta kredytowa.

– Gotowy? – zapytał.

Przytaknąłem, więc podszedł do instalacji i wsunął w ledwo widoczną szczelinę kartę. Skrzynka otworzyła się i Abel uzyskał dostęp do klawiatury. Starał się ją zasłonić. Najwidoczniej nie znalazł powodu, by mi ufać. Czekałem cierpliwie aż wprowadzi kod. Wreszcie usłyszałem ciche kliknięcie i ciemniejszy pas metalu zaczął się odsuwać. Za nim znajdowała się szyba z grubego szkła.

Wciągnąłem powietrze w płuca. Wdech, wydech. Próbowałem uspokoić galopujące serce, opanować drżenie rąk. Gdy zrozumiałem, że to bez sensu, po prostu zbliżyłem się do wizjera.

Na środku celi leżała pulsująca, oddychająca góra mięsa.

Wyglądała jak zlepione ochłapy prosto z rzeźni. Płaty nadgniłych, ciemnoczerwonych mięśni, wystające gdzieś kości, posiekane wnętrzności sklezione w jeden byt. Obłaziły ją robaki, białe czerwce żerujące na padlinie. Zdawały się integralnym elementem paskudnej konstrukcji. Dziękowałem Panu, że przez drzwi nie przenikał smród tej istoty. Tak, to była istota, choć wydawała się jedynie podrygującym zbiorom resztek. Pozory mylą. Na szczycie mięsnej piramidy znajdowała się głowa. Ni to krowia, ni to ludzka, krzyżówka wykraczająca poza najniezwyklejsze wizje obłąkanych. Nie mogłem się oprzeć przeświadczeniu, że opalizujące, czarne oczy śledzą moje ruchy. Nie wiem, czy faktycznie

była w stanie mnie dostrzec, ale sama możliwość mogła doprowadzić do szaleństwa.

– Tkwi w tej formie od wczoraj – powiedział Abel, nie próbując podchodzić bliżej.

W tym momencie wróciły do mnie wspomnienia. Mroczne widokówki z okresu, kiedy na polecenie wysoko postawionych dostojników Kościoła w sekrecie polowaliśmy na nowe, silniejsze niż kiedykolwiek manifestacje demonów w ciałach śmiertelnych. Na wytwory zdegenerowanych czasów, których nawet najznamienitszy egzorcysta nie potrafiłby wysłać z powrotem do Piekła. Z czasów, gdy po raz pierwszy ją spotkałem.

– Zamknij wizjer! – krzyknąłem.

Abel wstukał na klawiaturze kod i metalowa przesłona zaczęła się zasuwac. Odwróciłem wzrok. Poczułem jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Dyrektor wyjął papierową torbę zza poły marynarki. Wręczył mi ją i nie zdołałem dłużej powstrzymać torsji.

Widać był gotowy na taką ewentualność.

Chociaż zaproponowano mi nocleg na górze, z dala od podziemnego więzienia, odmówiłem. W pokoiku obserwacyjnym, który dla mnie przygotowano, ktoś przezorny umieścił małe łóżko. Wystarczyło mi. Gdy przezwyciężyłem słabość, poświęciłem kilka godzin na zapoznanie się ze sprzętem – topornym laptopem i większym ekranem podłączonym do niego. Okazało się, że mam bardzo ograniczone możliwości. Nie mogłem zapisywać filmów, tworzyć innego typu plików, praktycznie nie posiadałem dostępu do istotnych informacji.

Dla mnie nie był to żaden problem.

Miałem swój notatnik, a w nim wszystko czego potrzebowałem. Tuż przed położeniem się na twardym materacu, otworzyłem go, przekartkowałem i, po znalezieniu właściwego wpisu, zakreśliłem fragment żółtym markerem.

Mogłem w końcu odpocząć.

Tyle, że sen nie przychodził. A gdyby nawet przybył, z pewnością okazałby się koszmarem. Huragan myśli nie dawał mi spokoju, rozszarpał moją głowę. Pod powiekami przemykały znajome, zatrważające obrazy i zatrzymanie ich nie było w mojej mocy.

Pomyślałem, że powinienem się pomodlić. Otworzyłem oczy, zszedłem z łóżka i uklęknałem. I to wszystko, nie byłem w stanie odezwać

się do Boga. W głębi duszy czułem, że nie chciałbym aby cokolwiek z tego, co miałem do powiedzenia, trafiło kiedykolwiek do uszu Stwórcy.

Od rana wpatrywałem się w ekran, ale nie dopatrzyłem się żadnej zmiany. Opętana nadal nie przypominała człowieka. Martwiło mnie to, wiedziałem, że jej raptowne transformacje zdarzały się niegdyś kilka razy dziennie. Być może pobyt w placówce pomógł nieco dziewczynie, którą deformowały bezustannie niezbadane moce. Choć przecież nikt nie marzył o leczeniu tutejszych „pacjentów”.

Przybyłem obserwować, a nie miałem niczego do zaobserwowania. Mimo, że minęła ledwo doba, pojawiło się zrezygnowanie. Zapewnie wynikało z faktu, że tyle lat czekałem na tę możliwość. Podwyższone oczekiwania nigdy nie wychodzą na dobre.

Mimo to nie pozwoliłem sobie na oderwanie się od pracy choćby na chwilę. Nawet, gdy jeden ze strażników podawał mi gorący posiłek, kątem oka zerkałem na kolosa z gnijącego mięsa, rozlewającego swe rozpadające się cielsko po podłodze celi.

Na przełom czekałem kolejne dwanaście godzin. Co prawda w trakcie mojej krótkiej drzemki opętana zmieniła formę, ale nie w taki sposób, jakiego oczekiwałem. Stała się prawie sobą. Kobieta, która niedawno przekroczyła czterdziesty rok życia, ale wyglądającą tak młodo i krucho, że zdawało się, iż prawie się nie zmieniła. Jedynym znakiem, że władająca nią moc wciąż działa, był brak pohamowań. Dziewczyna – nie mogłem o niej myśleć jako o kimś dojrzałym – masturbowała się bez ustanku, wygięta w coraz bardziej niemożliwe z punktu widzenia anatomii pozy. Na jej twarzy nie malowała się jednak grzeszna rozkosz. Raczej cierpienie.

Niespecjalnie zależało mi na jego oglądaniu.

Pograżyłem się w lekturze, jeszcze raz przeglądając najważniejsze zapiski z notatnika. Nie zauważyłem, że następuje zmiana. Jeśli wierzyć Koreańczykowi, nie miałbym szans. Żadna kamera nigdy nie uchwyciła momentu przeistoczenia. Obraz śnieżył lub po prostu zanikał, jakby ten proces był dla potwora czymś wstydliwym, nieprzeznaczonym dla oczu postronnych.

To, co ujrzałem, obudziło moją nadzieję. Znałem ten stan skupienia okropności, którą badałem. Co znaczyło, że cykle powtarzają się, że odtworza wzorce.

Nabrałem takiego zapału, że zapomniałem nawet o obrzydzeniu.

A coś, co przemierzało celę, upiornie powoli, powinno wywołać taką reakcję. Ta wersja opętanej nie miała stóp ani dłoni. Poruszała się na gładkich kikutach, nie wykazujących śladu usunięcia brakującej reszty, chirurgicznego czy też zgoła brutalniejszymi metodami. Jej sylwetka była zasadniczo ludzka, ale oplatały ją grube więzy z różowawej materii, której pochodzenia nie chciałbym poznać. Wpijały się w boki i pośladki, wcinały w krocze i ścisnęły piersi tak mocno, że te zrobiły się niemal fioletowe. Całą powierzchnię ciała pokrywały rany jak po cięciu lub uderzeniu biczem. Niektóre układały się w większą całość – słowa, wulgarne i upadające określenia rodem z ryszotku. Jej twarz... była zakryta, ale nie maską. Jakby ktoś zdarł całą skórę z szyi i części pleców, po czym narzucił na oblicze umęczonej ofiary, pozbawiając ją rysów i ostatnich śladów człowieczeństwa. Obróciła się w stronę kamery, uniosła głowę i przez dwie dziury w przerażającym kapturze, wyrwane chyba zębami jakiegoś zwierzęcia, spojrzała w obiektyw para oczodołów wypełnionych błyszczącą czernią.

Zadrzałem. Czy opętana mogła mnie wyczuwać?

Zmroziła mnie ta perspektywa, lecz jednocześnie wydawała się obiecująca.

Oderwałem palce od klawiatury laptopa i podniosłem z blatu biurka żółty zakreślacz.

Nie usłyszałem jak rozsuwają się drzwi, byłem zbyt skupiony na pracy. I nieco sfrustrowany. Opętana – w postaci ledwo przypominającej ludzką, a mi dotychczas nieznaną – chowała się na granicy zasięgu wszystkich kamer, nie mogłem ustawić dobrego kąta. Czy znalazła martwy punkt dzięki wiedzy, że ktoś śledzi ją intensywniej niż zazwyczaj? Nie łudziłem się, że nadażę za czymś, co nie miało prawa istnieć na tym świecie.

Dopiero głośnie chrząknięcie doktor Ewy przywołało mnie z powrotem do rzeczywistości, w której jest ktoś więcej niż ja i mój cel.

– Przyniosłam kawę – oznajmiła.

Przeniosłem wzrok na niespodziewanego gościa.

– Nie pijam kawy – odburknąłem. – Ani nie używam cukru, który zapewne znajduje się w napoju.

– Wygląda pan jakby naprawdę potrzebował filiżanki – skontrowała pospiesznie. – W ogóle pan stąd nie wychodzi.

– Proszę się nie martwić. Jeśli chodzi o pewne potrzeby, nadal wychodzę do toalety. Ekipa sprzątająca może spać spokojnie.

Nie wiem w jaki sposób moje usta opuściła tak żenująco niestosowna wypowiedź. Prawdopodobnie bardzo chciałem ją odstraszyć, pozbyć się jak najszybciej. Trochę ją zszokowałem. Rozsierdziłem, może. Ale nie wyszła.

– Przynajmniej humor pan zachował. Myślałam, że liczy się tylko to. Ciekawi mnie... po co ją badać?

– Bo to jedyny taki przypadek w historii? Najosobliwsza demoniczna ingerencja, którą odkryła ludzkość? – powiedziałem, przeganiając myszką wygaszacz ekranu.

– Dotychczas nikt nie chciał jej badać. Raczej już na nią nigdy nie patrzeć. I oddalić się od niej na tyle, na ile się dało.

– Nikt nie chciałby nawet żyć w świecie, w którym istnieje to coś – przyznałem, ale bez emocji towarzyszących jej wypowiedziom.

– A pan najwyraźniej...

– Po co badamy cokolwiek? Czemu poświęcamy energię i czas na takie żmudne poznawanie? – Zaskoczyłem ją pytaniem.

Zamiast odpowiedzieć, pokręciła tylko głową.

– Badamy zjawiska, żeby je okiełznać – wyjaśniłem pospiesznie. – Tak jest sens istnienia nauki.

– Pan chce ją okiełznać... po co? Wyzwolić ją? Użyć jej?

Zaśmiałem się, co musiało podnieść jej poziom poirytowania do granic wytrzymałości.

– Być może nie dostrzegła pani głębi tego stwierdzenia. Czasem samo zrozumienie wystarczy, żeby podporządkować sobie nieodgadnione.

Ewa usiadła na moim łóżku. Skrzywiła się, jakby materac roił się od niewidzialnego robactwa. Zdjęła okulary i nagle jej twarz zrobiła się dużo poważniejsza.

– Panie Sinagra, nadużywa pan gościnności dyrektora. I jego cierpliwości. – Mówiła serio, nie wątpiłem.

– A to czemu? Dostałem pozwolenie. Nigdy nie określałem ile czasu mi zajmą badania i kiedy opuszczę placówkę. – Przeszedłem na pozycje obronne.

– Naprawdę nie widzisz, człowieku, że twoje obsesyjne zachowanie niepokoi wszystkich zebranych w miejscu, gdzie każdy codziennie ma kontakt z czystą grozą! – krzyknęła. – Nicholas prawie nie śpi odkąd siedzisz tu i skrobiesz w tym swoim zeszyku!

– Notatniku – poprawiłem ją, wciąż udając wcielenie spokoju, choć buzowało się we mnie i miałem ochotę zaatakować. – Daruję ci odpusz-

czenie sobie form grzecznościowych, Ewo, ale twoje zarzuty są zabawne. Nikomu nie wadzę.

– Wzrosła jej aktywność i częstotliwość... – Przerwała, bo zrozumiała, że nie zdążyła ugryźć się w język. Ale stało się. Doktor potwierdziła moje przypuszczenia.

Przedmiot moich badań... ona była w pewien sposób świadoma, że przybyłem. Od razu zacząłem dociekać czemu nie przeszła jeszcze do manifestacji, które naprawdę by mnie dotknęły? Nie potrafiła?

– Musicie naprawdę ledwo sobie radzić, skoro wasze okazy reagują na gości ot tak, bez żadnej kontroli – dodałem, tylko po to, by kompletnie ją rozstroić.

– Znasz ją. Sam przyznałeś. Poza tym... nie łudź się, nad tym nie ma kontroli. Inaczej Kościół nie zamiatałby tych przypadków pod dywan, nie wysługiwał się nami, żeby odizolować od świata to paskudztwo.

Diagnoza była jednoznaczna. Zgorzkniała. Przerażona. Niekompetentna – nie chciałbym, żeby tak słaba kobieta dbała o moje zdrowie, fizyczne czy psychiczne. Spodziewałem się więcej po tym miejscu.

Wstałem z fotela, podniosłem kubek z krawędzi biurka.

– Chyba jednak się napiję – stwierdziłem.

Grzesząc w skrytości ducha pychą, z satysfakcją przełknąłem łyk chłodnej już, nieznośnie słodkiej ciecicy. Ewa zamierzała wyjść, ale zbierała się jeszcze na ostatnie słowo. Upredziłem ją.

– A dlaczego właściwie tak cię martwi to, że zamartwia się mną Nicholas? – spytałem.

Trafiłem w dziesiątkę. Złamała się.

– Nick... on jest mi naprawdę bliski, choć może o tym nie wie. Podziwiam jego wytrzymałość. Ilu stąd odeszło... niektórzy nadawali się tylko do ośrodka zamkniętego. On trwa. A twoja obsesja go przeraża, jest pewny, że twoje intencje nie są czyste. Zgadzam się z nim. Widzę to. Ostatni raz był w takim stanie, kiedy przywieźli tego potwora z Barcelony.

– Macie tu Nazario? – Prawie wyplułem kawę z powrotem do kubka.

Następną tajemnicę zdradziła tak bezmyślnie, ale ta nieco powstrzymała moją zapalczywą dociekliwość. Słyszałem wiele o Nazario, ten seryjny morderca napawał grozą każdego człowieka wiary. Oprócz demonstrowania typowych objawów opętania wykazywał szatańską, nomen omen, kreatywność. Znalazł świetny sposób, by bezcześcić jednocześnie święty symbol krzyża i swoją ofiarę...

Przeżegnałem się. Odruchowo.

– Cokolwiek cię tu sprowadza, cokolwiek cię napędza... skończ z tym. – Wykorzystała moją chwilę słabości. – Sam widzisz, że to miejsce nie jest dla ciebie.

Gdybym nie poświęcił tyle czasu mojej pracy, może nawet bym się z nią zgodził.

Obudziłem się w środku nocy – tak przynajmniej sądziłem, brak kontaktu ze światem nad ziemią zmieniał percepcję czasu. Nierealne obrazy rozwiały się i natychmiast uciekły z mojej głowy, ale ciało podpowiedziało mi, że śniłem o tym. O celu. Poczekałem, aż krew odpłynęła z miejsca, w którym nie powinna się znaleźć gdyby nie zdrotne sennie mary.

Traciłem panowanie nad sobą. Nie dało się zaprzeczyć. Miałem tylko nadzieję, że objawy nie wydostaną się poza domenę Morfeusza.

Siadłem na chwilę do komputera. Opętana nie zmieniała postaci w czasie mojego odpoczynku.

Nasłuchiwałem chwilę. Nicholas i ta jego Ewa pewnie myśleli, że nie zważałem na coraz częściej powtarzające się dźwięki wydawane przez ciężkie buty uderzające o posadzkę. Strażnicy kręcili się wokół mojego pokoju jak muchy. Nie zasługiwałem na takie traktowanie, ale jak mogłem liczyć na zrozumienie ludzi, którzy żyli w ciągłym strachu przed tym, nad czym sprawowali pieczę?

Drzwi rozsunęły się bezgłośnie.

światła na korytarzu były przyćmione, panował półmrok. Szedłem szlakiem zielonych diód, aż wreszcie przystanąłem przy wejściu do toalety dla personelu. Spojrzałem dalej. Gdzieś tam, przede mną, znajdowały się wschodnie cele. A w jednej z nich ona.

Namacalna, prawdziwa, mimo swej śmiejącej się w twarz logice natury.

Dlaczego mi to robiła?

Prawie podskoczyłem, gdy otworzyły się drzwi do łazienki. Wypadł z niej technik, David. Miał dziwny wyraz twarzy, na mój widok uciekł wzrokiem gdzieś w kierunku swoich stóp. Przypomniałem sobie zasłyszana rozmowę. Tej nocy to on miał czuwać nad spokojem w placówce.

– Dobry wieczór... – Spróbowałem się odezwać.

Wymamrotał coś, minął mnie i zaraz zniknął za rogiem.

Usłyszałem za mną kroki, nadchodził strażnik. Nie chciałem podsycać podejrzeń. Schowałem się w toalecie, gdzie nachyliłem się nad umywalką i zwróciłem moją skromną kolację.

Miotalem się po mojej klitce. Tak przepelniony wściekłością, że miałem ochotę dać ponieść się gniewowi, rozładować go na ekranie, na notatniku, na czymkolwiek. Tępa agresja jest zwierzęca, nie przystoi istocie ludzkiej. Tylko siła woli, którą wyćwiczyłem walcząc ze Złem wiele lat temu, pozwalała mi nie sprowadzić się do poziomu zwykłego bydłęcia.

Opętana chodziła po celi, bezwstydnie demonstrując kolejne wykrzywienie własnej cielesności. Jej oczy były ogromne jak spodki, zupełnie bez wyrazu i jakby ciągle zażawione. Błyszczały. Zielone włosy opadały do tyłu, na piękne, kobiece ramiona. Ciągle dotykała swoich absurdalnie ogromnych piersi, wsadzała sutki między palce. Czasem sięgała też niżej, chwytając monstrualnych rozmiarów penisa, suwając dłońmi po wiecznej erekcji. Jakby zdziwiona, że fallus tam jest.

Ja nie byłem. Znów powtarzała zapisane wzorce. I ponownie nie przeszła do tego, którego oczekiwałem. O który bym się modlił, gdyby to coś pomogło.

Czy chciała pozbawić sensu ostatnie lata mojego życia? Rzuciłem wszystko. Służbę Najwyższemu, do której mnie przygotowano i w której kiedyś się spełniałem. Wszelkie materialne dobra. Kościół mistrzowsko je gromadził i szczerze mnie nimi obdarowywał. Straciłem nawet kontakt z Bogiem, żeby pozbyć się wstydu za moje czyny.

I po co? Po to, żeby sprawdziły się me domniemania. Wiedziałem, że się nie mylę.

Sięgnąłem po notatki, szukałem wzrokiem żółtych zakreśleń.

żyjąca góra resztek? Chore wizje syna rzeźnika z jej rodzinnego miasteczka. Chłopak nabawił się niezdrowych obsesji na punkcie mięsa i gnicia już w dzieciństwie, gdy ojciec zabierał go wbrew woli matki do swojej pracy. Odkrył to przede mną jego psychoterapeuta.

Kaleka istota w masce z własnej skóry? Groteskowa nadinterpretacja fantazji nieletniej siostry właścicielki mieszkania w Hamburgu, które przez pewien czas wynajmowała przyszła opętana. Gdy nastolatka podrosła, spełniała swe sadystyczne potrzeby jako profesjonalna domina. Złamała zasady bezpieczeństwa. Zrobiła komuś poważną krzywdę i była za to sądzona.

A obecna forma? Cóż, jej współlokator z Berlina, ten, który potem zidentyfikował istotę znaną w opuszczonym bloku... pochłonął go Internet, a potem świat azjatyckich zbrodni. Jego porno-sny stały się japońską kreskówką.

Odnosiłem dużo więcej zbieżności, podążając śladami włóczącej się po Europie sieroty, która stała się abominacją. Dzięki uporowi dowiedziałem się, że przyciągała zwyrodnialców, że wykradała wytwory ich funkcjonujących nieprawidłowo umysłów... i, że potem je odtwarzała. Całą sobą.

Mój notatnik był tego pełen – wiedzy łatwo dostępnej dla każdego, ale wszyscy postanowili zapomnieć o tym przypadku. Dla własnego dobra.

Ja nie mogłem.

Dlaczego mi to robiła!?

Nagle drzwi się rozsunęły. Spojrzałem w ich stronę, ogarnęła mnie panika. W progu stał Nicholas, Ewa oraz drab z pistoletem. Zapewnie odbezpieczonym.

– Co tu się dzieje? – spytałem. – Naruszacie moją prywatność!

Dyrektor uniósł prawą rękę, jakby chciał mnie uspokoić... albo zatrzymać.

– Krzyczałeś – powiedziała Ewa. – Od paru minut. Wniebogłose.

Skamieniałem. Dosłownie, fizycznie nie mogłem się poruszyć.

Doszło do mnie, że mój czas w placówce właśnie dobiegł końca.

Zabrano mi narzędzia obserwacji, postawiono pod drzwiami strażnika, potraktowano mnie jak szaleńca. Jak mogłem zaprzepaścić jedyną szansę głupim wybuchem? Poświęciłem tyle, żeby móc tu wrócić. Byłem gotów wyjawiać mroczne sekrety działań Kościoła, byleby szantażem zmusić kardynała do otwarcia mi drogi do tego ukrytego przed ludzkością miejsca.

Stałem się żalonym cieniem, takim rodzajem grzesznika, który kiedyś był dla mnie najmarniejszym stworzeniem pod Słońcem.

Niewolnikiem.

Zwinałem się w pozycję embrionalną i zacząłem płakać.

Potem uciekłem w sen. Już tylko w krainie miraży mogłem osiągnąć swój cel.

Ocknąłem się. Wycie świdrowało uszy, myślałem, że zaraz stracę słuch. Bez wątplenia alarm, gdy to sobie uświadomiłem, poderwałem

się z łóżka. Włożyłem sobie notatnik pod pachę i ruszyłem w kierunku drzwi.

Wdusiłem przycisk. Bez skutku. Były zamknięte.

Nigdy nie miałem klaustrofobii, ale momentalnie poczułem się uwięziony, bez nadziei, ciasnota pomieszczenia mnie ogłupiała. Tak rozpuszczało rozum to miejsce.

Kiedy drzwi się rozsunęły, już miałem wrzeszczeć z radości, lecz powstrzymałem się. Zobaczyłem Nicholasa. Spoconego, bez marynarki, z poważnym wyrazem twarzy. I małym pistoletem w lewej dłoni.

– Idziesz ze mną! – krzyknął. – Mamy sytuację kryzysową!

Sapał głośno, marna kondycja nie pozwalała mu powiedzieć nic więcej.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Nie ma czasu... David... zwariował. Wpuścił do systemu jakiegoś wirusa, kurwa, te zabezpieczenia miały być nie do sforsowania! Jak mogłem być tak ślepy! Pracowałem z nim! – Poniosło go.

Ja znałem odpowiedź. Wystarczyło, że przypomniałem sobie dziwaczne spotkanie przed toaletą. Jego podwładny nie wytrzymał presji, poddał się obecności Złego, ale Abel tego nie zauważył. Był zbyt zajęty mną.

Pobiegłem za dyrektorem. Światła wariowały, zapalały się i raptownie gasły, jakbyśmy biegli przez szalejącą nocą burzę. Alarm cichł, aż w końcu zapadła cisza.

– Cele? – rzuciłem, oceniając sytuację za załomem korytarza.

– Otworzyły się gdy sukinsyn aktywował wirusa. Strażnicy próbowali zamknąć je manualnie, ale... z częścią straciliśmy kontakt.

– Dasz mi jakąś broń? – Poczułem się mało pewnie.

– żartujesz...

Zamilkliśmy. Gdzieś w oddali, w innej części kompleksu, ktoś głośno wrzasnął.

– System nie działa – Nicholas dodał, mierząc pistoletem w ciemność za rogiem. – Ale na górze jest jeszcze jedno, ostateczne zabezpieczenie.

– Winda... – Zacząłem rozumieć.

– W ciągu pięciu do ośmiu minut minie czas na ewakuację i zamkną się pancerne grodzie w szybie. Wtedy nikt z podziemi nie wyjdzie. Ani demony...

–... ani my – dokończyłem.

– Musimy znaleźć Ewę i uciekać.

– To czemu marnujemy czas na gadanie!?! – Nie mogłem już kontrolo-
wać nerwów.

Biegliśmy więc ile sił. Obraliśmy drogę przez pomieszczenie wypo-
czynkowe, nie mogłem nie zauważyć porzuconych w pośpiechu naczyń
i porozrzucanych kubków jednorazowych. W progu następnego pokoju
czekała nas przykra niespodzianka. Musieliśmy przeskoczyć przez ciało
strażnika. Coś zgmiotło jego głowę. Żarówki na chwilę zapłonęły pełną
mocą, jakby złośliwie chciały nam ukazać smugi krwi w całej ich okrop-
ności.

Przyspieszyłem. Zawładnął mną strach o własne życie.

Nie zauważyłem, że mój towarzysz z nadwagą został w tyle. Dopiero
jego ostrzeżenie sprawiło, że się odwróciłem.

– Nie tam! To korytarz prosto do... .

Nie dokończył. Prawidłowo odczytał moje zaskoczenie. Obrócił się
i w przeciągu sekund wystrzelał cały magazynek w zbliżające się mon-
strum. Bez rezultatów.

Szedł ku niemu, a raczej lewitował – bo unosił się kilka centymetrów
na podłogę – szczupły mężczyzna o południowej urodzie, martwym ob-
liczu posagu i czarnych jak węgiel, pustych oczach. Nazario. Wydostał
się. Był nagi, ale cały w czerwieni – brzuch, krocze, klatka piersiowa
opryskane krwią. Dorwał już kogoś. I nie zamierzał skończyć na jednej
oferze, świadczył o tym nóż w jego podnoszącej się coraz wyżej dłoni.
Abel zaczął się cofać, zbyt powolnie. Nazario runął na niego, zwałił go
z nóg.

Jednym ruchem przeciął gardło Nicholasa, wydając z siebie odgłosy
przypominające bulgoczący rechot i skrzeki ptaszyska rodem z dna Ot-
chłani nakładające się na siebie.

Nazario zdarł koszulę z dławiącego się własną posoką dyrektora.
Nóż, choć pewnie pochodził z kuchni, zaskakująco głęboko wrzynał się
w ludzkie ciało. Morderca wyciął w dogorywającym Nicholasie po-
szarpany znak krzyża. Z przecinających się ran tryskała krew, wyle-
wały się wnętrzności. W tak przygotowany punkt wejścia zanurzył się
jak w srom, dzika rozkosz zagościła na dotychczas nieruchomej twarzy.
Gwałcił jednocześnie symbol Zbawiciela i świeżego trupa.

Uniósł na moment głowę i myślałem, że to już koniec. Myliłem się.
Potwór oblizał swoje wąskie wargi, po czym wrócił do kopulacji. Nie
zwracał na mnie uwagi.

Ignorując mnie, otworzył mi oczy.

Jej reakcje, pogarszający się stan psychiczny personelu, szaleństwo Davida, wirus niwelujący wszelkie przeszkody. To nie był przypadek, nie istnieją takie zbiegi tragicznych okoliczności. A grzesznik nigdy nie stawał się niewidzialnym dla demonów.

Przyzywała mnie.

Korytarz oświetlało jasne, wręcz oślepiające światło, jakby żarówki eksplodowały czystą jasnością. Na końcu tej iluminacji czekało czarne serce otwartej i niezabezpieczonej celi. Tam była ona.

Miałem ochotę tańczyć. Eksplodować podnieceniem. Dziękować Panu nie przejmując się, że bluźnię. Wreszcie miałem stanąć oko w oko z obrazem, który nie opuszczał mnie od chwili, gdy zmierzyłem się po raz pierwszy z najbardziej osobliwą opętaną w historii.

Tak przynajmniej nazywali ją nieświadomi. Ja wiedziałem, że jest czym innym. Przeciwnieństwem diabła, którego chcieli w niej widzieć.

Uznałbym ją za świętą. Święte mięso, wydobywające z umysłów najgorsze pragnienia ludzi, na które się natknęło i przemieniające się cudownie w ich żywe odzwierciedlenie. Demaskujące najgorsze przewiny zanim jeszcze się dokonają, na poziomie bestialskich obsesji zżerających zepsute grzechem umysły.

Gdyby ktoś umiał to dostrzec, jakby zjawił się ktoś, kto mógłby śledzić jej ścieżki i interpretować ostrzeżenia, w które składała swoje ciało... to byłaby najskuteczniejsza broń przeciwko wpływowi Szatana, pewny sposób na oddzielenie sprawiedliwych od potępionych.

Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Na początku było parę zdjęć. Uczyłem się wtedy pilnie, gdyż przeznaczono mnie do walki z nowymi horrorami, powoływanymi do życia tu, na Ziemi, przez siły piekielne. Podejrzany przypadek, nawiedzona stygmatyczka, jej wizje graniczyły z herezją. Wiedziałem, że stykam się ze Złem. Ale kiedy oglądałem te drobne dłonie naznaczone chrystusowymi ranami, gdy zadziwiało mnie piękno jej twarzyczki kontrastujące ze ściekającą po niej krwią ze śladów po cierniowej koronie...

Zakochałem się.

Pożądałem.

Tak zrodziła się niedopuszczalna fantazja.

Śniłem wiele lat, skrywając w najgłębszych, najpilniej strzeżonych zakamarkach umysłu mój upadek. Posługa pochłonięła mnie, coraz gorsze dowody na działalność Szatana wśród nas odganiały wątpliwości, wy-

muszały skupienie się na pracy. Zdołałem wyprzeć moje pragnienie... dopóki w Berlinie nie trafiliśmy na nią.

Żaden z wspomagających mnie egzorcystów nie zorientował się, że bluźnierstwo, którym nas poczęstowała, pochodzi prosto z mojej głowy.

Po tym jak to zobaczyłem, nie mogłem już zaznać spokoju.

Wróciłem do tu i teraz. Zatrzymałem się na progu celi. Blask za mną zniknął w mgnieniu oka i znalazłem się w ciemności.

Trwało to tylko chwilę.

Padłem na kolana.

Jej ciało otaczała jaśniejąca poświata, aureola, promienie prosto z Niebios. Ramiona rozpięte tak, jakby nadal wisiała na krzyżu, ale śliczna twarz pozbawiona cierpienia. Z wyrozumiałością patrzyła na mnie, spojrzenie przeszywało duszę. Z przebitego boku wypływała gęstą strugą woda, opadała na posadzkę, usuwając wszelki brud. Jej piersi falowały, unoszone oddechem o sile cyklonu. Krew, która z początku oblepiała ją całą, oderwała się od skóry, wytrysnęła z ran ostatnią falą, rozbiła się na pojedyncze krople. Te zaczęły tańczyć wokół jej sylwetki, tworząc prawdziwy spektakl szkarłatu, połyskującą chmurę najświętszego płynu, który za nas został przelany.

Zobaczyłem ją po raz drugi w życiu, przez łązy wzruszenia graniczącego z ekstazą. Prawdziwy ideał. Doskonalszą wersję Zbawiciela. Piękno i moc, złączone w jednej, boskiej formie. Cud wcielenia.

Chciałem ją adorować.

Chciałem ją kochać.

Rafał Christ

OD 5:00 DO 9:00

Gdy wybija piąta nad ranem, rozmowa staje się sztywna, żarty poważnieją, alkohol wietrzeje, a ty stoisz na dachu swojego dwupiętrowego domku ze szklanką napełnioną whisky, chwiejąc się na nogach – to znak, że czas kończyć imprezę. Zastanawiasz się wtedy, czy jak spadniesz, to wstaniesz i pójdziesz dalej. Byłaby to dla ciebie dobra opcja, bo inaczej stoczysz się po schodach i wylądujesz między nogami jedynej kobiety, której w tym momencie nie potrzebujesz.

Tak rysowała się moja sytuacja. Jednym łykiem opróżniłem szklankę i cisnąłem nią w podjazd. Gdy szkło rozprysło się na wszystkie strony, zdecydowałem wybrać trudniejszą drogę na dół. Zostały mi cztery godziny do wernisażu. Jestem artystą-filozofem i wypadaloby, żebym pojawił się na własnej wystawie. Sztuka nowoczesna jest do bani.

Przecisnąłem się przez małe okienko i znalazłem w pokoiku na poddaszu, gdzie na łóżku leżała moja była dziewczyna. Była całkiem naga, a z dołu dobiegały dźwięki zbyt głośnej muzyki i rozmów znajomych.

– Było nudno – zaczęła Justyna – więc zakradłam się do twojej sypialni i pomyślałam, że moglibyśmy...

Wiedziałem, że nie powinienem, ale w spodniach od razu zrobiło mi się twardo. Tak bardzo brakowało mi jej ciała, chociaż po pół roku powinienem się przyzwyczać. Rozebrałem się i delikatnie ułożyłem się obok niej. Pieściłem piersi i całowałem usta, będące obietnicą nieba. Prawa ręka zesłała niżej, ale zamiast wilgoci natrafiła na suchość.

Wziąłem żel nawilżający z szafki obok łóżka i wtarłem w nią. Nie protestowała, a jej mina nie wyrażała zdziwienia.

– Spokojnie, poradzę sobie – powiedziałem.

– Wiem, Rafale – Lubiła wymawiać moje imię.

Po chwili była gotowa aby mnie przyjąć w tym jedynym rytuale, w którym mężczyzna może upodlić kobietę, a ona będzie z rozkoszą krzyczyć jego imię. Tak też się stało. Jęczała od początku do końca, krzyczała, wzdychała, zmieniliśmy pozycję, znowu to samo... Co ja pie-

przę. Od tygodnia nie żyła i strasznie śmierdziała na tym łóżku. Mimo to wciąż nie byłem w stanie jej się pozbyć. Bałem się tylko, że fetor przyciągnie tu imprezę złożoną z ludzi, których znam, ale chciałbym nie znać; lub tych, których nie znam i wcale nie chcę poznać.

Zszedłem po schodach na pierwsze piętro. W powietrzu unosił się zapach seksu. Jedna wielka orgia. Mężczyźni z kobietami, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami. Przechadzałem się po długim hallu, próbując wybrać jedne z wielu znajdujących się tam drzwi. Pięć z nich prowadziło do pokoi z łóżkami. Lubiłem to. Wyznaję zasadę „po co siedzieć, jak możesz leżeć”. Mogę sobie na to pozwolić, jestem bogaty.

Nacisnąłem klamkę trzecich drzwi z rzędu i wszedłem do sypialni. Była tam Aśka, ujeżdżająca jakiegoś faceta. W ciemności widziałem tylko zarys jej podskakujących włosów piersi, długich włosów i idealnego ciała, którego nie powstydziliby się Afrodyta. Nawet mnie nie zauważyli, co było mi na rękę.

Podszedłem do biurka stojącego w kącie. Z dolnej szuflady wyciągnąłem czarne pudełko, a z niego wyjąłem brzytwę. Podszedłem do mężczyzny. Miał zamknięte oczy, a kobieta, widząc ostrze, uśmiechnęła się do mnie i wskazała mi jego szyję. Zrobiłem dokładnie to, czego chciała.

Patrzyliśmy razem jak facet łapie się za gardło, próbując powstrzymać krwawienie. Aśka zaczęła krzyczeć z rozkoszy. Podejrzewam, że doszła dokładnie w momencie, w którym wyzionął ducha. Zeszła z niego i zepchnęła ciało na podłogę. Miał drgawki pośmiertne, a ja upuściłem brzytwę.

Ułożyła się wygodnie i rozchyliła nogi, pozwalając mi w siebie wejść. Jeszcze tam nie byłem, ale zapowiadało się przyjemnie. Miałem rację. Wchodziłem w nią raz po raz, a ona zaczęła mówić.

– Kiedyś przyszło do mnie trzech hydraulików, mimo, że żadnego nie zamawiałam. Zaprowadziłam ich do kuchni. – Uderzyła mnie pięścią w nos. – Zamiast zajrzeć do rur, jeden mnie rozebrał. – Znowu zadała cios, po mojej twarzy spływała krew. – Drugi podstawił mi fiuta pod twarz, więc zaczęłam ssać. – I ponownie mnie walnęła, ułamała mi zęba, wyplułem go. – Trzeci wsadził mi kutasa w cipę. – Sierpowy, zabolala mnie szczeka. – Wtedy ten pierwszy ustawił się i wsadził mi w dupę. – Znów w nos. – Nie protestowałam. Czekałam, aż dojdą na mojej twarzy i wtarłam ich spermę. – Dłonią zmyła trochę krwi spod mojego nosa i rozsmarowała sobie na twarzy. – Podnieciło cię to?

Nie tyle podnieciło, co nagle poczułem zazdrość. Musiałem się wy-

ładować. Też zacząłem bić ją po twarzy. Po dwóch ciosach jej jucha mieszała się z moją, ale nie przestawałem. Nagle sięgnąłem dłonią ku podłodze i chwyciłem brzytwę, ale, niestety, za ostrze. Krew pociekła mi z palców, ale nie przejmowałem się tym.

Zauważyła błysk w mojej ręce o spojrzała mi prosto w oczy z całkowitym zaufaniem, jakby chciała tego. Chwyciłem jej sutka w zęby, odchyliłem głowę i odgryzłem go. śmiała się, co bardzo mnie zirytowało. To samo zrobiłem z drugim. Chichot nie ustawał.

Chwyciła mojego penisa i wyciągnęła z siebie. Ustawiła się na czworaka. Wszedłem w jej odbył, a ona nie protestowała. Złapałem ją za włosy i przyciągnąłem do siebie. Przystawiłem usta do jej ucha.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Zrób to! – krzyknęła.

Brzmiało to wystarczająco przekonująco, więc grzecznie poderżnąłem jej gardło. Krew wypływała z jej ust i szyi, a ja doszedłem. Niezła noc, to już drugi raz.

Gdy padła bez oddechu, odwróciłem ją na plecy. Chwyciłem jej lewą pierś i zrobiłem nacięcie godne chirurga. Wsadziłem do środka rękę i wymacałem potrzebny mi organ. Wyciągnąłem czerwone serce. Zostawiłem dwa ciała i wyszedłem z pokoju. Nadszedł czas złożyć wizytę gościom.

Zszedłem na półpiętro. Widziałem wszystkich. W wielkim salonie bawiło się przynajmniej czterdzieści osób. Muzyka była zbyt głośna i syntetyczna, żeby pogadać. Nienawidzę dubstepu.

– Witam was – krzyknąłem.

Wszystko ucichło. Ludzie przyglądali się mojej zakrwawionej twarzy, sercu w prawej dłoni i brzytwie w lewej.

Znalazłem się na dole. Zrobili mi przejście. Podeszedłem do barku i nalałem sobie whisky. Odłożyłem brzytwę, wziąłem łyka. Nagle zobaczyłem Kubę. Zbliżyłem się do niego, Chyba przerwałem rozmowę z jakąś laską. Podałem mu serce. Przyglądał się mu przez chwilę.

– To twojej dziewczyny – oznajmiłem.

Nie wiedział co zrobić.

– Jest na piętrze. Trzecie drzwi po lewej.

Pobiegł tam. Reszta gości szukała drogi ucieczki. Cieszyłem się, chciałem, żeby zniknęli z mojego życia. Biegali jak szczury w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. To chyba dlatego, że wcześniej włączyłem mechanizm barykadujący wszystkie drzwi. Napierali na nie, ale nie mogli nic

zrobić. Ktoś rzucił krzesłem w okno. Nic się nie stało. Szkło było pancerne. Spokojnie dopiłem alkohol i wlałem sobie więcej.

Usiadłem na schodach i patrzyłem jak trują się nawzajem. Ktoś kogoś uderzył, ktoś inny znalazł brzytwę i ruszył w moją stronę. Nie znałem go. Potężny mężczyzna w garniturze i o morderczym wyrazie twarzy przystawił mi ostrze do gardła.

– Wypuść nas, bo cię zabiję – groził mi.

– Jeśli mnie zabijesz, nigdy stąd nie wyjdziecie.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem trzy razy do przeciwnika. Upadł na podłogę. Ludzie panikowali jeszcze bardziej.

Pochyliłem się nad trupem i wyciągnąłem mu brzytwę z dłoni. To była pamiątka, nie mogłem mu jej zostawić. Przyszedł czas na zastanowienie się co zrobić z resztą. Najprościej byłoby wystrzelać, ale jaką miałbym z tego przyjemność?

Zobaczyłem w tłumie Natalię. Patrzyła na mnie tak, jakby nic jej nie zagrażało. Pewnym krokiem podszedłem do niej. Odgarnąłem burzę brązowych loków i wyszeptałem jej do ucha:

– Przez piwnicę można stąd wyjść. Zaczekaj tam na mnie.

Palcem wskazałem drogę. Grzecznie oddaliła się w tym kierunku i zniknęła za drzwiami. Przed pójściem za nią chciałem jeszcze coś zrobić. Uniosłem broń i strzeliłem w sufit.

– Słuchajcie. Za dwie godziny zaczyna się wernisaż, na który wszyscy jesteście zaproszeni! Nie może was tam zabraknąć! – wykrzyczałem.

Uchyliłem się przed ciosem wymierzonym w moją głowę, a zadany kijem baseballowym. Uderzyłem napastnika pięścią w brzuch. Skulił się z bólu i upuścił kawałek drewna.

– Nie próbowałbym takich manewrów – stwierdziłem.

Wyprowadziłem kilka ciosów. Złamałem mu nos, wybiłem parę zębów. Był osłabiony, więc chwyciłem go za fraki i zaniósłem na półpiętro. Z sufitu zwisała pętla, którą błyskawicznie zawiązałem mu wokół szyi. Kopnął mnie, próbując się wyrwać, więc wpakowałem mu kulkę w lewe kolano. Szamotał się bezsilnie, gdy uchodziło z niego życie.

Wyciągnąłem z brzytwę z kieszeni i podniosłem go za nogi. Łapczywie chwycił powietrze. Zdjąłem mu buty i odciąłem mu po kawałku z każdej stopy, najpierw jednej, potem drugiej. Ból musiał być okropny. Wbiłem ostrze w jego brzuch i przeciągnąłem kawałek. Z jego wnętrza wyleciały jelita. Wsadziłem do środka rękę, potrzebowałem nerki. Zna-

lażem ją po chwili. Co dziwne, wciąż oddychał. Wola życia niektórych osób nadal mnie zadziwia.

Nacisnąłem przycisk na ścianie. Z kąta wziąłem parasol i zakryłem się. Stryczek, wraz z wiszącym na nim mężczyzną, przejechał na środek salonu. Zatrzymał się pod wiatrakiem, który dopiero się rozpedzał i zaczął wciągać linę. Nagle głowa wisielca dotknęła wirujących z zawrotną prędkością śmigieł. Poszatkowało biedaka. Na resztę gości spadły jego flaki i krew Ci, którzy przeżyli histeryzowali i wrzeszczeli coraz głośniej. Ciągłe biegali w kółko bez celu.

To zabawne. Pojawia się ktoś tak chory jak ja, a kilkadziesiąt ludzi, zamiast rzucić się na niego i spróbować go unieszkodliwić, usiłuje uciekać. Mi to akurat na rękę, ale co oni z tego mają, to nie wiem.

Zamknąłem parasol i przypomniałem sobie o nerce w mojej dłoni. Rozejrzałem się po salonie. Zobaczyłem ją. Nie biegła, czekała spokojnie. Jej długie, pofalowane blond włosy delikatnie opadały na ramiona zakryte czerwienią balowej sukni. Wyglądała przepięknie. Zbliżyłem się i pocałowałem ją. Nie opierała się.

Chwyciłem jej dłoń i poszliśmy do kuchni, dziwnym trafem pustej. Posadziłem ją przy stole, położyłem przed nią talerz, a na nim nerkę.

– Zjedz to – rozkazałem.

Posłusznie chwyciła mięso i zaczęła je żuć. Ja w tym czasie przeciąłem brzytwą ramiączko jej sukienki i bawiłem się piersiami. Odciąłem sutka, rzuciłem na talerz. Wzięła go do ust zanim przełknęła pierwszego kęsa nerki. Pomogło jej.

Podniosłem ją, ściągnąłem spodnie i usiadłem na jej miejscu. Zaczęła mnie ujeżdżać, nie przerywając jedzenia. Rozciąłem jej brzuch, jak na moje oko bardziej zaokrąglony niż powinien. Ucieszyłem się. Wyciągnąłem z niej ledwo rozwinięty płód. Nie zareagowała. Położyłem go na talerzu. Skrzywiła się, ale go ugryzła. Nie przestawała po mnie skakać. Trzymałem ją za zrobioną przeze mnie ranę i w mojej dłoni lądowało wszystko to, co połykała, a ja nakładałem to ponownie. W końcu doszedłem i znudziłem się. Zabrałem dłoń i czekałem aż umrze.

Trwało to kilka sekund, a ja wciąż w niej byłem. Uniosłem ją, wstałem i posadziłem z powrotem na krześle. W jej dłonie wsadziłem sztucce. Z talerza uśmiechał się do mnie kawałek płodu. Ciekawe jak można to zinterpretować?

Wyszedłem z kuchni. Powoli już mnie to męczyło, ale przedstawienie nie dobiegło jeszcze końca. Pokryci krwią i wnętrznościami ludzie

uspokoili się. Kobiety łkały cicho, a mężczyźni próbowali rozbić okna.

– Z poddasza można dostać się na dach. Może tam znajdziecie sobie jakąś drogę ucieczki – podpowiedziałem im i ruszyłem do piwnicy.

Gdy tylko stanąłem na pierwszym stopniu, wymacałem przycisk na ścianie. Nacisnąłem go. Do zapalonej już żarówki dołączyła druga, która pozwoliła mi zobaczyć Natalię szarpiącą się z drzwiami. Do moich uszu dotarły dźwięki dochodzące z podjazdu. Cieszyłem się, znaczyło to, że maszyna działa.

– Mówiłeś, że można stąd wyjść! – krzyknęła Natalia.

– Można – powiedziałem.

– Jak?

– Wystarczy... – wyciągnąłem klucz z kieszeni – mieć to.

Rzuciła się na mnie, ale zdażyłem zrobić unik.

– Daj mi go! – krzyknęła.

Klucz wsadziłem sobie między wargi. Złapałem ją za koszulę, przytrzymałem do siebie i pocałowałem. Nasze języki złączyły się, a mój przekazał jej bezduszny metal. Odsunąłem się i zatkałem jej usta.

Wtedy usłyszeliśmy pierwsze płasnięcie. Ktoś skoczył. Pomimo niewielkiej wysokości, nie mógł przeżyć. Otóż przycisk, który wcisnąłem, powodował, że w momencie położenia nacisku na elegancką kostkę brukową wychodziło z niej kilkadziesiąt ostrzy, powodując natychmiastową śmierć nieszczęśnika uruchamiającego swym upadkiem pułapkę

Natalia połknęła klucz. Zabrałem rękę. Próbowła zmusić się do wymiotów, ale ją powstrzymałem. Wsadziłem jej brzytwę w dłoń. Spojrzała na mnie. Drugie, trzecie, czwarte płasnięcie. Uśmiechnąłem się.

Kobieta wiedziała czego od niej oczekuję, ale odrzuciła ostrze, rozpięła mi spodnie i uknęła. Podniosłem ją, ubrałem się.

– Nie zdażymy.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Wtedy do piwnicy wpadł rozszalały tłum. W ich oczach widziałem chęć mordy, skierowaną ku mojej osobie.

– Zanim cokolwiek zrobicie... Moja partnerka – wskazałem Natalię – ma w żołądku klucz do drzwi, które prowadzą na powierzchnię.

Kobieta przyłgnęła plecami do ściany, a ja uniosłem brzytwę. Tłum rzucił się na nią i zaczął rozrywać gołymi rękoma. Przedostając się na schody, podrzynałem gardła niektórym osobom. Wybierałem je losowo, nie miało to większego znaczenia.

W połowie drogi odwróciłem się. Zobaczyłem, że jakiś mężczyzna wyciągał z krzyczącej Natalii jelito.

– Gdzie to kurwa jest? – wrzeszczał.

Stanąłem przy drzwiach prowadzących do domu.

– Moi mili, wystawa zaczyna się za pół godziny – oznajmiłem.

Zgasilem światło i wyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Nie mieli szans na ucieczkę. Wyciągnąłem papierosa i przypaliłem go. Zaciągnąłem się. Wdusiłem przycisk po lewej stronie. Do piwnicy wleciało trochę dymu. Pewnie kilku to zaczadzi, ale cóż, trzeba wyrównać szansę, a raczej pozwolić wygrać tym, którzy zapłaca.

Dochodziła dziewiąta. Wyszedłem na zewnątrz. Ściana blokująca drzwi zniknęła po wciśnięciu kolejnego przycisku. Poszedłem na podjazd i skończyłem papierosa, patrząc na cztery rozplaszczone ciała. Udało mi się to.

Wróciłem przed główne wejście, nad którym wisiał szyld z napisem:
NOWA WYSTAWA RAFAŁA CHRISTA. TYLKO DZISIAJ!

Zobaczyłem, że goście już się schodzą. Każe im zwiedzać od góry, a gdy będzie wystarczająca ilość otworzę drzwi do piwnicy. Ciekawe kto wygra. Garstka desperacko pragnących się wydostać potępieńców czy ci w garniturach. Zatoczyłem się pijany i uścisnąłem dłoń kilku sponsorom. Nie wiedzieli co ich czeka.

Rafał Kuleta

PORNOPOLIS

Przecież musi być w tym mieście jakieś miejsce, coś, gdzieś, gdziekolwiek, gdzie mogę się zgubić, zatracić, a potem znaleźć siebie ponownie, żeby choć trochę zasmakować swojego człowieczeństwa, dać upust męskości, cieszyć się, radować, przeżywać, może nawet – a co tam! – skakać z radości. Chyba mam, do cholery, prawo do miłości!? Co z tego, że nie będzie to miłość bezinteresowna, czysta, w pełni spełniona, natchniona? Co z tego? Jestem gotów zapłacić, byle potaplać się w błocie siebie i doświadczyć złudnej ułudy, że pożądam i jestem pożądany. Wtedy osiągnę pełnię, spełnię się. Będę znów mężczyzną. Teraz jestem zaledwie, ale tak tylko ledwie, nawet nie zasługującym, bo niby z jakiej paki, wyłącznie pożałowania godną, eunuchowatą, impotencją pseudowywłoką, wywłokiem, odwłokiem, pancierzem, betonem, ochlapłym ochlapusem, który nie ma prawa do niczego. A już najmniej do miłości. Przynajmniej w *jej* mniemaniu.

żenada. Po prostu żenada i żałoba. Ale to ja jestem żenadą w żałobie sosu z własnego siebie. Wstyd mi, po prostu wstyd. Hańba. Nic dodać, nic ująć. Włóczę się po pustych ulicach bez celu, bez widoków na przyszłość, samotny, nie pasujący do tego otoczenia, kontekstu. Nawet chodniki chodzą w równoległych parach. Co z tego, że czasami się rozchodzą, kiedy potem ponownie się schodzą, jakoś wiążą koniec z końcem. Zdarzy się, że zapełniają się masami ludzi spieszących tam, nazad i jeszcze raz tam. Ale jeśli chodzi o chodniki, to nie ma zbyt wielu uchybień, i niechybne to, że nigdy nie są samotne. Co jakiś czas mijam kobiety-astry, gwiazdy nocy, które rozdzielają się na nieskończoną ilość gatunków o ponętnych kształtach, powabnych myślach i podniebnych marzeniach. Każda kobieta-kwiat tak samo piękna w nieokreśloności, tajemniczości, zmysłowości. Nie widzę zbyt wyraźnie twarzy, jesień nieubłaganie ściąga woal mroku na ziemię, zasłania to co istotne, to co czai się w oczach, pod oczami, głęboko w czaszce, grocie pełnej zmyśleń, przemyśleń, niemyśli i nibybadźmyśli. Lecz nie muszę widzieć twarzy,

bo po co? Wystarczą mi kształty lub bezkształty, perfumy unoszące się potajemnie, zwiewnie. Mogę sobie powdychać, popatrzeć, podziwiać, nawet zagadać, licząc na jakiś przelotny, nie wspominając nic o zalotnym uśmiechu. Ale to też wszystko na nic, bo i tak żadna dupa mnie nie chce, choć mam wszystko. Zaspokoilibym każdą pochwę, każdą macicę, rozłechtalbym i wychłęptał każdą lechtaczkę, wypełniłbym każdy otwór, który by się dla mnie otworzył. A gdyby nawet się nie otworzył, to sam bym tak delikatnie rozwarł i posmakował, rozsmakował się, i siorbał delikatnie, tak jak smakuje się najsmaczniejsze ostrygi.

Czy tak wiele chcę? No pytam się, siebie, przestrzeń wokół, nawet obojętnie znikającą bryzę, na pozór zagubioną, tak melancholijnie, dla niepoznaki, bo zawsze odnajdującą się i świetnie czującą się w najbardziej beznadziejnej sytuacji, w najlichszej kondycji, w szpiku wymrożonym i w schłodzonej, zastygłej w wysuszonych kanałach żylnych krwi. Może zbyt wiele wymagam? Chcę przede wszystkim dawać przyjemność. Więc czy nie mogę liczyć na to samo? Czy nie mogę pragnąć? Nie mogę marzyć? Dlaczego wszystko przecieka mi przez palce, jak sperma, która zmusza mnie do znalezienia mastermasturbatorowego wyjścia w samogwałcących się ujściach po przejściach i zejściach z codziennej frustracji? Kurwa, o kurwo, gdziekolwiek jesteś, czy nie widzisz, o pizdojebna pani, że ja już tak dłużej nie mogę?!

Ulice kręcą się w kółko, powtarzając mantrycznie te same chaotyczne różańce zakrętów, skrętów, szemranych przekrętów za załomami załamanych ścian. Karuzele rynien, rutyny ścian, promienie zgaszonych szyb. Pojawiają się znów jakieś kobiety, tym razem zwykłe, nie gwiazdy: te takie z zakupami, z wózkami, panie, matrony, matki wracające z pracy, z przedszkola, spieszące, szpilkujące, kozaczkujące do domu. Ślepo posłuszne rozwalonym w fotelach, na kanapach, na tapczanach, na Ikeagennych siedzeniach wszelkiej maści, dobrobytu, kolorytu i faktury, mającym centralnie wszystko w dupie, odanalnym zwłokom ich mężów. O uwalona-do-potęgi-entej-srentej-dziwko! Jaki świat jest niesprawiedliwy! Jego odwłok wydała z siebie takich nieczułych pojebów, którzy za nic mają kobiecą poezję, i wiąże z nimi bóstwa opromienione, istoty zwiewne, eteryczne, tracące przy nich z roku na rok swój powab, blask, lśnienie. Ale co tam! Stabilizacja jest, na koncie jest, od czasu do czasu ruchanko, jebanko, jak-się-coś-nie-podoba-to-wypierdalanko i wszystko gra! ład i Porządek. Ordnung muss sein. Zwłoki obrastają tkanką, wypełniają się bulgocącymi oponami, opasującymi opasłe bębny, a oni ła-

dują w nie jeszcze więcej i szybciej smażonego, pieczonego, ekstrasyca-
cego, z tłuszczu, ze smrodu, z przypalanej spalenizny, prionowej suro-
wizny, niedoprawionej golizny, by oklapnąć, zkapcieć, zpantoflować się
oraz zwisnąć przed Telewizorem-Bogiem i pogrążyć się w odmóżdżają-
cej modlitwie. Oj, ile on by dał za to, by choć na echo chwili znaleźć się
na ich miejscu. Ile by dał za to, żeby też mieć przy sobie taką boginię.
Całowały ją od stóp, od samych koniuszków palców, od końców pa-
znokci wymalowanych na kolor gorącej krwi tętniącej w jego wygłodzo-
nych, wymrożonych, nieczułych już żyłkach aż do gałek ocznych. Stracił
swoją szansę. Żyły zmieniły się w żyłaki, w zakrzeporopniaki, grzybo-
zombiaki, w cienie rozczmychane, miotające się bez celu, bez zasad, bez
reguł, bez różnic, czołowo zaprzeczających sobie przecznic. Teraz nie
oczekiwało go nic. Co najwyżej sodoma rozpaczy, gomora bez treści i ro-
snąca w dół Wieża Babel beznadziei.

oIo

Odstawiła się i wystawiła. Wypięła i zmięła jego wzrok bez skrupu-
łów. Podkreśliła się i pokrzyżyła biodrami. Prężnie, zameżnie, bajecznie,
tanecznie, z nutą nonszalancji, bajerancji, koronkowo-lateksowej ekstra-
wagancji, prawie że boskiej zmysłowości.

Znowu, jęknął w myślach, ale nie dał nic po sobie poznać. Niewidzial-
nym plastrem przykleił sobie uśmiech i spojrzął na nią „rozanielonym”
wzrokiem.

– Podobam ci się?

– Bardzo – nie skłamał, ale... nie dzisiaj, proszę!

Przewróciła się na brzuch jak dobrze rozgrzana, gorąca naleśniczka.
Wypięła prowokacyjnie pośladki.

– A teraz?

Przysunął się do niej, dotknął jej syjamskich zaokrągłeń. Bardziej
z obowiązku niż z realnej potrzeby. Wirtualny seks? Na każde zawo-
łanie! Realnie nie czuł tego samego prądu, który być może ona poczuła.

– Bardzo, zaraz cię zjem – wydeklamował, miał nadzieję, że prawid-
łowo wyakcentował i właściwie odgrywał rolę. Może uda się coś ugrać.

- No to zjedz mnie, jestem gotowa.

Rzucił się na nią jak mors na plażę. Aż sapnęła: z wysiłku i z poświę-
cenia. Ale się uwaliłem, pewnie jej niewygodnie. Przecież sama tego

chciała! Dobrze, zacznijmy wreszcie grać. Padam na ryj ze zmęczenia. A ta jeszcze czegoś ode mnie chce.

Pokrył ją.

– Ej, nie zapomnialeś o czymś?

Westchnął i sturlał się z łóżka. Mors stawał się coraz bardziej ociężały. Podeszedł do szafki, wyjął pudełko prezerwatyw. Wyciągnął kwadratowy, błyszczący bilet, przepustkę do spokojnego, bezproblemowego szczęścia, do pańienek na zawołanie, na wyciągnięcie lewej ręki i kliknięcie prawą.

–Pobudź mnie – poprosił. Jego męskość na przekór postanowiła trochę pospać. Wszystko takie nudne, monotonne. Zero perwersji. Można więc na chwilę wypocząć. Już wiedział, że wcale nie na chwilę, i że dzisiaj najzwyczajniej w świecie nie da rady.

Spoglądała na niego z budzącym się z podświadomości zażenowaniem. Zażenowanie ciekawie wyjrzało, przeciągnęło się i rzuciło się do dzieła. Najpierw oczy. Radość w jej oczach zgasła, roziskrzone ogniki rozpierzchły się, pozostała maska. Błyskawicznie odwróciła się do niego plecami. Zażenowanie szybko wyskoczyło z oczu i wskoczyło do jej ust. Język coś tam się powiercił, pomlaskał, tak wewnętrznie, w sobie, nie wychylając nawet kubków smakowych, bardziej pogłaskał, popieścił podniebienie, niż się zdenerwował, może jednak trochę się rozdrażnił, ale nie ważne.

Dotknął jej ramion.

– Zostaw mnie. – Zniechęcenie w głosie.

– Chodź, spróbujemy. – Prośba, udawana czy nie, zawsze jednak prośba.

– Ile już próbujemy? – Poderwała się nagle i zbliżyła na odległość intymnego, rozpalonego oddechu; jednak w tym wydaniu bardziej bezdechu, zapiętego aż do granic ścięcia się, przekraczającego normy snięcia i wciąż iskrzącego, buzującego, aż do przepięć sieci myśli, uczuć i wewnętrznień. – No powiedz, ile?

Milczał.

– Powiedz, ile razy kochaliśmy się od początku naszego małżeństwa? No ile? Ile razy mnie zaspokoiliś? Ile?

Podniosła lewą dłoń i rozcapierzyła palce.

– Wystarczyłaby ta dłoń.

Dotknęło go to do żywego. Jakby ta dłoń się w nim zanurzyła, ścisnęła i pokręciła, mieląc, miażdżąc, dziabiąc i szamocąc.

– Nie przesadzaj.

– Co nie przesadzaj? – Gotowa była walczyć o racje, czuł to, wibracje jej dźwięków sprawiały – a już one umiały się o to zatroszczyć – że głos stawał się coraz bardziej stanowczy, oschły, bezosobowy. – Ile razy rzuciłeś się na mnie? Ile razy mnie pragnałeś? Ile razy pożądałeś?

– Przecież było dobrze. .. – Próbował nieśmiało, ale od razu go ścięła.

– Było dobrze dla ciebie! Myślisz, że jak tylko się spuścisz, to zadowolisz kobietę?

Nie wiedział co odpowiedzieć. Świat pękał, jeszcze trzeszczał w szwach, ale już zaraz ponownie się rozpadał.

– Nie chcę więcej tego robić! – krzyknęła, frustracja przerosła zażenowanie, zarosła wielką, kosmicznie epicką kulą w jej ochryplym z psychicznego zmęczenia głosie. – Nie z tobą! Słyszysz? Nie chcę! Nigdy więcej!

Zarzuciła na siebie szlafrok i wybiegła z pokoju do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Tam zaspokoila się łzami, palcami, strużkami bezwiednie spływającej po niej i z niej wody.

oIo

Żałował wszystkiego. Żałował, że się w ogóle spotkali. Żałował każdej straconej z nią chwili. żałował, że nie potrafił inaczej.

Przecież mógł ją zadowolić. Na milion sposobów. Dlaczego tego nie zrobił? Dzisiaj jadłaby mu z ręki. Byłaby na każde jego zawołanie. Dlaczego nie potrafił się odblokować? Dlatego, że jej nie kochał? Tak mu zresztą na każdym kroku wmawiała. Bzdury, kochał ją bezgranicznie. Tak, romantyzm, bajerantyzm, riwiera frajera. Kogo chciał oszukać? To była tylko miłość duchowa, platoniczna. Nie fizyczna. W reprezentowanym przez siebie rodzaju miłości tkwił na poziomie podstawówki. Jej słowa. Wryły się w niego. Zakodowały. I nie potrafił wyrwać się z ich nawiasów, zawiasów cytatu, wyroku w pełnym wymiarze etatu. Zablokowała go śmiechem, złością, wściekłością, ale przede wszystkim cholernie celnymi, ostrymi jak zgryz brzytwy, kłującymi szpilkami-słowami o mocy rażenia inkantacji voodoo. To przez nią nie potrafił przejść na kolejny poziom. Nie potrafił otworzyć się na głębsze, doroślejsze, dojrzałe doznania. Nie potrafił przełamać się, tak wpół, żeby aż zaskrzypiało, zawiąło, zawyło i zabolowało. Nie potrafił połamać schematu, który mu narzuciła. Nie potrafił tego i tamtego, coraz bardziej ograniczany jatką

słowną, kontekstualną, podtekstową, którą szatkowała go na każdym kroku. Tkwił w rozgotowanym, rozmemłanym, rozmiękłym metamarazmie, coraz głębiej wchłaniany przez jamochłony jej słów, i sam osobiście doprowadził siebie do katastrofy.

A przecież było już tak dobrze.

oIo

– Wchodzimy?

Stali przed drzwiami do sex-shopu, przy jednej z ruchliwszych ulic miasta.

– Czemu nie? – Zgodził się, na granicy subtelnego zawahania, więc bez ceregieli wciągnęła go do środka.

Czerwono-biało-czarne, podniecające wnętrze pełne gadżetów i seksu unoszącego się w gęstym od chuci powietrzu. Czuł, że się pobudza, a o to przecież chodziło. Wzrok zasnuła mgła i w jednej chwili postanowił pójść na całość.

Zrobili całkiem spore zakupy. Wystarczyło wcielić fantazje w życie.

Lubiła prowokować. Może nawet nie chodziło o to, by prowokować, ale żeby ich uratować. Ale czy była jeszcze jakaś szansa? Szanse w równoległej przebiegającej rzeczywistości, tak na wysokości poziomu dobrze odbieralnych myśli, stały i opierały się prowokacyjnie o wirtualne ściany złożoności i skomplikowania relacji przeszłych, zaprzeczonych, jak i całkiem bieżących, czyli niebyłych.

Koronki przeplatają się z siateczkami, z drobnymi wstążeczkami, które samym wyglądem-postawą prowokują, ustalają reguły gry, wyznaczają zasady, którym brak żelaznej dyscypliny, więc raz odgrywają rolę dominującą, raz uległą. Teraz bezwzględnie dominowała. Przecierała go przez szlak ukradkowych spojrzeń, drobnych znaczeń gestów, ruchów, dyktowała klimat, w który pragnęła go wdrożyć, włożyć jak do formy pewnych określonych zachowań, które dalej wyznaczyłyby im wzorce postępowania dla uzyskania rytmu niezbędnego do oddania się nieskrępowanej, wyzwolonej z tabu miłości. Lateks zlepia się ze skórą, powoduje swędzenie krzyczące o więcej, o pełniej, o trwalej, bardziej pożądanym, bez norm, statutów, paragrafów, w pełnej swobodzie wymiany erotycznie zaszczytnych uniesień.

Chwila zawahania. Chlamydia chybotliwych myśli.

What the fuck?

Nektar zwiędł. Wewnętrznie rozszumiane liście rozdwoiły się, rozszczepiły, osunęły bezwładnie. Spadły z łodygi. Drzewo rozkorowało się i oklapło bezwiednie.

Co się dzieje? – pytają jej oczy. Powieki pokrywają się pęcherzykami przeczuć pękających najgorszym odkryciem braku złudzeń. Na zawiedzionych rzesach rozrasta się rzesistkowica. Pieniste upławy spływają z białek gałek ocznych. Początek furii. Koniec końca tolerancji. Rzesistkowica jej wściekłości przeskoczyła na niego i zaraziła zdrowy instynkt, zakaziła koncentrację, sparaliżowała żar tłących się jeszcze cudem uczuć, zgasiła pożar złożonego w łożysku pożądania. Białawy wyciek bezwoli z cewki moczowej sterroryzował go i obezwładnił.

Nic się nie dzieje. Stek kłamliwych wyrzeczeń. Przebiła je jak masło. Jego wzrok spróbował rozkojarzyć ją, rozproszyć, oderwać jej oczy od siebie, rozrzedzić, rozcieńczyć wizję, która go wchłaniała i kastrowała. Po prostu nie robisz tego tak dobrze jak te wszystkie magiczne istoty wyzierające z magicznego pudełka. Kiedy śpisz. That's all, baby.

– No i co jest? – Dalej chlastała go spojrzzeniami. – Przecież robię wszystko tak jak lubisz. Dokładnie według wytycznych twoich zachcianek, tak? Twoich skrytych perwersji, tak? Jak ty to nazywasz? Twoich fetyszy, no, twoich fetyszy. Wszystko robię.

Coś jest nie tak. Nie to ułożenie ciała, nie to zachowanie, nie te ruchy. Niby ubranie jest, dodatki są, światło lampy prześlizgujące się po śliskim, wdzięcznym wdzianku, ale coś jest nie tak. Nie tak jak co? No, coś bardzo, ale to bardzo jest nie tak. I nie teraz. Może chodzi o ciebie? Nie. Przecież podniecasz mnie jako żona. Podniecasz mnie. Nie. Wmawiam sobie tylko. Z przyzwyczajenia. Ze strachu. Z obawy, że coś mija, może i bezpowrotnie. Minęło. Podnieca mnie co innego. Podniety są gdzie indziej. Czeka, wzywają w magicznym pokoju, w magicznym pudełku, w magicznie czczonej pornograficznej kapliczce, w kącie, gdzie pracie samowytrąca się jakby się wykręcało, a potem wtrąca w trans...

Wyłączam się na wszystko co mnie otacza. Nasłuchuję. Ona zrzędzi, rzezi, charczy o czymś, ale ja już tego nie słyszę. Słyszę co innego. Coś samo włącza się gdzieś blisko. Czuję to wszystkimi zmysłami, zbieram wewnątrz-radarami, wchłaniam, aktywuję się, uradioaktywniam, wyczulam na ślady tropów, woni, zapachów, które są dźwiękami samonapędzających się trybów maszyny wmielającej mnie, zmielającej i prze-mielającej, powoli, sukcesywnie, aż do schizofrenicznego, atawistycznego wręcz, morderczego, wyżymającego na wskroś bólu!

Słyszysz ten szum? To odzywa się twoje drugie ja, twój ego-twardziel. Napakowany sukinsyn o nieskończonej pojemności mięśni. Wzywa cię komputerowy naganiacz do swojego internetowego haremu. Zaprasza cię. No idź! Bo zaraz same wybiegną, ujawnią się i będzie wtopa. Będzie taka wtopa, że już się nie wytopisz i nie pozbierasz. A dobrze wiesz, jaką ona ma moc. Sfrustrowana siła spuszczonej ze smyczy suczy.

– Wiesz, co? Muszę jeszcze coś zrobić.

– Teraz?! – Wściekła, wkurwiona, napalona! – Teraz, kiedy mogę być dla ciebie suką, suczyną, o jakiej nie śniłeś?! To właśnie teraz mnie odrzucasz, skurwysynu? Mnie? Ty chuju! Nienawidzę cię!

Zerwała z siebie, zdarła gumę, skórę, lateks, który w innych warunkach, w innym otoczeniu może i by go podniecił... ale kurwa!... nie teraz! Błagam, nie teraz! Zresztą tamte magiczne istoty robią to lepiej, znacznie lepiej!

– Spierdalaj! – Rzuciła w niego niewyruchanymi gadżetami, które odbijały się od niego jak sflaczałe, niewykorzystane, bezpłciowe kondomy.

No to spierdolił. Zawahał się tylko raz przed pokojem-oazą. Słyszał śmichy-chichy, zalotne ujadanie. Harem zapraszał. Penisopizdojebna izba składająca się z milionów ścian-stron porno-orgazmowytryskogennych, tak przez niego hołubionych, ekstatycznych, orgiastycznych, jedynych, ukochanych, potrafiących spełniać jego najskrytsze zachcianki, macanki, obracanki, w obrazach wciągających euforycznie, metaforycznie, porównywalnie do bagna gówna wchłaniającego muchy w koprofagicznej ekstazie.

Trzasnęła za nim drzwiami. Nie trzasnęła, jebnęła aż ościeżnica jęknęła i zgięła się w pół, ledwo trzymając się w ryzach, choć odcinając mu jakąkolwiek drogę powrotu.

Ale nagle drzwi rozwarły się, wyleciały z hukiem, a za hukiem poduszka, koc i – łaskawie – zmięty kłębek śpiącego już prześcieradła.

– Zabieraj to! – warknęła. – Dzisiaj śpisz na klawiaturze!

Znów jebnęła drzwiami. Nie, tym razem pierdolnęła nimi tak, aż zemdlały.

Został sam.

Stał jak ciota, jak miazga, zygota, neofit, sporofit.

Harem też jakoś zamknął się od wewnątrz, ucichł, zamilkł, wyciszył się, jakby nieoczekiwanie poddał się bezwarunkowej kontemplacji.

Tej nocy nie włączył magicznego, erotycznego, pornowyciskającego, wygniatającego, wytlaczającego-masło-soków-śmietanę-pożądania-

mleko-mlecz-rzekę-spermin-spermidyn-putrescyn-kadaweryn-prostaglandyn-witamin-minerałów-enzymów-aminokwasów-hormonów pudełka. Tej nocy wyszedł na miasto, by zaćpać się samotnością i dać się wchłonąć rozpaczy z dnem jaźni wywróconym do góry jajami.

oIo

Dobrowolnie skazał się na włóczęgę. Nie fizyczną, bo ta była zbyt oczywista, ale duchową. Powoli wyłączał się na wszelkie bodźce zewnętrzne. Życie wokół niego zastygało w niebycie, zostało mu samo gołęgnicie w nieżycie. Wytworzyła się czarna jama, bo nie dziura, gdyż jeszcze większa otchłań od dziury, w jego sercu, które wyparowało w apokaliptycznym podmuchu osobistej tragedii, banicji duszy, na którą sam mimowolnie, bezwolnie się wygnał, skazał, przekazał siebie sobie, że nie jest niczego wart.

Rzeczywistość wokół, realność i nadrealność dookoła, świat o twarzach nałożonych na siebie, a potem zdartych, dla zmiany kaprysu, przenikających się warstw wymiarów, poziomów, pięter, dopiero budujących się rusztowań, skompresował się, skupił na sobie i ścisnął się. Wtulił się w siebie. W geście pojednania. Dla dodania otuchy.

Pustka. Próżnia wysysająca wnętrzości. Samobójstwo duchowe. Rozterki umykają po zakamarkach, rozbiegają się po kątach, zakątkach, łączą się w symbiozie połączeń, które wzrok paniczny za wszelką cenę chce uchwycić. Nie było już miasta, ani ulic, ani chodników, był tylko jego niewidzący wzrok skupiony na jednym, jedynym punkcie, który zniknął tak szybko jakby się w ogóle nie pojawił.

oIo

– Kim ty w ogóle jesteś? Ja jestem przerażona! Po tylu latach małżeństwa nie znam własnego męża!

Nie jesteś mężczyzną!

No nie jestem.

Kim jesteś?

No kim?

Kim ja jestem? Kim? Kto? Kogo nie ma we mnie, że jest aż tak źle?

Nie był mężczyzną, to było jasne, ona tak stwierdziła. Gównno się zna. Ale czasami ma rację. A jeśli w tym przypadku ma rację? Kim jestem?

– Powiem ci, kim jesteś! - wydarła ostatni raz japo, jakby słyszała jego myśli. – Jesteś mimozą!

W innym kontekście może i wybuchłby śmiechem. Teraz jednak jej słowa dotknęły go do żywego. W tym samym momencie poczuł, jak palce rąk zbliżają się do nadgarstków, a palce stóp za wszelką cenę próbują wspiąć się do kolan. Przedramiona i ramiona zwijają się i składają do wewnątrz, stykają się, kości nie wytrzymują, pękają, ścięgnię wiotczeją, mięśnie flaczeją, w następnej chwili zwisają. Ruchy sejsmonastyczne naciskają, napierają, zgniatają go, wgniatają w siebie i dociskają. On próbuje chwycić się jakiegoś sensu jak tonący brzytwy, lecz topi się we własnym szoku, koszmarze, agonii i strachu. Kiedy ona widzi co się z nim dzieje, obleśny uśmiech rozszczepia jej szczęki i w mgnieniu genialnej chwili wpada na inny pomysł.

– Mam! Jeszcze lepiej! Padalcem! Jesteś obślizgłym padalcem!

Teraz to mu pojechała. Tak ostro i bezwzględnie, że aż się rozjechał. A potem najzwyczajniej w świecie się rozpadł. Pozbawiony kończyn korpus rozwalcował się, wydłużył, pysk rozciągnął się, zmniejszył, zaokrąglił. Nie zamierzała na tym poprzestać.

– Nie żeńska, nie męska, nawet nie nijaka! Jesteś pierdolonym obojniakiem! i niech tak już zostanie!

Chciał jej odsyknąć, że nie żadnym „obojniakiem”, lecz „obojnakiem”, ale język wplątał się w szczeliny międzyzębowe, wpadając w kanaliki nerwów międzodziąsłowych. A potem, ni stąd ni zowąd, zrobiła się z niego paćka, galaretowata substancja, zawieszona komórczasta bez ładu, składu, za to naprędce złożona, elegancko zestawiona z chaosu i bezładu.

Chciał wybiec z domu, ale nie miał nóg. Rozpływał się w złości i we łzach. Najchętniej to przypierdoliłby jej tak, żeby się zesrała i rozpruła. Gdyby oczywiście mógł. Ale nawet gdyby mógł, to przecież nie będzie bił kobiety. Przyrzekł to sobie od czasu, kiedy jako dziecko zaobserwował scenę w domu, w której ojciec po pijaku zmasakrował matkę, choć ta wciąż bydlaka-pijaka kochała. Fakt, ojciec przestał pić, odpokutował za swoje czyny, do dzisiejszego dnia stanowili kochającą się parę starszków. Ale trauma w dorosłym teraz dziecku pozostała. Dzieckiem! Jest dzieckiem! Nie, nie jest dzieckiem, bo dzieci mają nogi, a on ich nie miał.

Jakimś cudem wypłynął z mieszkania. Siłą woli uformował się w bezkształtne nogi, które roztaplały się po schodach, zostawiając na każdym stopniu coś na kształt kałuży, a może tylko przeszywającego smutku. Na ulicy próbował znaleźć swoją tożsamość. Szukał wszędzie: pod kost-

kami brukowymi, w szczelinach chodników, w rysach, zmarszczkach i w szczerbatych wyszczerbieniach ścian. W pewnego rodzaju, gatunku, odmianie bezimiennego, niereflektującego na nic, bezrefleksyjnego szaleństwa rozbiegł się po ulicy. Wtopił się w każdy bezmyślny bezkształt. W nagłym ataku natchnienia podniósł kratkę ściekową jak placek i przerzucił ją na drugą stronę doświadczania bodźców z zewnątrz, powoli wmaszerowujących w natarczywym naporze do wewnątrz.

Taka naszła go myśl. W zasadzie ją potracił, oczywiście przeprosił, ale ta wpadła mu w oko, poszerzyła źrenicę i wśliznęła się jak glista do ciasnej alkowy gdzieś z tyłu, na kresach kresomózgowia. I właśnie teraz dotarło to do niego: a co jeśli te wszystkie obrazy kumulują się w nim? Wszystkie wpadają do niego jak leci, na chybił trafił, tak samo jak na chybił trafił, bezwiednie, bez wyboru kopiował obrazy z twardego na swój własny dysk przenośny, równie twardy, wyrastający długim, nieskończenie pojemnym pędrakiem spomiędzy nóg. To wtedy co się z nimi dzieje tam w środku? Można je wyekstrahować? Co, jeśli same zaczną się ekstrahować? a może wcale nie mają zamiaru? a co...? A jeśli...? a może...?

oIo

Obraz miasta skompresował się, zwinął i nawinał na jego przewinięte do przodu fałdy kory mózgowej. W jej gęstym lesie neuronów skryła się sodoma rozpaczy; niebezpiecznych treści nabrała beztreściowa do tej pory gomora; Wieża Babel beznadziei wyrosła ponad wierzchołki bezmyśli, wydomniemań, przepuszczeń. Wszystko się w nim skumulowało i skomasowało. Krok stał się giętki, rozchwiany. On sam się rozdygotał i rozedrgał. Miasto przestało istnieć na zewnątrz, za to wewnątrz rozwinęło się inne miasto, o ulicach ulepionych z golizny, kamienicach z kamieni nerkowych, miękkich jak grząskie pośladki świateł sygnalizacyjnych, sygnalizujących ludzi idealnie dopasowanych, w nowych konfiguracjach i parametrach poprzestawianych pozycji. Wewnątrz poczuł tworzenie się Pornopolisu: egomiasta z pornonabrzmiałego snu, nocnych polucji, dziennych relatywizacji samorealizującej się masturbacji.

Znalazł się nagle w nieznanym dzielnicy, czerwonej, zakrwawionej, gotowej, gotowej do kolejnego aktu dramatu. Instynktownie wyczuł, że to tu miało rozpocząć się jego życie i popędzić w jednym znanym tylko kierunku. Rozpiął rozporek ulicy, zdjął majtki z chodnika. Dalsza droga

pięła się prosto w górę, wspinała się po niewidocznych schodach eskalującego rozbuchania wewnętrznego podniecenia. Coraz stromiej, sromiej, w sromotnym poczuciu klęski, ale jeszcze w jakiejś tłącej się desperacji. Droga wyglądała jak drabina. Nie było to wcale złudzenie optyczne. Ulica wyrastała z niego, pięła się, podniecona, napalona, sięgnęła głowy, tej drugiej, bardziej instynktownej, pierwotnej, reagującej natychmiast na bodźce rosnące impulsywnie, autentycznie, wzbudzające wzwód i permanentne podniecenie. Podążał tą ulicą prosto do własnej głowy myślącej tylko o jednym: by zaspokoić najskrytsze pragnienia i żądze. Tu czuł się najlepiej, najpełniej, najbezpieczniej. Tu mógł siać nasienie, zbierać plony, pielęgnować dalekosiężne plany. Tu mógł kontrolować całym swoim intymnym życiem. Tyle że nie zdawał sobie sprawy, że całkowicie utracił kontrolę nad czymkolwiek.

Po wejściu do brontozaurowej głowy z uchyloną lekko paszczą prącia, usłyszał jak gdzieś u góry zwija się napletek. Znalazł się w przytulnym, wewnątrznie oświetlonym ciele domu: lateksowe ściany, szyby podbijane ćwiekami, skórzane drzwi prowadzące do pokoiów utkanych z tkanek jamistych, za którymi znajdowały się liczne przestrzenie naczyniowe. Już w korytarzu czuć było erekcyjne zapachy egzotycznych perfum. Ściany co kilka metrów zbliżały się do siebie i lizały dyskretnie, powoli, z dziko podsycaną pasją. Podłoga drżała chęcią rozdymania i wydymania sufitu: nie mogąc dojść inaczej do granic spełnienia, waliła w siebie ile tylko mogła. Sufit szydził z niej i prowokacyjnie wypuszczał żyrandole łechtaczek. Wszędzie ryciny kasztanowców – kulek analnych w pigułce – z rozrastającymi się połączeniami kanalików i cewek spotykających się z przewodami i akweduktami nasieniowodów.

Kusi go, żeby wejść do jednego z pokoiów. Zbliża się do skórzanych drzwi, które tak fetyszystycznie szeleszczą i skrzypią, pocierają się o własne pobudzone wnętrze. Dotyka ich zapachu, jego przyrodzenie drży, dygoce, ściany uginają się pod ciężarem genialnie roznegliżowanych od środka genitaliów. Skórzane drzwi rozciągają się pod naciskiem jego rąk, otulają palce, nadgarstki, naciągają się na przedramiona długimi skórzanymi rękawiczkami, czarnymi jak jego najbardziej skryte, wyryte, przebyte i poryte myśli. Zaciska dłonie w pięści i już jest w środku intymnej namiętności.

Na środku pokoju parawan. Za parawanem kształt, cień, pantomima. Jakaś niepoważna gra światła. A może właśnie jak najbardziej poważna. Tylko niedoceniona, przeceniona i przerobiona na banał. Ktoś lub coś

jest za parawanem. Dyskretnie znika.

Rozgląda się po pomieszczeniu. Postbarokowe wyuzdanie ujeżdża nienasycony wzrok: pochwy pochew, penisopochwy i pochwope-nisy zapchanych szczelin, dziur, nawet niewypełnionych jeszcze myśli. Wszystko tu pracuje w pełnym wigoru napięciu. Niewidzialne wspomnienia żółędzi – czerwonych, oślinionych, mocno nawilżonych – spadają jeden za drugim, uwolnione z brzemienia nabrzmiątych drzew, prosto do konsumpcji otwartych, powiększonych do granic absurdu ust. Duchy orgazmów unoszą się w fantazmatycznych objawieniach. Ze wszystkich stron tej i tamtej, świadomej i nieświadomej podświadomości otwierają się szczeliny drzwi. Wszystkie zapraszają do otwartych łon. Wyskakują z nich porneje i grafie. Każda naszpikowana dziesiątkami kuszących, sączących się pożądaniem dziur. W każdą można do woli ładować wszelakie atrybuty zalotów, chuci i rui. Także prosto w otwarty ryj.

Chodź do nas, palce zdają się mówić. Przypełnij, przytocz się, rusz się, dasz radę, użyj siły umysłu. My cię ukształtujemy, odpowiednio uformujemy. Znow nadamy sens tobie i twojej męskości. Uczynimy z ciebie mężczyznę z krwi i kości.

Poddał się więc zewowi i woli. Oddał się zręcznym palcom, zwinnym opuszkom, sprytnym liniom papilarnym. Niewieście ukojenie. Kobięca rozkoszy! Ile cię wielbić, nienawidzić, kochać, pogardzać i szanować! Jak za dotknięciem czarodziejskich warg, powstał z martwych, z niemocy, poderwał się do góry sztywnym palem, totemem, prętem, drutem, kijem, drzewem, palną, ogonem, członkiem najwyższego stanu samoświadomości, który zaczynał do niego wracać.

Panny jedna po drugiej wychodziły na randkę z wytryskiem. On tym razem nie szczytował. Był blisko, ale jeszcze nie ten moment. Mimo to wyszedł z siebie zadowolony, w pełni usatysfakcjonowany. Wreszcie odzyskiwał straconą wiarę w siebie.

Czekały na niego jeszcze większe cuda. Ale może dajmy mu trochę ochłonać. Choć na chwilę.

oIo

Wrócił do domu odmieniony, bardziej pewny siebie. Nie dała poznać po sobie, że się zdziwiła. Nie miała w ogóle żadnej ochoty ani nastroju odzywać się do niego. Czeka, już ja cię załatwię, pomyślała. A na razie

cię pogryzę. Splunę na ciebie toksyną, tą samą, w jakiej ty mnie męczyłeś podczas trwania tego nienormalnego, toksycznego związku.

– Gdzieś tak długo był? - rzuciła zimnym ochłapem pytania.

– W kinie.

– Tak długo?

– Maraton był.

– Czy aby nie za często te maratony?

– Jak za często? Przecież nie chodzę tak często.

– W zeszłym miesiącu też był.

– Kina chcą zarobić. Nocne seanse najczęściej widzów zbierają.

– Dzisiaj też nie masz ochoty?

– Nie mam.

– Aha. Kino ważniejsze.

– Nie ważniejsze, tylko w pracy miałem taki zajeb, że nie pytaj.

– Codziennie masz zajeb.

– No jakoś tak.

– Z nami też jakoś tak.

– Ej, ale o co ci chodzi?

– O nic. Już o nic.

Pizdnęła drzwiami do łazienki. Zaspokoi się słuchawką, to jej przejdzie, pomyślał z uśmiechem na duchu, zrzucił z siebie ubrania i bez mycia gębął w poduchę.

oIo

Jest Wigilia święta Zmarłych. Moja Wigilia. Mojego święta. Mojego Nadejścia. Nadchodzę, o, moja Sukkubokonkubino, moja Uwielbienico, Seksusuko, Boginio! Ukryta głęboko we mnie, gotowa na mnie za kliknięciem mysiej sutki, po pogłaskaniu klawisza cipki. Replikująca się i duplikująca, rozmnażająca i klonująca na dziesiątki milionów obrazów. Niby każdy się różni, ale to wciąż jeden i ten sam obraz. O, Pani moja! Pocieszycielko moja! Ze sobą mnie pojednaj! Mnie się oddawaj! Mną do końca moich dni obracaj!

oIo

śniło mu się, że były kurtyzanami. A potem księżniczkami w pachnącym ogrodzie. Wreszcie zwiewnymi jak letnia bryza ogrodniczkami w pałacowej świątyni rozkoszy.

Nie, zaraz, wcale mu się nie śniło, tylko proza życia szybko przewinęła się do przodu i znów znalazł się w swojej krainie marzeń. Ciekawe ile mu wyjedzą z karty. Nie ważne. Stać go było. Miliony darmowych stron, ale on ubzdurał sobie te płatne. Najbardziej ekskluzywne. Najbardziej zmysłowe. Spojrzał na swoje drugie ja. Tak, ładnie stał. Prawidłowo na baczność. Ledwo tu wchodził, już mu stawał. Budził się z letargu beznadziejnego małżeństwa. Tylko nic nie wspominaj, nawet jednym słowem, czy nawet myślą, żeby uczynki wyszły jak najlepiej.

Przyływały na falach rozkoszy. Pieszczoty, zaloty, flirty, motylki, kolibry, dobre, lepsze i najlepsze chwile, takie najśodsze, najbardziej-przesłodzone-aż-do-zarzygania jakie doznał w dotychczasowym życiu. Kazały mu spocząć, położyć się wygodnie, dogodnie, dostojnie, bo traktowały go jak księcia z bajki, w której tak niby przypadkiem – choć całkowicie na własne życzenie – się znalazł.

Komputer przed którym siedział rozkomputeryzował się, rozochocił, rozinternecił, a on sam się podniecił, wzniecił w sobie interpiekło. Komputer, który rozlarwił się w jego głowie, dosłownie rozłożył się, rozgałęził na konary i miliony linków, połączeń, pluskw, bugów w elektronicznym bagnie. Zanurzył się w tej breji, z brudnego dna wynurzając się kimś zupełnie innym, bojowym, boskim, męskim, zawsze gotowym na wszystko.

Potem włączył się bez końca i bez środka po ulicach Pornopolis, zawsze na początku jakiejś ułudy, złudnej wizji, niepozornej zupełnie, ale i nie dorobionej. Pewny tylko własnej niepewności, krążył bez celu, po cel, po całym mieście doznań. Chodził aż do nasycenia duszy, do hedonistycznego wykorzystania siebie. Myśli o wszystkich jego związkach i nie-związkach przebiegały samopas przez zmaltretowany umysł. Zatrzymał je i zbił brutalnie w coś na kształt gnoma, któremu skopał oraz zniekształcił i tak już skrzywiony ryj. Ze zdeformowanego pyska odpryskiwały wióry wszystkich jego porażek, niepowodzeń, rozczarowań. Tłukł coraz wścieklej w siebie i w swoją gnomiastą powłokę. Kurwy, okurwieńce, pizdy, zjeby, oczopląsy, lufy, barbie, świnki, maskary, gargulce, sukińce, chcice – wszystkie wyskakiwały jak jajeczka z pudełka bez dna, z samopowielającym się DNA. Tańczyły, harcowały, skakały, podrygiwały w egzotycznie rozmazanych wizjach i obrazach zapaćkanych smazami.

Doszedł do momentu, w której nie potrzebował więcej eroelektroniki, pornografiki, wystarczyło, że kontemplował siebie, zanurzony w wi-

zualnie emocjonalnej dysgrafii. Strony internetowe typu xprobkapojebana.ppl, chujjejwcyce.com, laska-paradoks.ks same przeskakiwały z klawisza na klawisz, z kliknięcia na kliknięcie, z mrugnięcia-okiem na mrugnięcie-okiem, aż wtopiły się w krajobraz po drugiej stronie rogówki. Potem załamywały się, wpadały w siatkę i tak już zostawały, w oderwaniu od kontekstu i racjonalnego rozumowania. Stawał się bezwolnym urządzeniem na łasce seksmaszynek, idealnie działających seksprzętów, wirtualnie żywych gadżetów spełniających każdą zachciankę, jeszcze bardziej podsycających napięcie seksualne, aż do seksplozji:

Sekstatycznie krótka selekcja seksualna

Prezentowany niewolnik posiada skórę огоłoconą z naskórka. Żeby nie było żadnych złudzeń, porneje i grafie skrupulatnie pozbyły się poszczególnych warstw: stratum basale, stratum spinosum, stratum granulosum, stratum lucidum, stratum corneum, którą dodatkowo podzieliły na stratum compactum i stratum disjunctum - dbając dodatkowo o jak najwierniejsze zachowanie odpowiednich proporcji bólu. Z każdej warstwy szybko uszyły ubrania, którymi pokryły swoje zwiewne aury, dla zintensyfikowania prowokacji. Nasyciwszy się cierpieniem ofiary, zdarty jego skórę właściwą, zaspokajając się przy tym korzeniami włosów. Apaszki z warstw siateczkowatych. Płaszczki z włókien nerwowych. Głębsze wyznania w doznaniach splotów tętniczo-żylnych. W komórkach tłuszczowych nawilżanie, nasycanie, zaspokajanie. Wibrujące harce wśród organów-wibratorów.

Z niedowierzaniem przyglądał się akcji, w której panny rozkładają go na czynniki osobne, odrębne, wciąż zespolone tym samym roztargnieniem w deprawacji bez zbędnych zakwestionowań czy dywagacji.

Panny zniewalają go lekkością, zwiewnością, wylewnością soków, płynów ustrojowych, wytrysków; są jak nimfy wodne w otoczeniu morskich głębin: wszędzie perły, muszle, powiew bryzy łaskocze genitalia – te nagle wyrrywają się i wzbijają mewim skrzekiem pod niebiosa, które wzdycha w spazmach ekstatycznych rozedrgań, naładowań oraz rozładowań sztormu i szkwału najbardziej intymnych procesów psychicznych.

oIo

Nie chciał wracać. Do czego wracać? Do drugiego pokoju świecącego emocjonalną pustką i zubożeniem? Jej wzrok. Usta ściśnięte, zmarszczki napięte, cały pysk zamknięty w nieotwieralnym, nieodwracalnym grymasie pogardy.

– Znów maraton? – sieknęła nie swoim głosem.

– Nie.

– Co tym razem?

– Cojużzkumplamisieniemogespotykać? - wycodził wściekle jednym tchem.

- Mogłeś chociaż esemesa wysłać.

– Esesmana. Specjalnie dla ciebie. – Z premedytacją powiedział, żeby ją na maksa wkurwić, tak jak ona na maksa go wkurwiała. Jej pradziadków w bestialski sposób zamordowało komando. Co więcej, zrobili zdjęcia i dali rodzinie. Zdjęcia były w albumie, który spoczywał owinięty szczelnie kilkoma warstwami związanego, zasupłanego materiału, schowany w skrzyni zamkniętej na masywną kłódkę. To był ich ciężar, ich brzemię przekazywane z pokolenia na pokolenie. Na zawsze zostanie w tej rodzinie. Już nawet nie na pamiątkę. Tylko jako koło młyńskie zawieszane na szyi pochylonej nad przepaścią. Czy tylko ból istnieje w tej otchłani? Czy niczego poza cierpieniem w niej nie ma?

Po raz kolejny żałował. Tym razem swoich słów. Jej łzy wypaliły w nim blizny, bliźniaczo podobne do cierpień, które ponownie przeżywała, w tym samym orszaku genetycznym przechodzonym z pokolenia na pokolenie.

oIo

Już nie szedł tak radośnie, rześko i lekko. Stapał po usłanej drutem kolczastym drodze krzyżowej, po obu stronach której szyderczo lżyły oderwane od sumienia i współczucia gęby, łby, zakazane szkielety szarpące szwami szeptów.

Zajdź do nas, do nas, do nas.

Zgwałć moje truchło, truchło, moje, tylko moje, do mnie, chodź do mnie.

Wyłizesz mi przerwę między jednym a drugim konaniem? Wyłizesz?

Chodź tu, fagasio, poturlamy się po pustym łonie śmierci. Chodź tu, złamasie, wyturlamy się z flaków oleistych, samoistnie zajebistych. No, chodź, wyruchasz moje glisty, i czyraki, i pluskwiaki, chodź, pełno tu

tych przyjemności, my ludzie-owady prości, radośni, same ości, nadziejesz się na nie i skonasz ze złości, o zaistości, o Gigantycznie Wielka Pożądliwości!

Mi możesz co najwyżej skoczyć, padalcu, i wskoczyć do jamy ustnej głębokiej, wyposzczonej, za którą tylko ziemia opuszczona, i nigdy nie zbawiona!

Przetoczył się, przeturlał przez tę golgotę narzekań, grzechów, opętania i otępienia, duchowej miernoty, zgryzoty nawet po śmierci. A czego miał się spodziewać? że wszystko zostanie mu przebaczone? O, nie, mój drogi. Nie w tej bajce. Nie w tej powłoce ludzkiej, którą niektórzy – tak zupełnie dla niepoznaki niepozorów wszelakich, dla zmylenia kogoś-wszyscy-wiemy-o-KOGO-chodzi – nazywają zwierzęcą. O, nie, nie uda ci się wymknąć, przemknąć, czmychnąć dla niepoznaki. Zapomnij. Jesteś człowiekiem i na wieki będziesz cierpieć jako człowiek. Czy tu, czy tam? Jakie to ma znaczenie? Człowiek i tylko człowiek wymyślił Boga, boga, bóstwa, religie, wierzenia, ducha, duszę, duchowość, duchy. W rzeczywistości jest tylko rzeczywistość i nic poza nią. Wobec tego: co? Przejdę tę Drogę Rozpaczy, minę te wszystkie krzyże, brzemienia, grzechy, złe uczynki i zaniedbania, i wyzwolę ducha (o, pardon, nie ma ducha, już to sobie wyjaśniliśmy), no to, załóżmy, siebie, tak już lepiej – więc – wyzwolę siebie i się, poniosę sobie i sobą, ku wiecznemu zatraceniu, ku któremu i tak wszyscy zmierzamy.

Dom był dzisiaj domem mody. Elegancki, zadbany, wypieszczony w każdym szczególe i detalu wykwińskiego požądania. W środku to samo. Już nie było ścian, ani podłóg, ani sufitów, ani lizania, ani samozaspokajania się. Wszystko stonowane, gładkie, czyste, lśniące, po chwili pachnące, by wszystkie zmysły mogły wziąć udział w tej uczcie, w tej grze wstępnej orgii, która zaraz miała mieć miejsce.

Pokój odświętnie wystrojony, uroczysty, jak do ślubu, tylko bez tych wiejskich dodatków, baloników, srików, staników girland, świec jak wyciągniętych z dupy ciasnej, ale własnej. Wszystko elegancko, pięknie, dostojnie. Ani jednego bezsensownego ozdobnika. Poczul się jak... trudno nawet określić, jak się poczul. Na pewno szykownie, wypicownie, chociaż nie, to słowo jakieś takie szyki-miki - jak siki z mimiki - a może i wcale nie, ale na pewno lepiej pasujące gdzieś indziej. Niech tak będzie. Niech już zostanie. Dobrze, że się ubrał ładnie. Jakby przewidział. Niczego oczywiście nie przewidział, po prostu taki miał kaprys, styl, lifestyle, cokolwiek. Ubierał się dla siebie, dla swojego dobrego samopoczu-

cia. Dla zwiększenia dozy przyjemności. A i niech dziewczyny zobaczą, z kim tańczą. Bo do tańca trzeba nie tylko ognia, pikanterii, zmysłowości, ale też – a może właśnie głównie – glamour o szeroko pojętej skali doznań. Czuł się i był ucieleśnieniem glamour, umęczyczeniem glamour, wcale nie metro, tylko zdecydowanie retro, typowy alfa.

Spoczął. Fotel głęboki, dostosowujący się do każdego kaprysu ciała. Odpoczął. Poczuł się jak w relaksacyjnej próżni. Odetchnął. A następnie wciągnął, zaciągnął się zapachem, zasmakował w aurze, dał się wchłonać atmosferze, pozwolił się popieścić pomieszczeniu, jego bogactwu, kalejdoskopowej, choć lekko stonowanej różnorodności, tak seksownie pobudzającej zmysły.

Nie ma parawanu. Jest tylko bliżej nieokreślona, jakby tylko zaznaczona rama okienna, może być przezroczysta, przez którą nic jednak nie widać. Coś jak lustro weneckie, tyle że bez lustra. Nic nie widać, za to czuć niepokojący ruch. Ktoś przesuwa się za ramą. Ktoś. No bo nie coś, do jasnej cholery! To musi być ktoś! Może ktoś wszystko nagrywa? Nie czuć jednak obecności żadnych aparatów, kamer, nie słyhać niczego, żadnych cyfrowych czy analogowych zakłóceń.

I wtedy, tak zupełnie znienacka, o ile znienacka mogło być zupełnie, pojawiły się jego boginie, jego nimfy, piastunki jego rozkoszy, jego rozpieszczenia, panie jego zmysłowości i jego męskości. Był niewolnikiem ich pożądliwości. żebrakiem ponętności. Brudem kalającym ich doskonałość. Ale przede wszystkim Jego Członkostwo sprawiało, że czuł się – Czas Najwyższy! – Mega-Ego! Mega-Super-Ero-Ego! z wyraźną inklinacją do Ero-Guro.

One nie zatrzymywały się, migąły, błyszcząły, znikwały, pojawiały się. Były niewolnicami, paniami-władczyniami, raz zakonnicami, raz kurwami, policjantkami, nauczycielkami, kasjerkami, nawet dżdżownicami z cyrku dla ekshibicjonistów. Mieniły się barwami, kształtami, doznaniem jakimi go raczyły za każdym udanym przelotem – przelotnie zalotnym jak jego odlot. Gorączka sięgnęła zenitu. Wcześniej nigdy go tak nie zauroczyły, nie usidliły, nie zamydliły go i nie zbajerowały. Wił się w środku, skręcał węgorzami jelit wkręconych w bęben pralki. Znał dobrze zasady. To one go rozbierały. To one inicjowały. To one pieściły. On miał tylko doznawać rozkoszy.

Podziwia te panie, ich kształty, falowanie, kolory, zapachy, kobiecość, erotyczność, eteryczność, subtelność i zmysłowość. Ktoś przechodzi za jego plecami. Obraca się, ale nikogo nie widzi. Powietrze tylko jakieś za-

niepokojone, lekko wzburzone, rozedrgane, napaćkane czymś niezrozumiałym, ufajdane nieogarnionym, niezgłębionym, może nieobliczalnym, z cząsteczkami upieczonymi w złęknionej gęsiej skórce.

Nagle coś się stało. Panie, teraz udające kurtyzany, jakby zastygły w półsłowie niewypowiedzianego kroku. Ten taniec już się skończył. Kurtyzany się ubrały. Ubrania zmaterializowane znikąd. Kurtyzany przestały być kurtyzanami. Zmieniły się w urzędnicze sucze, omotane od stóp do głów w biurowe, prowokacyjne fetysze. Czarne, lśniące szpilki, pończochy tak cienkie, że pewnie rwały się za dotknięciem rzes, spódniczki – czarne, obowiązkowo skórzane, pachnące ciepłymi, wiecznie drgającymi pośladkami, otaczającymi wiecznie pobudzone, mokre, rozpalone, rozgotowane wnętrza. Wyżej pasek wąski, czarny jak smoła, lśniący, trudno od razu stwierdzić czy lateksowy czy skórzany – opina talię jak gotowy do kuszenia wąż. Ale wystarczy, że spoczywa. Prowokuje samym gestem, spojrzeniem złotej klamry – głowy do dotykania, rozpinania i zamykania. Jakby chciał udzielić pierwszej lekcji bondage. Koszula biała, z przezroczystymi guzikami, a może wcale ich nie było? żakiecik czarny, lśniący, również skórzany, bez zapięcia. Szyja gładka, alabastrowa, idealna, zwieńczona złotym łańcuszkiem ze złotą zawieszka przedstawiającą jakiś symbol, prawdopodobnie z morskiej mitologii. Współczesna syrena, uwodzająca nie głosem lecz wyglądem. Widokiem wodzącym na pokusy fantazyjnych, fantasmagoryjnych rozkoszy. Ta sama twarz, ale o innym wyrazie, zdaniu, kontraście – zacięta, spięta w sobie, wwiercająca spojrzeniem w jego błahość, męskość, nijakość. Bo kim on był? Samcem, suczem, nie chucią lecz chuciem, psem, kundlem do lizania, zlizywania, oblizywania, dolizywania, lizania, lżenia aż jezor odpadnie.

Kolejna zmiana. Niedostrzegalna. Nie mógł jej dostrzec, gdyż zbyt zajęty był obserwacją kolejnych klonów obiektów pożądania. Oddania się - całkowitego. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Odrapane, zaniebane od lat ściany, dywan to jakiś strzep, parodia miękkiego puchu, po którym jeszcze nie tak dawno, bo kiedy, wczoraj?, przedwczoraj?, tarzał się z innymi nimfami. Dzisiaj kurtyzanami. Ale gdzie są te kurtyzany? Gdzie harem? Gdzie pałac? Gdzie kosztowny, bogaty, lukrowany złotem i przepychem penthouse?

Wszystkie stały wpatrzone w niego. Prowokacyjnie. Bezduśnie. Klonki. Klonice. Harpie, sukuby, sukubice gotowe rozszarpać go, zrobić zdjęcia i wysłać do Faceboga na stronę fanów gore. Zbliżyły się.

Ale strasznie powoli, jak na zmutowanym filmie puszczone w ode-
rwanej od czegokolwiek czasoprzestrzeni. Wszystkie nagle, na nadany
telepatycznie znak, schowały dłonie za plecy, chwila niepewności i po
chwili wyjęły coś znajomego, coś obezwładniającego, coś pachnącego,
czarnego, skórzanego, co po chwili wolno, jak najwolniej na świecie, na-
ciągnęły na dłonie. Wiedział już, że koniec z nim. Game-faken-over.
Wyprują mu flaki tymi skórzanymi dłońmi, i będą zaspokajać się jego
jelitami. Ale nie dadzą mu umrzeć. Podtrzymają go przy życiu, żeby
osiągnął galaktyczny orgazm. Wtedy dopiero rzuca się na niego i roze-
rwą w mgnieniu oka.

Ale może jest jakieś wyjście? Jakaś nikła nadzieja na ucieczkę? Od-
wrócił głowę w stronę drzwi i wtedy poczuł na twarzy rękawiczkę –
silną, bezwzględną, nie uznającą sprzeciwu. Zdażył nabrać powietrza,
kiedy następna zacisnęła się na jego szyi. Z tyłu dwie złapały go za
ręce tuż powyżej nadgarstków i wykręciły je do tyłu. Poczuł uderzenie
w skroń i opadł na stare, wyluskane z wszelkich nadziei, postrzępione
wyro.

Dały mu patrzeć. Spoglądał w głębokim niedowierzaniu i autentycz-
nym, podszytym strachem poważaniu na zbliżającą się do niego rękaw-
iczkę z nożem. W mgnieniu oka został pozbawiony ubrań i złudzeń.
To nie była zabawa. Wiedział o tym. Skąd? Po prostu wiedział. Może już
siedziały w jego mózgu i gmerały w nim, podsycaly, podniecały, aż do
zapomnienia! Jego nabrzmiały, wyrywający się z niego penis próbował
walczyć, ale skończył, wykończył się, poddał się, oddał walkowerem,
skamląc śluzem tryskanym na przytrzymujące go twardo i stanowczo
urękawiczone dłonie.

Nóż zniknął, a on poczuł ból w okolicy brzucha. Rozrywający, bo-
leśnie bolesny ból. Spróbował się podnieść, zareagować w jakikolwiek
sposób, ale tylko jęknął i opadł bez sił. Wszystkie rękawiczki pochylały
się nad nim. Wszystkie go przytrzymywały. Kobięce twarze bez gry-
masu, bez zmarszczek, bez wątpienia zdeterminowane w swojej bezter-
minowej determinacji, bezceremonialnej ceremonii ostatecznej rozwią-
złości.

Związują ręce, nogi, obwiązują w pasie, na wysokości klatki piersio-
wej, szyi. Pieszczą go. Po całym ciele, po każdym zakamarku, po każ-
dym wgłębieniu, wypukłości, męskości. Nie ma miejsca, którego by nie
dotknęły. Ostatni dzień w raju. Mimo że ich twarze nadal nie wyświe-
tlały żadnego filmu pod egidą dobrze zagranych emocji, to właśnie ich

bezosobowość, nieludzkość, demo-fatalno-logiczność doprowadzała go do jeszcze większej ekstazy.

Pojawiają się inne noże. Rękawiczki są zachwycone. On przerażony, ale bezwolnie akceptuje cały spektakl, bo przecież to jest spektakl, prawda? Spektakl w penthousie w mieście Pornopolis, zbudowanym w jego podwójnie shybrydowanej głowie. Tak, no nie? Wielki, rozbuchany erotycznie spektakl, który pewnie nagrywają na ukrytą kamerę, z której film wyślą zaraz do dystrybucji w zaprzyjaźnionych sex-shopach. Potrafią doprowadzić go do rozkoszy nawet wtedy, kiedy powoli wbijają w niego noże. Coś z niego wydłubują. Pokazują mu jego własne uzewnętrznione wnętrze. Nie dziwi się, tylko jakoś tak dziwnie mu słabo.

Nagle podrywa go prąd. Nie spodziewał się takich emocji, takiego zastrzyku adrenaliny. Staje się coś nieprawdopodobnego. Luzują sznury na szyi i pozwalają mu podnieść lekko głowę. Nie, to nie on ją podnosi, lecz one chwytają go za włosy, za spoconą czaszkę i podnoszą. Każą patrzeć mu na scenę dziejącą się tam daleko, w dalekim dole, w otchłani dołu, która wcale, ale to wcale go nie dotyczy. Nie wierzy, ale musi uwierzyć. Ogląda jakichś chory hardcore'owy film, który daleko wychodzi poza antyestetyczne granice makabry i speedgore. Wszystkie rękawiczki skupiły się na jego totemie. Wyznawczyni. Najwierniejsze służące żywcem wytoczone z prymordialnych, szamanistycznych, pierwotnych legend, i przeistoczone w miejską legendę, której były głównymi (anty)bohaterkami. Wpatrują się. Dwie kapłanki podtrzymują jego świętą męskość. Inna kapłanka - rękawiczka zdeterminowana, gotowa na wszelkie poświęcenie, by uczcić najwyższą holistyczność rytuału - kraży po jego obnażonej, drżącej ze strachu i podniecenia żołądź. Strumyk śluzu zmienia się w małą rzeczkę. Druga kapłanka - rękawiczka o precyzyjnie chirurgicznych wdziękach - zbliża się z nożem, który przecina owoc żołądź i pędzi w dół, zatrzymując się gdzieś w połowie zszokowanego, sparaliżowanego, sztywnego trzonu prącia: synonimu, symbolu, znaku, hieroglifu, pomniku męskości. Trzecia kapłanka - rękawiczka tak rozochociona, że aż śliska z podniecenia - wbija nóż z drugiej strony i odrywa skórę banana od wiele-odcieni-czerwieni zaskoczonych palmy. Każda z kapłanek - nie zważających już na żadne tabu - chce mieć udział w świętym rytuale. Podają sobie, przekazują ten sam nóż, który wbijają w niego, w jego ego i obierają, zawsze do połowy, żeby druga połowa wciąż pęła się do góry jak opoka, patriarchat, niewzruszony falliczny posąg.

Jego penis – bananowa synekdocha – wygląda jak palma z szeroko rozłożonymi liśćmi. Jego powieki trzepocą nimi, wachlując się, łagodząc, anestezjując, wygłuszając ból, którego nie czuje, uśmierzony szokiem wszelkich szoków.

Obserwowali go. Wiedział, że tu są. Od początku wiedział. To oni wszystkim sterowali. Naganiacze erotycznych wizji i perwersyjnych koszmarów. Bez twarzy, bez tożsamości, utkani, ulepiani z nicości, pojawiający się z niej znienacka, i znikający w niej równie eterycznie i efemerycznie. Doznał olśnienia. To, co widział, w ogóle go nie dotyczyło. To miejsce, ten penthouse, dom uciech, zwał jak zwał, w ogóle nie istniał. Istniały tylko jego wyobrażenia, złudzenia, zmyślenia o sobie samym w gigantycznym mieście-złudzeniu Pornopolis. Jeden wielki koszmar burdel zamiast mózgu. Fatamorgana małżeństwa, pojawiająca się i znikająca oaza żony, z której tylko trochę się napił, wziął małego łyka, a ona odpłynęła, równie zmysłowa jak zmyślona była jego prawda o sobie. Bo czymże jest prawda? Samopowielającym się sensem bez znaczenia, tym co wychodzi z odbytu jednego bytu do odbytu bytu drugiego, pierwotnego, cyklicznego. Wchłanianie. Wytrawianie. Wydalanie. Powielanie.

Obserwowali go i zapisywali wszystkie dane, wnioski, spostrzeżenia. Jego zachowanie poddawane było szczegółowej analizie, przesyłanej następnie do jego własnego mózgu, umysłu i podświadomości. Poobserwowali, postali trochę, pokiwali bezkształtnymi głowami, i znikali. A on wracał do błogiej nieświadomości.

Olśniło go, ale zaraz znów zapadł w śpiączkę rozkoszy. Tym razem w orgiastycznie bolesną komę, bez czucia bólu znieczulonego nieczułym cierpieniem okalanym cierniową aureolą.

Pozostałe kapłanki – rękawiczki-wojowniczkki – przyszpilają jego głowę z powrotem do ołtarza łoża. Coś dziwnego się z nim dzieje. Skamle z rozkoszy. Kwili z opętania żądz. Ryczy w środku pragnieniem spełnienia. Rękawiczki, twarze, ubrania, wszystkie fetysze znikają. Wypełnia go światło. Nie, to nie światło. To biel. Niczym nie zmacona biel. To coś więcej niż śmierć. Śmierć? Jaka śmierć? Przecież to dopiero początek życia! To biała ściana, która zbliża się i nawilża. Ściana. Biel. Ściana. Nie widzi już niczego poza ścianą bieli. Powieki powoli wywracają się na drugą stronę. Jeszcze chwila przesyconej nadnaturalizmem rozkoszy. Jeszcze jeden moment. Biel rozszerza się, rozciąga, przeciąga. Już! Czysta, orgazmiczna rozkosz wypełnia szczelnie szczęście. Jestem wielkim, długim, powoli rozpinającym się rozporkiem, z

którego wygląda moja rosnąca dumnie głowa. Teraz ta głowa na szyi u góry kurczy się, maleje, flaczeje, wędnie, traci wzrok i zmysły. Teraz odczuwam moją drugą głowę, prawdziwą głowę wyrastającą spomiędzy nóg. Widzę prawdziwy świat prawdziwym wzrokiem. Wszystko, czyli całe otoczenie, cały otaczający mnie i siebie świat jest wielką, nadmuchaną pochwą, w której mieści się dosłownie całe człowieczeństwo, ale też człowieczość, zwierzęcość, roślinność, wszelka radość, również potworność, wyuzdanie i rozbuchanie. Widzę świat prawdziwym, takim jakim jest naprawdę, bez upiększeń i bez fałszerstw. Świat to pochwa, a ludzkość to jeden wielki penis wystający spomiędzy gigantycznych słupów nóg, stojących jak szeroko rozwarta brama do raju. Już nie muszę nic robić. To właśnie świat, czyli Jej Wielka Pochwowatość, zaczyna wirować, waginować, łechtaczkować, podniecać się i suczkować wokół mnie. Niekończące się doznania, rozkosze ponad wszelką szaleńczość szału zmysłów. Niekończąca się pozazmysłowość. Już na zawsze chcę tu pozostać, w tej prawdziwej prawdziwości, odkrytości, drugiej stronie rzeczywistości. Tamta, tak daleko – mimo że całkiem blisko – jest jedynie zafałszowana, zawoalowana, preparowana. Odnalazłem siebie.

Kapłanki-rękawiczki obnażają swoje prawdziwe ja – to już nie kobiece, nawet nie kobietopodobne istoty, lecz wyraźnie zarysowane czerwone dziury w powietrzu. Zawsze gotowe, zawsze gorące, napalone jak małe, zwinne piecyki gotowe przyjąć każde polano. U góry dziury wisi długa łechtaczka – żeński penis. Chichrają się do siebie, gaworzą, szczebiocą. Otaczają go. Jest zbyt skoncentrowany na odczuwaniu rozkoszy, że nie widzi ich długich nóg wyrastających z mięsistej podłogi, a kończących się w mięsistym suficie. Cały świat jest wyimaginowanym uwaginowaniem z miliardami łechtaczek czekających na zaspokojenie. Biegnie, rozpędza się i wskakuje w jeden otwór anatomiczny, który zaczyna śpiewać z rozkoszy i podniecenia. Ale dziura się nie kończy. Jego szeroko otwarte oczy widzą kolejną dziurę wynurzającą się z mięsistej, chucioszkarłatnej otchłani. Nurkuje w kolejnej feministycznej studni. Przepływa przez krzyczącą wilgoć i wpada do jeziora pełnego falistych sutków. Nurkuje w ich mleku i wynurza się, nurkuje i wynurza się. Gładkoskóre jezioro prowadzi go wąskim, ciasnym kanałem do delty, która się rozkracza i rodzi go w morzu ekstazy.

Nie interesuje mnie, czy umarłem, czy nie, czy mi się to śni, czy nie. Odnalazłem raj. Morze prowadzi mnie wśród pochwowych wysp na oceany ciał, w których zanurzam się, pływam, przeżywam, rozkoszuję

się i dają rozkosz. Podniecenie i zaspokojenie nigdy się nie skończą.

Tomasz Siwiec

JAJKO NIESPODZIANKA

*Czy wam nie szkoda lat na pieprzenie o złu
aby w ten sposób ukryć swa bezpłciowość?
Jakże śmieszna jest cała wasza rasa.
Jakże smutne jest odcinanie jaj.
R. Kostrzewski.*

Kiedy usłyszałem jego głos w słuchawce telefonu, to pomyślałem, że to jakiś pieprzony żart. Niemniej, to była właśnie jego barwa, ten jedyny w swoim rodzaju bezdźwięczny akcent. Nie było mowy o pomyłce. Po przeszło dwudziestoletniej nieobecności odezwał się Johnny Trust.

– David, jesteś tam? – zawołał zdziwiony.

– Tak, jestem – odparłem. – Wybacz Johnny, ale cholernie zaskoczyłeś mnie tym telefonem.

Mój rozmówca wybuchnął śmiechem.

– Wiesz, sam byłem zaskoczony decyzją, żeby po dwudziestu latach ruszyć dupę i wreszcie odwiedzić rodzinne strony. Pomyślałem, że fajnie byłoby się zobaczyć, wypić parę piwek i pogadać.

W głębi duszy czułem, że pewnego dnia w końcu dojdzie do naszego spotkania. Minał już kawał czasu, ale niektóre psychiczne blizny z przeszłości jeszcze nie zdążyły się zagoić.

– To świetnie – odpowiedziałem, niezgodnie z prawdą. – A kiedy można się ciebie spodziewać?

Johnny oznajmił, że zjawi się pojutrze. Mieszkał teraz w Melbourne, mieście oddalonym o przeszło ponad tysiąc kilometrów od rodzinnego Creek City. Z jednej strony cieszyłem się, że w końcu zobaczę człowieka, z którym spędziłem niemal że całe dzieciństwo. W końcu byliśmy kiedyś najlepszymi przyjaciółmi. Zaś z drugiej strony cholernie bałem się tego spotkania. Cienie przeszłości towarzyszyły mi przez cały ten okres i, choć ułożyłem sobie życie u boku najwspanialszej kobiety tego

świata – Kirsty; to jednak do tej pory nie potrafiłem rozświetlić mroku wypełniającego moje wspomnienia.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Moją głowę zaprzętały dawne problemy, atakowały jak żmije gotowe zabić mnie cierpkim jadem. Przy moim boku cichutko chrapała Kirsty. Wsunąłem dłoń w jej pachnące włosy. Kocham tą kobietę z całego serca. Poznałem ją tuż po skończeniu szkoły średniej. Szybko wpadliśmy sobie w oko. Reszta potoczyła się błyskawicznie. Zamieszkaliśmy razem i wkrótce doczekaliśmy się dwójki wspaniałych dzieciaków. Erica i Chrissy. Dziś już chodzą do szkoły, a ja każdego dnia jestem z nich coraz bardziej dumny. Właściwie to tylko za to, że są. To mi wystarczy. Dlatego byłem przerażony obecnością kogoś, kto może mi to wszystko zabrać lub zniszczyć. A tą osobą był właśnie Johnny Trust.

Poznałem go jako sześciolatniego dzieciaka. Uczęszczaliśmy wówczas razem do szkoły. Przypadek sprawił, że siedzieliśmy w jednej ławce. Już do końca podstawówki nie odstępowaliśmy od siebie dalej niż o krok. Byliśmy dwoma największymi rozrabiakami w klasie. Takie niesforne diabełki. Zawsze kiedy zdarzyła się wpadka, to na pamiętnym, czerwonym dywaniku u dyrektorki łądownaliśmy obaj. Taka szczereńca, braterska przyjaźń. W szkole średniej odkryliśmy, że podobają nam się te same dziewczyny. Mieliśmy nawet podobne gusta. Z kolei nasze poboczne zainteresowania zaczęły się nieco oddalać od siebie. Johnny chwycił za hantle i każdego dnia poprawiał sylwetkę za pomocą przrzucania ciężarów. Ja z kolei uciekłem w świat książek i literatury fantastycznej. Fakt faktem że byliśmy już wtedy mężnymi siedemnastolatkami. Pewnego dnia, kiedy szliśmy do szkoły, Johnny zauważył, że lekko przytyłem.

– W ciąży jesteś? – zapytał szyderczo.

Miał rację. Zarumieniłem się jak burak. Konkretnie się zaniedbałem. Brak ruchu i niezdrowe żarcie skutecznie w tym pomogły. Dlatego kiedy wystrzelił z propozycją, aby przejść się z nim kilka razy na treningi. Sam uczęszczał na nie już od dawna, a ja naprawdę chciałem wrócić do formy więc zgodziłem się bez wahania. Nie miałem zamiaru w wieku dwudziestu lat obrosnąć tłuszczem i wciągać powietrze przy mijających mnie dziewczynach.

Johnny wspierał mnie w treningach. Kilka pierwszych spotkań było dla mnie prawdziwą katorgą. Zakwaszone mięśnie błagały o litość, ale ja nie odpuszczałem. Po kilku tygodniach z radością stwierdziłem że stopniowo zaczynam pozbywać się balastu.

Pewnego wieczoru, tuż po treningu, rozsiedliśmy się w wygodnych fotelach Renault Kangoo. Był to samochód jego ojca i choć Johnny nie skończył jeszcze osiemnastu lat, a prawo jazdy miał dopiero w planach, to pomimo tego pozwalał mu on co jakiś czas go pożyczać. W końcu od sali treningowej do domu dzieliło nas zaledwie kilka kilometrów bocznej, mało uczęszczanej drogi.

– Dzięki, Johnny.

– Za co? – odezwał się, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Za namowę na treningi. Dzięki temu czuje się o niebo lepiej i popatrz – powiedziałem, unosząc podkoszulek – nie jestem już w ciąży.

Uśmiechnął się zaledwie kącikami ust i powoli ruszył. Mniej więcej w połowie drogi oświadczył, że musi się odlać. Włączył kierunkowskaz i zjechał na przydrożną polanę. Pamiętam, że niebo usłane było tysiącami migoczących gwiazd, a w radiu puszczały same przeboje amerykańskiego rocka.

– David, czy mogę cię o coś zapytać?

Dostrzegłem wówczas w jego spojrzeniu jakiś nieokreślony niepokój.

– Jasne.

– Wiem, że podoba ci się Emma Watson – zaczął. – Czy między wami jest coś więcej, czy na razie tylko się przyjaźnicie?

Trochę zaskoczyło mnie to pytanie, bo jeżeli już poruszaliśmy tematy damsko-męskie, to zazwyczaj ograniczało się to do zachwyty nad czyimiś cyckami czy dupą, zaś nigdy wcześniej nie dotykaliśmy sfery uczuciowej.

– Myślę, że do przyjaźni nam jeszcze daleko. Na obecną chwilę, to tylko moja kumpela, ale...

– Podoba mi się ktoś – przerwał mi Johnny.

Trochę mnie zatkało, ale pamiętam, że poczułem się tak cholernie dumny z siebie, bo zrozumiałem, że Johnny zapewne będzie mnie podpytywać w jaki sposób poderwać laskę. Nie było tajemnicą, że z nas dwojga to ja cieszyłem się większym zainteresowaniem płci przeciwnej.

– No to świetnie – Klepnałem go w ramię. – A można wiedzieć, kto to taki? Dorothy Wilson? Elisabeth Smith?

Wtedy właśnie Johnny odważył się zrobić coś, czego do tej pory nie udało mi się wymazać z pamięci.

–Ty.

W jednej sekundzie jego usta znalazły się przy moich i pocałował mnie tak mocno, że moja głowa zderzyła się z oparciem siedzenia. Byłem w totalnym szoku. Zaskoczył mnie tym tak potwornie, że nie potrafiłem się poruszyć. Ani nawet go odepchnąć. Chciałem, ale nie mogłem. A on sięgnął w stronę mojego krocza.

– Johnny – wyszeptalem przerażony – co ty robisz?

Wsunął dłoń głębiej w spodenki, a jego palce zacisnęły się na moim penisie.

Do dziś próbuję sobie wytłumaczyć co tak naprawdę się stało? Co sprawiło, że uległem? Być może to, że byliśmy młodzi, a nasze hormony buzowały. Albo strach, który unieruchomił kończyny, pobudził jednocześnie moją fantazję?

Poczułem, że mój penis robił się coraz twardszy. Johnny odebrał to jako sygnał przyzwalający na dalsze pieszczoty.

Wiedziałem, że to jest złe i czułem, że będę tego bardzo żałował, ale kiedy przyjemne ciepło rozlało się po każdym centymetrze mojego ciała, to, bez względu na konsekwencje, pragnąłem już dojść na sam szczyt. To był mój pierwszy raz.

Po chwili ręka Johnny'ego powędrowała ku mojej, skierowała ją w stronę jego spodenek. Boże, przez głowę nawet mi nie przeszło, że coś takiego mogło się wydarzyć, a jednak działo się, trwało. Poczułem jak ciało Johnny'ego napręża się pod wpływem orgazmu, a gorąca sperma rozlewa się w mojej dłoni. Przyjaciel przestał mnie dotykać, a po chwili mój penis znalazł się w jego miękkich ustach. Kilka sekund później było już po wszystkim. Kiedy uspokoiiliśmy oddechy i emocje opadły, zaczęło do mnie docierać co tak naprawdę się stało.

Odjechaliśmy w milczeniu.

Większość z was zapewne mnie potępi, inni z kolei wyśmieją, ale nie wyobrażacie sobie ogromu cierpienia i wstydu, jaki wówczas ogarnął moją zasraną duszę. Zrobiłbym absolutnie wszystko, aby cofnąć czas i wymazać z pamięci to traumatyczne zdarzenie. Czułem się jak ostatni śmieć. Pieprzony pedał, który stanie się pośmiewiskiem.

Los sprawił, że wtedy widziałem Johnny'ego po raz ostatni. Jego rodzina popadła w jakieś niezrozumiałe wówczas dla mnie kłopoty

finansowe i podobno od dawna planowali przeprowadzkę. Na szczęście wyjechał bez pożegnania. Dobrze, bo nie wyobrażam sobie, że mógłbym mu spojrzeć w oczy po czymś takim. Odetchnąłem z ulgą, wiedząc, że pozostanę z tą haniebną tajemnicą sam. Jednak psychiczne skutki tego zdarzenia ciągnęły się za mną niczym pogrzebowy kondukt. Kilka lat później poznałem Kirsty, ale gdy tylko próbowałem się do niej zbliżyć, przed oczami stawał mi obraz upokorzonego, nieświadomego swego czynu siedemnastolatka. Długo trwało, zanim wreszcie przemogłem się i pokonałem niszczące mnie wspomnienia. Choć Kirsty nigdy nie dowiedziała się o mojej przeszłości, to okazała się niezwykle wyrozumiała i czułą kobietą. To właśnie dzięki niej znowu uwierzyłem w siebie, a mroczne myśli o wyzwoleniu poprzez śmierć rozwiały się echem na wietrze.

Gdyby nie liczyć kilku kilogramów nadwagi i może trzydniowego zarostu, to powiedziałbym, że Johnny Trust prawie wcale się nie zmienił. Nasze dłonie spotkały się w powitalnym uścisku, a mnie przeszedł zimny dreszcz przerażenia. Znowu stała przede mną osoba odpowiedzialna za naruszenie fundamentów mojego życia. Błagałem Boga z całego serca, żeby podczas swojego pobytu w mieście Johnny nie chciał poruszać tamtego tematu. Oczywiście, poznałem go z Kirsty. śmiał się i żartował na różne tematy, a ja przez chwilę uwierzyłem, że również chciał o wszystkim zapomnieć.

– Teraz ja stawiam – oświadczył, wyciągając z kieszeni zwitek pomiętych banknotów. Wkrótce kolejne dwa kufle powędrowały na nasz stół. Rozmawialiśmy o mało istotnych rzeczach. Jednak, kiedy odpowiednia ilość alkoholu rozluźniła nasze języki, Johnny zaczął schodzić na niebezpieczne tematy.

– Muszę ci się przyznać, Davidzie, że chęć odwiedzenia rodzinnych stron nie była jedynym powodem, dla którego zdecydowałem się przyjechać.

Zrozumiałem wówczas, że to było nieuniknione. Ktoś kiedyś mądrze zauważył, że nie warto rozgrzebywać przeszłości, bo w gruncie rzeczy nigdy nie wiadomo do czego można się dokopać.

– Po przeprowadzce starałem się zapomnieć o tamtym wydarzeniu.

– Ja też – odpowiedziałem po chwili.

– Nigdy więcej już nie... no wiesz... Z chłopakiem.

Skinałem głową.

– Poznałem kobietę. Annie. Pobraliśmy się. Właściwie całkiem fajnie nam się układało, ale tylko do czasu, kiedy straciłem pracę. Wiesz, zabrakło pieniędzy, więc pojawiły się awantury i kłótnie. Za kołnierz też nie wylewałem. Annie nie potrafiła znieść tej atmosfery, więc w końcu postanowiła się rozwieść. Nigdy nie miałem do niej o to pretensji, bo wiem, że to całkowicie moja wina. Próbowwała mi pomóc, ale ją odtrąciłem. Sam nie wiem kiedy sięgnąłem po narkotyki. Stary, stoczyłem się na samo dno. Brałem coraz więcej i eksperymentowałem z coraz to bardziej wymyślnym gównem. Problemem była kasa, więc wstyd przyznać, ale zabrałem się za dilerkę.

– Johnny...

– Wiem, syf na maksa, ale najgorsze jest to, że wreszcie się dograłem i wsadzili mnie na pięć lat do paki.

– Jezu. Johnny, naprawdę mi przykro.

– A mi nie. Gdyby nie więzienie, to wachałbym już kwiatki od spodu. Poznałem tam wówczas wielu nieciekawych ludzi, ale jednego zapamiętałem szczególnie. Był to były lekarz, koroner, który wpadł na tym, że posuwał trupy na prosektoryjnym stole. Ktoś z administracji założył kamerę i koleś zaliczył wtopę. Jednak podzielił się ze mną swoją nietypową wiedzą. A ja teraz chcę podzielić się nią z tobą. Ma to związek z tym wydarzeniem w samochodzie. To była moja wina i przepraszam cię za to. Skoro założyłeś rodzinę, to wyobrażam sobie, jak ciężko było ci się pogodzić z przeszłością. Jestem ci coś winny i w pewnym sensie chciałem to jakoś naprawić.

– Myślę, że nie ma czego naprawiać. Już w porządku, Johnny – odparłem. Co było, to było. Zapomnijmy o tym – Wziąłem kufel w rękę i stuknąłem nim w drugi. – Zdrowie!

Johnny przechylił swój, wlewając całą jego zawartość w gardło, po czym nagle wstał od stołu.

– Przejeździemy się na cmentarz? – powiedział.

Obaj byliśmy trochę pijani, ale mimo to wsiedliśmy do jego samochodu i ruszyliśmy w drogę. Byłem przekonany, że mój dawny przyjaciel, mimo późnej pory, chce odwiedzić grób kogoś znajomego, ale kiedy oznajmił, że wszystko starannie przygotował, a w bagażniku ma niezbędny sprzęt, to zacząłem podejrzewać, że będą z tego same kłopoty. Przecież w gruncie rzeczy nie znałem tego człowieka. Bóg jeden wie jak

bardzo się zmienił i kim naprawdę był. Zatrzymaliśmy się przed wielką, posępną bramą. Johnny wyłączył światła oraz zgasił silnik. Na moment stanęło mi przed oczami tamto niechlubne wydarzenie. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

– W bagażniku mam kilofy i łopaty. Jeżeli mi pomożesz, to nie powinno nam to zająć zbyt wiele czasu. Musimy coś wykopać. Pośpieszmy się, bo robię to wyłącznie dla ciebie.

Wyszedł z samochodu i otworzył klapę bagażnika.

– Jak to, kurwa, musimy coś wykopać!? – wrzasnąłem.

– Ciii... – Uciszył mnie, przykładając palec do ust. – Przecież nie chcemy, żeby ktoś nas zauważył.

Moje serce waliło jak opętane. Chciałem uciec stamtąd jak najdalej.

– Nie wiem co kombinujesz, ale nie podoba mi się to.

– Nie czas na wyjaśnienia – przerwał mi. – Nie bój się. Nie jestem pierdolonym nekrofilem i nie mam zamiaru pieprzyć się tu z jakimiś cuchnącymi zwłokami. David, chcę zrobić to dla ciebie. Wyobrażam sobie, jak trudno było ci wrócić do normalności po naszym ostatnim spotkaniu. Daj mi chwilę, a wynagrodzę ci lata nieprzespanych nocy. Później wszystko szczegółowo wytłumaczę, ale teraz nie mamy czasu. Musimy znaleźć trupa, który był pochowany nie dalej niż pół roku temu. Ruszajmy.

Pomyślałem, że najwyraźniej mu odbiło. Jednak wierzyłem, że zaraz wszystko się wyjaśni, a łopaty i kilofy okażą się zabawnym rekwizytem, dodatkiem do jakiegoś żartu.

Bez problemu znaleźliśmy świeży grób. Johnny natychmiast podwinął rękawy i, nerwowo rozglądając się na boki, zaczął kopać. Nie wiem czego się spodziewałem. Może mi też wtedy odbiło, ale również zabrałem się do roboty. Po kilkunastu minutach ciężkiej harówki dokopaliśmy się wreszcie do trumny.

Johnny podważył wieko kilofem i po chwili trupi fetor zgwałcił zapachem moje nozdrza. A gdy zobaczyłem, co zrobił mój przyjaciel, to w jednej chwili zupełnie zwątpiłem w jego poczytalność. Kilkoma ruchami zdjął gnijącemu nieboszczykowi spodnie, potem prawą ręką zaczął obmacywać jego genitalia.

– Doskonale – mruknął. Wyciągnął z kieszeni nóż i zamaszystym ruchem odciął denatowi penisa. A właściwie same jądra. Wykastrował truposza.

– Kurwa – rzuciłem, po czym zwymiotowałem.

Po chwili odcięty fragment ciała znalazł się w przeźroczystej torebce.
– Zakopujemy i spadamy! – oznajmił.

Milczeliśmy. Nie wiedziałem gdzie jedziemy, ani co on zamierza zrobić. To zwyrodnialstwo było przekroczeniem wszelkich dopuszczalnych norm. Zastanawiałem się, czy nie powiadomić o tym zdarzeniu policji, ale odgoniłem tę myśl.

– Johnny, wytłumacz mi, co to do cholery było!

– Jedziemy do hotelu za miastem. Tam wszystko ci wyjaśnię. Nie bój się. Wiem jak to wyglądało, ale uwierz, nie jestem żadnym świrem. Po prostu mi zaufaj, możesz?

– Już raz to zrobiłem Johnny, ale wtedy ty wszystko spieprzyłeś! – wrzasnąłem. – Mogę, ale zaczyna mnie to kurwa przerastać – dodałem po chwili.

W hotelowym pokoju panował półmrok. Johnny przekręcił klucz w zamku, zamykając nas od środka. Następnie zaczął szperać w szafkach. W jednej z nich znalazł głęboki talerz. Wyciągnął z kieszeni przeźroczystą torebkę i ułożył jej makabryczną zawartość w naczyniu. Wyglądało to jak kawałek starej, wyschniętej szmaty. Potem chwycił nóż, którym wcześniej pozbawił trupa genitaliów, i sprawnym ruchem wyłuskał z moszny dwie zielono-brązowe kulki. Przypominały oliwki, ale wiedziałem, że to jądra. Na sam widok zrobiło mi się niedobrze, ale najgorsze dopiero miało się wydarzyć.

– Davidzie, a teraz bądź dobrym kumplem i posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jedno należy do mnie. – Podniósł jedną "oliwkę" i schował ją do kieszeni spodni, jednak kiedy wysunął dłoń z powrotem, jego palec zaciskał się na spuście małego pistoletu, który wycelował mi w twarz. Odruchowo podniosłem obie ręce w górę. Zabrakło mi powietrza.

– A teraz bez gadania – wskazał lufą na jądro – pakuj to w usta. Masz pogryźć i połknąć. Już! – wrzasnął, uderzając mnie w skroń zimną stalą.

– Johnny, błagam, zrobię wszystko, tylko...

– Powiedziałem już! – ponaglił mnie i odbezpieczył kurek.

Charakterystyczny dźwięk przekonywał do tego, abym nie zwlekał i wykonał jego chory rozkaz. Wsunąłem to cholerstwo do ust. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić jakie ilości trujących substancji zawiera gnijący organ.

– Gryź i połykaj. Nie próbuj rzygać, bo twój mózg ozdobi ściany, a potem złoże wizytę twojej żonie i dzieciom.

Jądro okazało się kleiste i śliskie, więc trudno było je przegryźć. W końcu chrupnęło mi między zębami. Gorzko-słona ciecz rozlała się po mojej jamie ustnej. Rzuciło mną do przodu. Przez chwilę myślałem że wyrzygam wszystkie flaki, ale powstrzymałem się ze względu na Kirsty i dzieci. Po policzkach pociekły mi łzy. Nagle wyczułem ruch pod swoim językiem. Coś jakby łaskotanie. Boże, to musiały czerwie! Małe, białe robaki żerujące na gnijącej padlinie. Zebrałem wszystkie siły, chcąc uratować życie rodzinie, i przełknąłem wijącą się maź na dwa razy.

– To, co właśnie zjadłeś, to bilet w stronę Nieba. Byłeś w nim wiele razy, ale nie zabawieś tam dłużej niż kilka sekund. Wiesz o czym mówię? Chodzi mi o orgazm. Wyobraź sobie, że trwa dłużej niż zwykle. O wiele, wiele dłużej. Być może nawet kilka godzin. Tyle czasu twoje ciało będzie trwać w tym euforycznym stanie.

– Jesteś chory, Johnny – krzyknąłem, wciąż broniąc się przed wymiotami.

– Nie. Nie jestem. Jeszcze mi podziękujesz. Teraz zdejmuj spodnie i gacie.

– Co?

Lufa pistoletu dotknęła mojej skroni.

– Wybacz, ale tylko tak mogę ci udowodnić, że to działa.

Nie miałem wyjścia. Posłuchałem go. Szukałem drogi ucieczki, ale nie udało mi się wpaść na żaden pomysł. Patrzyłem mu w oczy i wiedziałem, że nie blefuje.

– Teraz wskakuj na łóżko i zacznij się onanizować. Masz to robić tak długo, aż się spuścisz.

– Oszalałeś – stwierdziłem. – Mój fiut ze strachu skurczył do rozmiaru fistaszka, a ty chcesz żebym zwalił sobie konia?

– Dokładnie. Mamy mnóstwo czasu. Do roboty!

Rozpocząłem tę chorą zabawę. Siedziałem półnagi na łóżku. Trzęsłem się ze strachu i wstydu. Boże, jakie to było urągające. Ale ze zdziwieniem stwierdziłem, że mój mały zaczyna się powoli podnosić.

– Dobrze ci idzie. Nie przerywaj – powiedział i spojrzał na zegarek. – Powinno już zacząć działać. Czujesz to?

Istotnie, zaczynałem czuć się dziwnie. Zupełnie jakbym był po kilku głębszych.

– Kiedy byłem w więzieniu, nauczyłem się kilku rzeczy. Przede wszystkim tego, że istnieją na tym świecie rozwiązania, które mogą dawać ludziom radość, jednak ze względu na ich nietypową postać nikt nigdy dobrowolnie nie zdecyduje się ich wypróbować. Dlatego wybacza za tego gnata, ale zrozumiesz, kiedy dojdiesz do końca.

Onanizowałem się, chcąc, żeby to skończyło się jak najszybciej, a Johnny patrzył na mnie z wymierzonym w moją głowę pistoletem i kontynuował swoją opowieść.

– Już wspominałem, że poznałem tam tego lekarza. Wiesz, facet miał ciekawe zajęcie. Kroił ludzi na kawałki i badał każdy organ, by stwierdzić przyczynę zgonu. Właśnie tak odkrył coś niesamowitego. A mianowicie substancję, która znajduje się w jądrach. Kiedy żyjemy nasze jaja nie są niczym niespotykanym. Ot, kawałek mięcha, w którym kryje się sperma i kilka innych nieciekawych płynów. Jednak sprawa ma się zupełnie inaczej, gdy ciało umiera. Zauważył, że już tydzień po zgonie we wnętrzu jąder dochodzi do chemicznej reakcji pomiędzy obumarłą spermą i bakteriami gnilnymi, które powodują naturalny rozkład. Innymi słowy, nasze jaja wytwarzają substancję, która ma bardzo podobny skład do narkotyków z grupy ekstazy. Różni się jednak tym, że oddziałuje nie tylko bezpośrednio na mózg, ale także pobudza do ciągłego działania wszystkie narządy odpowiedzialne za orgazm u mężczyzn. W momencie wytrysku substancja rozpoczyna swoje działanie i utrzymuje się ono do czasu, aż nasz organizm jej nie przetrawi. Może to trwać nawet do kilku godzin. Brzmi to nieprawdopodobnie, nie uważasz?

Orgazm uderzył we mnie z siłą, jakiej nigdy nie zaznałem. Z mojego penisa wystrzeliła sperma, opryskując hotelową pościel. Wypluł z siebie wszystko, a mimo to wiłem się w boskim uniesieniu, na zmianę przeklinając i śmiejąc się. Czas się zatrzymał, eksplodowały wszystkie gwiazdy, a rozkosz nie ustawała. Nie potrafiłem tego przerwać. Nie chciałem. To było tak cudowne, że gotowy byłem nawet umrzeć w tej ekstazie. Podrażniało każdy nerw, pieściło wszystkie żyły. Wydawało mi się, że zaraz wybuchnę od rozkoszy.

Niekończący się orgazm okazał się prawdą!

Chyba zemdlałem. Nikt by tego nie wytrzymał. Obudziłem się w mokrej i cuchnącej seksem pościeli. Rozejrzałem się po pokoju, ale nie było już w nim Johnny'ego. Na stole znalazłem kartkę papieru:

Drogi Przyjacielu.

Długo zastanawiałem się w jaki sposób naprawić to, co zepsułem dwadzieścia lat temu. Choć nie mieliśmy ze sobą kontaktu, to w głębi serca czułem jak ciężko będzie ci z tym żyć. Pamiętam twoją twarz, kiedy tamtego dnia odwiozłem cię do domu. Malował się na niej strach i rozpacz. Ten widok długo prześladował mnie w snach. Moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej, ale widzisz, jednak zyskałem wiedzę, którą chciałem się z tobą podzielić i w pewien sposób usunąć dyskomfort łóżkowy, którego zapewne doświadczałaś do tej pory. Wybacz, że przyłożyłem ci pistolet do głowy, ale nie było innego sposobu aby namówić cię do zrobienia tych kilku niestosownych rzeczy. Zresztą, pistolet nie był nabity, a ja nie odważyłbym się zabić nawet muchy. Teraz wiesz co to jest prawdziwa rozkosz. Przepraszam że mnie już nie ma, kiedy czytasz ten list, ale widok przyjaciela, który ponad trzy godziny wije się z rozkoszy na łóżku jest, po prostu... jakby to nazwać? Co najmniej dziwny i męczący. Teraz decyzja o tym, czy od czasu do czasu odwiedzisz prawdziwe królestwo rokoszy, należy już do ciebie. Posunąłem ci niezbędne wskazówki, a resztę pozostawiam tobie. Jeśli chciałbyś jednak kiedyś pogadać, zostawiam ci mój numer telefonu. Jeszcze raz przepraszam za wszystko i dziękuję. Twój przyjaciel Johnny.

PS: Rozmyślałem się co do drugiej "kuleczki szczęścia" i zostawiłem ci ją w wewnętrznej kieszeni twojej marynarki. Baw się dobrze.

Człowiek od zawsze rozwijał swoją seksualność. Podnosił poprzeczkę, dwoił się i troił, aby choć o kilka sekund przedłużyć uniesienie udanego stosunku. Wyobrażacie sobie uczucie, kiedy ogarnia was niespotykana dotąd rozkosz i nie przestaje trwać? Czy bylibyście w stanie odmówić sobie aż takiej przyjemności? Opuszczając hotelowy pokój, zrozumiałem wiele rzeczy. Czułem także, że muszę to jak najszybciej powtórzyć. Jednak teraz, to ja chciałem się komuś odwdzięczyć. Wrócić do domu i wynagrodzić żonie cały ten czas, który poświęciła abym stał się tym, kim jestem dzisiaj.

Pomyślałem, że tylna półka zamrażarki stojącej w piwnicy będzie idealnym miejscem na przechowanie "magicznej oliwki". Wszystko przygotowałem jak należy. Wieczór miał być niespodzianką. Oddałem dzieci pod opiekę dziadków, bo nie chciałem, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał. Kupiłem czerwone wino, słoiczek oliwek i paczuszkę wykałaczek. Przyozdobiłem stół kilkoma świecami, a w oliwki ponabijałem wykałaczki. Na moje szczęście tak się złożyło, że Kirsty była akurat entuzjastką zdrowej żywności. Oczywiście, jedna "oliwka" odbiegała smakiem od reszty, ale znalazłem sprytny sposób na to, żeby znalazła się w żołądku mojej kochanej żony. Ona nie musiała wiedzieć jakim sposo-

bem wysłę ją do krainy kilkugodzinnego szczęścia. To miało na zawsze pozostać moją tajemnicą.

Nie mogłem się jej doczekać. Już w drzwiach powitałem ją namiętym pocałunkiem. Wydawała się bardzo zaskoczona.

– To wszystko przygotowałem dla ciebie – oznajmiłem i zaprowadziłem ją do sypialni.

Tuż obok pięknie zaślانego łóżka stał mały stoliczek, na którym postawiłem przygotowane wcześniej specjały.

– Trzeba było mnie uprzedzić – powiedziała, zarzucając mi ręce na szyję. – Mogłam, chociaż wziąć prysznic.

– Kocham cię taką jaką jesteś – odparłem i zacząłem ją powoli rozbiierać.

Całowałem jej szyję, usta i ramiona, a ona zdawała się ulegać nastrojowi tej cudownej chwili. Następnie wyciągnąłem spod poduszki wcześniej przygotowaną opaskę, która po chwili zasłoniła jej oczy. Zrobiło się namiętnie i tajemniczo.

– Teraz skosztuj tej pyszności – wyszeptalem, kiedy pierwsza oliwka znalazła się w jej ustach. Delektowała się jej smakiem, a kilka kropelek oliwy ozdobiło jej nagie piersi.

Następnie wybrałem tę "magiczną". Wlałem sobie do ust kilka łyków wina, aby choć częściowo zniwelować dość intensywny smak, a potem włożyłem ją pomiędzy zęby i pocałowałem żonę. Gdy zetknęły się nasze wargi, rozgryzłem ją i wraz z rozmieszonym winem przelałem całą zawartość wprost w jej usta. Zauważyłem, że delikatnie się wzdrygnęła, ale najwyraźniej nie chciała psuć tej romantycznej chwili, więc czym prędzej połknęła niesmaczną niespodziankę. Następna oliwka powędrowała tą samą drogą, skutecznie zabijając smak poprzedniej. Udało się. Nie wiedziałem ile czasu potrzeba, żeby substancja rozpoczęła swoje działanie, ale zdjąłem jej opaskę z oczu i uśmiechając się powiedziałem, że wracam za kilka minut. Położyła się na łóżku i zaczęła bawić się swoimi piersiami.

– Czekam na ciebie – powiedziała, kiedy opuszczałem sypialnię.

Podniosłem słuchawkę telefonu. Wykręciłem numer Johnny'ego. Z sypialni zaczęły dochodzić coraz głośniejsze pojękiwania Kirsty.

– Słucham?

– Cześć Johnny, to ja, David.

– Wiedziałem, że zadzwonisz. No i jak ci się podobało to w hotelu?

– Stary, jesteś wielki. Przepraszam, że ci nie uwierzyłem.

Johnny najwyraźniej usłyszał odgłosy, które wydawała z siebie moja żona.

– Hej, a się u ciebie dzieje?

– To Kirsty. Ta oliwka, którą mi dałeś... Wiesz, nie chciałem być egoistą, więc właśnie podzieliłem się z nią. Chce, żeby poczuła to, co ja.

– Na litość boską! – wrzasnął do słuchawki. – Nie wolno! – Na kobiety działa to całkiem inaczej!

– Jak to inaczej!?

– Powoduje niemożliwą do zatrzymania zwierzęcą chuć. Biegnij do niej, zwiąż ją albo trzymaj, bo się zabije!

Nagle rozległ się okropny krzyk. Potem usłyszałem brzdęk rozbijanego szkła. W przerażeniu rzuciłem słuchawkę na ziemię i pobiegłem zobaczyć co się dzieje.

Widok był okropny. Wszędzie pełno krwi. Na łóżku, z szeroko rozsuniętymi nogami, leżała Kirsty. Kiedy wszedłem, onanizowała się potłuczoną butelką, ale chwilę potem jej okaleczone ciało bezwładnie opadło. Ostre krawędzie rozorały jej waginę, wydrążając drogę wylewającym się wnętrzościom. Nie pamiętam jakim cudem udało mi się zadzwonić po karetkę. Tak czy inaczej, było już za późno.

Detektyw, który prowadził sprawę samobójczej śmierci Kirsty, był niezwykle podejrzliwym człowiekiem.

– Panie Gordon, otrzymałem właśnie protokół z sekcji zwłok pańskiej żony. Od razu informuje, że zleciłem dokładną rewizję pana domu i piwnicy. Chciałem zapytać, czy pańska żona miała problemy z narkotykami?

– Nigdy – zaprzeczyłem.

– To dziwne, bo w raporcie jest informacja, że w jej krwi stwierdzono obecność dużych ilości ecstasy i jeszcze kilka innych poddawanych właśnie analizie substancji odurzających. Czy może pan to jakoś wytłumaczyć?

– Czy pan zdaje sobie sprawę co tam naprawdę zaszło? Nie wyobrażam sobie kogoś nie będącego pod wpływem takich środków, kto mógłby świadomie zrobić sobie coś takiego. Pańska żona onanizowała się rozbity butelką tak długo i z taką furją, że wreszcie wypruła sobie flaki!

Nie chciałem już nic więcej mówić. Nie chciałem więcej myśleć ani dłużej żyć. Decyzja, którą wówczas podjąłem, była naturalnym

impulsem. Z komisariatu wypuszczono mnie do czasu wyjaśnienia całej sprawy. Jeszcze tego samego dnia pojechałem po dzieci, które od czasu śmierci Kirsty przebywały u dziadków. Trudno znaleźć słowa, które zdołały by opisać ogrom bólu i cierpienia malujący się na ich twarzach. Musiałem im pomóc. Musiałem także pomóc sam sobie. Nie potrafiłbym żyć ze świadomością, że zabiłem osobę którą najbardziej kochałem. Zrozumiałem też, że odbierając sobie życie, naraziłbym dzieci na ciągnące się w nieskończoność cierpienie. Ktoś kiedyś śpiewał taką piękną piosenkę:

*A może... Świat to wieczny mord?
Marzenia swe maluje krwią?
A może pierwsze było buuum?
No i ostatnie... pewnie buuum.*

Poderżnąłem im gardła. Staralem się zadać im jak najmniej bólu. Tuliłem je mocno, kiedy wylewały się z nich ostatnie krople życia. A teraz przyszła kolej na mnie. Drżącymi dłońmi zaplatam wisielczą pętlę i żegniam się z życiem.

AUTORZY PROJEKTU

Dawid Kain – prozaik, tłumacz. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i podyplomowego edytorstwa na Uniwersytecie Pedagogicznym. Autor m.in. powieści „prawy, lewy, złamany” (2007), „Gęba w niebie” (2010), „Za pięć rewolta” (2011) oraz „Punkt wyjścia” (2012), a także zbioru opowiadań „Makabreski” (2010). Wspólnie z Kazimierzem Kyrzczem napisał m.in. zbiór „Chory, chorszy, trup” (2011).

Łukasz Radecki – pisarz związany z literaturą grozy i science-fiction, poeta, muzyk, redaktor. Pierwszy autor w Polsce, który odważył się wyjść poza ramy obiegowego horroru i, ku zaskoczeniu jednych oraz zniesmaczeniu drugich, postanowił zasypać swoich rodaków opowiadaniem pod znaku horror-gore. Jego opowiadania to mroczna wycieczka ze świadomością obcowania z najbardziej krwawym, brutalnym gatunkiem literackim. Autor zbioru poezji "Ad Noctum" (1998), opowiadań – "Kraina bez powrotu: Opowieści Niesamowite" (2009). Wraz z Kazimierzem Kyrzczem Jr. wydał zbiór "Lek na lęk" (2011). Publikował także w rozmaitych pismach, portalach i antologiach. Jego opowiadania były adaptowane jako słuchowiska („Profan” – 2009) i filmy („Księżniczka”; „Wazon” – 2007). Zrealizował także muzykę do kilku horrorów, gier i serialu "Oblicza Mroku". Tworzy w zespołach metalowych ACRYBIA i DAMAGE CASE, wcześniej nagrywał m.in., z ARKHAM, AGALIREPT, FORECAST. W tym roku ukażą się jego zbiory opowiadań: „Bóg, Horror, Ojczyzna”; „Horror Klasy B” oraz napisany wspólnie z Robertem Cichowlasem ultrabrutalny zbiór „Pradawne Zło”. Spodziewana jest także pierwsza powieść otwierająca cykl „Wolfenweld”. Nazywany niekwestionowanym Mistrzem Literackiej Makabry i Mistrzem Mrocznych Tonów, kilkakrotnie nominowany i nagradzany za swoją twórczość. Stale pisze dla Horror Online, Grabarza Polskiego, h.p.lovecraft.pl i Atmospheric Magazine. Wraz z żoną i dziećmi mieszka w rodzinnym Malborku.

Sylwia Błach – gdy przyszła na świat 12. listopada 1991 roku, ponoć na sali na kilka sekund zgasło światło, a gdzieś w mrokach szpitalnych korytarzy dał się słyszeć złowieszczy śmiech...

Pisze odkąd pamięta. Zadebiutowała w 2009 roku zbiorem opowiadań "Strach". Po trzech latach przyszła pora na pierwszą powieść, "Bo śmierć to dopiero początek". W swej twórczości śmierć i cierpienie doprawia szczyptą rozkoszy, gwarantując doznania, o jakich czytelnicy grozy nie śnili w najgorszych koszmarach. Publikowała także w sieci, m. in. na łamach: horrorreviews.com, niedobreliterki.wordpress.com czy w zinach ActionMag oraz Lost&Found.

Od pewnego czasu beczelnie romansuje z niejakim Bizarro. Związek ten opisuje trzema słowami: seks, przemoc i orzeszki.

W wolnym czasie studiuje informatykę na Politechnice Poznańskiej, prowadzi dwa blogi i oddaje się swoim pasjom: kryminologii, wizażowi, wiedzy o wampiryzmie, modzie.

Marek Grzywacz – rocznik 86, mieszkaniec Józefowa koło Warszawy, politolog z wykształcenia, para się słowem pisany z powołania. Pisuje artykuły do takich czasopism jak Nowa Fantastyka, Torii, „Grabarz Polski”. Debiutował w „Fantastyka: Wydanie Specjalne” 4/2010, odtąd stara się publikować jak najwięcej. Jego teksty ostatnio można było przeczytać w cyfrowych antologiach „31.10 Wioska Przeklętych” i „Nowa” oraz w magazynach Opowieści Niesamowite i The Surreal Grotesque. Jeden z animatorów projektu popularyzującego nurt bizarro fiction – Niedobre Literki; oraz redaktor działu prozy magazynu internetowego Lost & Found.

Tomasz Czarny – rocznik 81. Wrocławianin. Z wykształcenia handlowiec. Tata sześciolatniego Jakuba. Pasjonat wszelkiego rodzaju horroru literackiego i filmowego. Wielki fan horroru ekstremalnego oraz bizarro. Debiutował na łamach portalu bizarro Niedobre Literki opowiadaniem „Ostateczność”. Jego teksty ukazywały się kolejno na portalach grozy, m.in. Horror Online, Horror Reviews, Kostnica.pl. Laureat II miejsca za tekst „Winda” w konkursie na halloweenowe opowiadanie grozy w serwisie Kostnica.pl.

Wielbiciel twórczości Richarda Laymona, Edwarda Lee, Jamesa Herberta, Jacka Ketchuma, Johna Eversona, Ramseya Campbella i Briana Keene. Fan mocnego rocka, grunge’u i death metalu, kilkanaście lat

grający na gitarze elektrycznej. Wielbiciel kina spod znaku Johna Carpentera, Dario Argento, Lucio Fulciego, Ridleya Scotta, Jima Jarmusha i Kevina Smitha.

Paweł Mateja – redaktor serwisu Carpe Noctem, informatyk w branży ebookowej i wolnościowy śluzak za dużo myślący o Bogu. Urodzony w roku 1986 w Polskiej Cerekwi, obecnie z żoną mieszkający na gliwickim osiedlu. Boi się ciemności, diabłów i w nocy dostać w mordę, a czyta horrory i łązi wieczorami po ciemnych ulicach.

Publikował w Magazynie Fanstastycznym, Grabarzu Polskim, Carpe Noctem, Niedobrych Literkach, antologiach "Nowa. Antologia grozy Horror Online", "31.10 Wioska przeklętych", Krajobrazach słowa, Kozimrynku oraz w zbiorze weird-fiction "Po drugiej stronie". A także kilku innych miejscach.

Karol Mitka – rocznik 1986, czyli dziecko Czarnobyla. Debiutowałem na papierze w Nowej Fantastyce tekstem w klimatach bizarro pt. „Eustachy Soplica kontra półdemon”. Stale współpracuję z portalem Niedobre Literki, na łamach którego prezentuję swoją chorą twórczość, publikuje również na stronie Nowej Fantastyki i kilku innych portalach literackich pod nickiem Fasoletti.

Jestem wielkim miłośnikiem historii o UFO, a konkretniej zagadnień paleoastronautyki, posiadam sporą biblioteczkę książek w tym temacie. Po za tym czytuję głównie fantastykę z gatunku sword&sorcery, moim idolem jest Robert E. Howard.

Jako autor uwielbiam przeginać na wszelkie możliwe strony, epatować wulgaryzmami i przemocą. Za niewyczerpany temat-rzekę uważam motyw wydzielin ludzkiego ciała, które w fabule często odgrywają rolę kluczową. Lubię kleić maksymalnie odrażające opisy zwyrodniałego seksu i obrzydliwości wszelakich. Opowiadanie, które prezentuję w antologii, jest przestrogą dla etatowych barowych jebaków.

Krzysztof T. Dąbrowski – w 1978 roku powitał świat głośnym krzykiem (ponoć dwie położne do dziś mają problemy ze słuchem). Ów wszechstronny demoralizator i awanturnik zapragnął zostać muzykiem rockowym – niestety matka natura poskapiła mu muzycznych talentów. Zdesperowany rzucił się w objęcia dziesiątej muzy. Gdy ukończył reżyserię uznał, że chyba woli inną (Matki, chowajcie swoje córki! Córki,

chowajcie swoje matki!).

Postanowił zostać nowym wieszczem narodowym – pod koniec 2006 roku chwycił za pióro i tak zostało mu do dziś. W 2008 roku popełnił zbiór opowiadań pt. "Naśmierciny" (czyli małe co nieco dla miłośników groteski horroru i fantastyki) wznowiony i poszerzony w 2012 roku jako "Naśmierciny i inne opowiadania". W lutym 2009 roku opublikował opowiadanie w słowackim Playboyu. W maju 2010 ukazała się jego druga książka "Anima vilis", w 2012 został jednym z pionierów bizarro fiction w Polsce – w tym stylu jest jego trzecia książka "Grobbing". W 2013 roku popularyzuje drabble – książka "Z życia Dr Abble". Prócz tego ostatnio został opublikowany obok Grahama Mastertona w książce będącej hołdem dla tego autora – "Dziedzictwo Manitou". Na przełomie marca i kwietnia nakręcony zostanie krótkometrażowy film z Anną Muchą w roli głównej, na podstawie jednego z drabli pochodzącego z książki "Z życia Dr Abble".

Grzegorz Gajek (ur. 1987) – z wykształcenia kulturoznawca, z zamiłowaniem mitolog. Autor onirycznej powieści grozy "Szaleństwo przychodzi nocą" (Novae Res, 2013), a także licznych opowiadań fantastycznych, publikowanych m.in. w Esensji, Qfancie, Magazynie Fantastycznym i SFFiH. Zagorzały fan Wielkiej Trójcy: Lema, Lovecrafta i Tolkiena. Prywatnie, całkiem sympatyczny facet. Miłośnik dobrego jedzenia, wina i jazdy konnej. Więcej informacji na gajekgreg.pl.

Paweł Waśkiewicz – rocznik 1990, redaktor serwisu Horror Online, z literacką grozą związany od wczesnej młodości. Student filologii angielskiej, a także laureat kilku konkursów literackich poświęconych horrorowi, fantastyce i bizarro, między innymi Horyzontów Wyobraźni 2011 oraz Zbizarruj Nas z 2012. Publikował w antologii "Dziedzictwo Manitou". Zwolennik skondensowanej, pełnej napięcia prozy i wyznawca złotych reguł Alfreda Hitchcocka. W chwili obecnej poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści i pracuje nad kolejnymi opowiadaniem.

Marcin Rojek – 23 lata (no dobra, 23 i pół) obecnie kończy 5 rok pedagogiki na Uniwersytecie Warszawskim. Zaczynał niedawno w 2010 roku, swoje pierwsze wypociny i durne pomysły prezentując ludziom na stronie Nowej Fantastyki, tam też stwierdzono, że nie jest taki

beznadziejny na jakiego wygląda i postanowili dać szansę na papierze. Debiut literacki przeżył w Wydaniu Specjalnym Nowej Fantastyki nr 1/2011 opowiadaniem "Zabawki dla dużych chłopców". Później dwa opowiadania trafiają do 35 numeru Grabarza Polskiego. Ostatnio kilka pojawiał się na bizarowych Niedobrych Literkach. Miły, dobry chłopak a opowiadania takie pisze, że nie wiadomo gdzie się chować. Jest niepokojąco, straszno, krwawo, tam ktoś płacze, tu kto inny bije głową o ścianę, co rusz ktoś umiera i dzieją się dziwaczne rzeczy.

Rafał Christ – urodził się 1 lutego 1989 roku w Prudniku. Obecnie studiuje dziennikarstwo, prowadzi swój program w Krakowskiej telewizji internetowej "Filmowa masakra Christa", a także współpracuje z Zombie Teamem, z którym organizuje różnego rodzaju wydarzenia.

Rafał Kuleta

2008-2012 - drabble w różnych wydaniach e-zinu „Grabarz Polski”

2009 - cykl drabbli „Ekstremalnie krótkie święta” w magazynie grozy „Lśnienie nr 2”

2010 - cykl drabbli „Wewnętrznie rozdarte ciała” w magazynie grozy „Lśnienie nr 3”

2010 - opowiadanie grozy bizarro „W pełni” oraz cykl drabbli „Wilczymi oczyma” w „Grabarzu Polskim nr 20”

2011 - zbiór drabbli z gatunku horror „Krótkie Dni i Noce”

2011 - opowiadanie bizarro „Wciśnięciwsiebie” oraz drabble „Wyciśnięci” w antologii „Bizarro dla początkujących”:

2011 - opowiadanie grozy „Ale wciąż żyje” w antologii „31.10. Halloween po polsku”

2011 - opowiadanie bizarro "Iglaste tęcze we mgle z kwiecistych płatków śniegu" w antologii „O, choinka! Czyli jak przetrwać święta”

2012 - bizarro-horrorowe drabble w amerykańskiej antologii Little Stories for the Smallest Room”

Drabble na polskiej stronie Bizarro Fiction:

<http://niedobreliterki.wordpress.com/2012/01/17/drabble-diablo-bizarro-by-rafal-kuleta-12/>

<http://niedobreliterki.wordpress.com/2012/01/24/drabble-diablo-bizarro-by-rafal-kuleta-22/>

<http://niedobreliterki.wordpress.com/2012/04/30/tracal-cie-pies-by-rafal-kuleta/>

<http://niedobreliterki.wordpress.com/2012/12/12/dziwne-halasy-z-komina-czyli-mikolajkowy-atak-bizarrowy-part-3/>

2012 - „Najzwyklejsze w świecie letnie przygody Gustawa Podróżnika” (dla dzieci)

Tomasz Siwiec – rocznik 80. Założyciel strony Horror Masakra. Pasjonat horroru literackiego i filmowego. Fan muzyki death i black metalowej. Mieszka w Suchoj Beskidzkiej. Jego hobby to pisanie mrocznych, mocnych opowiadań grozy i pirografia. Publikował na Horror Online i Kostnica.pl. Laureat i miejsca za tekst „Facebookowa znajomość” w konkursie na halloweenowe opowiadanie grozy w serwisie Kostnica.pl.



Czy sądziliście, że polski horror nie może być naprawdę mocny?

Ta książka sprawi, że zmienicie zdanie – zszokuje was, zniesmaczy, a przede wszystkim wciągnie w mroczną rzeczywistość, z której nie ma już ucieczki.

Szesnaście ociekających krwią opowiadań, czternastu autorów i brak jakichkolwiek barier.

Te opowiadania nie tylko nie pozwalają zasnąć – one miażdżą duszę, rozpuszczają mózg i wywlekają na wierzch wnętrzości.

Należy mieć nadzieję, że nie dosłownie...

